



NIEWIDZIALNI

NAJWIĘKSZA TAJEMNICA
SŁUŻB SPECJALNYCH PRL

TOMASZ AWŁASEWICZ



NIEWIDZIALNI

NAJWIĘKSZA TAJEMNICA
SŁUŻB SPECJALNYCH PRL
TOMASZ AWŁASEWICZ

Redakcja: Karolina Oponowicz, Wojciech Górnaś
Korekta: Monika Ochnik
Projekt graficzny okładki: Tomasz Majewski
Opracowanie graficzne: Maciej Trzebiecki
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka
Fotoedycja: Agnieszka Żelazko
Przygotowanie zdjęć do druku: Łukasz Irzyk
Zdjęcia (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki):
Archiwum IPN, archiwum rodzinne „Fotografa” s. 19, 20, 111; Maciej
Jaźwiecki/Agencja Gazeta s. 70, 86; Michał Łepecki/Agencja Gazeta s. 141.



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora SA 2021
© copyright by Tomasz Awałasewicz 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2021

Wydanie I

ISBN: 978-83-268-3433-2



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Wstęp

1. Nikt nie wie, co robią pod ślepyimi arkadami

2. „Czołówka”

3. Jak przez Okęcie przeszedł „Tajfun”

4. „Obiektowi”

5. „B”runetka

6. Zielone światło

7. Bomba

8. Łowcy tajemnic

9. Wydział Straceńców

Podziękowania

Przypisy

WSTĘP

Punkt szyfrowy powstałego w latach siedemdziesiątych konsulatu Stanów Zjednoczonych w Krakowie robił wrażenie. Pomieszczenie bez okien wybudowano wewnątrz jednego z pokoi w głębi placówki, za labiryntem rozmaitych zabezpieczeń i z dala od oczu petentów. Ściśle tajnych dokumentów znajdujących się w środku strzegł gruby mur oraz ważące setki kilogramów drzwi skarbcowe zamknięte na zamek szyfrowy. Każde ich otwarcie rejestrował zamontowany we wnętrzu licznik zatopiony w żywicy i niemożliwy do rozebrania. Nadzór nad budynkiem po godzinach pracy sprawowali zamieszkujący go Amerykanie.

Nocą do wnętrza konsulatu przedostawali się członkowie wyspecjalizowanej grupy penetracyjnej kontrwywiadu PRL. Poruszali się w ciemności, sporadycznie doświetlając sobie drogę trzymanymi w zębach latarkami. Każdy krok był zaplanowany z wyprzedzeniem. Nieśli ważące po kilkadziesiąt kilogramów walizki ze sprzętem. Mieli pełną świadomość, że jeśli któraś z nich upadnie na podłogę, to śpiący w pozostałych częściach budynku Amerykanie zerwą się na równe nogi. Funkcjonariusze ograniczali rozmowy do sporadycznych szeptów. Właściwie jedynym dźwiękiem towarzyszącym im w pracy było ciche pikanie.

Sygnał emitowały trzymane w dłoniach urządzenia do pomiaru promieniowania przypominające wyglądem duże kalkulatory. Kiedy już wszyscy oficerowie znaleźli się w środku, mogli rozpocząć atak radiologiczny na sejf z tajnymi dokumentami. Czujniki zaczynały wtedy grać istną symfonię – alarmowały, że przebywanie

tutaj jest śmiertelnie niebezpieczne. Ale funkcjonariusze nie ruszali się z miejsca. Mieli zadanie do wykonania.



W służbach specjalnych powodem do satysfakcji jest nawet zwerbowanie do współpracy kierowcy ambasadora. Pozyskiwanie byle dokumentów przechodzących przez biurko sekretarki dyplomaty to osiągnięcie, o którym kontrwywiad niejednego państwa może zaledwie pomarzyć. Tymczasem funkcjonariuszom Departamentu II (kontrwywiadu PRL) pracującym w tajemniczym Wydziale IX udało się zdobyć setki tysięcy stron niejawnych dokumentów w parudziesięciu ambasadach i konsulatach na terenie całego kraju. Na pewnym etapie odbitek zrobiło się tyle, że trzeba je było po prostu jak kartofle wrzucać do kartonów i stawiać jedne na drugich, aż sięgały do sufitu. Co więcej, wydział równolegle przechwytywał pocztę dyplomatyczną, a także dostarczał informacje niezbędne do kontroli systemów łączności szyfrowej placówek.

Lista przedstawicielstw objętych nadzorem zdawała się nie mieć końca. Ze względu na ówczesny ustrój, przynależność PRL do Układu Warszawskiego i toczącą się zimną wojnę pomiędzy Wschodem i Zachodem główny cel Wydziału IX stanowiły placówki amerykańskie i innych członków NATO. Nie brakowało jednak i krajów spoza Sojuszu, bardzo odległych, niekiedy wręcz egzotycznych – od Argentyny po Indie.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych do niektórych przedstawicielstw oficerowie Wydziału IX wchodzili nawet dwa razy w tygodniu. Przejmowali archiwa wywiadów, tajne materiały dotyczące bieżącej działalności i dalekosiężnych planów placówek, wytyczne do negocjacji kredytowych i handlowych. Dzięki danym

zdobywanym przez Wydział IX polski kontrwywiad znał tożsamość obcych szpiegów, rząd dysponował treścią najtajniejszych międzynarodowych narad dotyczących Polski, a dyrektorowie przedsiębiorstw wiedzieli, jakie są plany zachodnich firm.

Znakomita większość osób korzystających z pozyskanych informacji nie miała jednak pojęcia o tym, skąd dokładnie one pochodziły.

O akcjach penetracyjnych wiedziała zaledwie garstka osób wewnątrz MSW. Aby zakamuflować źródło zdobytych informacji, specjalnie dobrani funkcjonariusze pionu analitycznego Departamentu II mieszały je z danymi pozyskanymi w inny sposób i rozsyłali do odpowiednich urzędników wewnątrz ministerstwa i poza nim.

O polskiej specgrupie napisał przed laty w swoich wspomnieniach oficer KGB wtajemniczony w działania Polaków. Funkcjonariusze Wydziału IX wspominają, że widzieli jedną kopię owych pamiętników i znajdowała się ona w niedostępnej dla przeciętnego człowieka bibliotece kontrwywiadu. W roku 2011 fakt istnienia grupy penetracyjnej w służbach specjalnych PRL próbował zasygnalizować Polakom były szef Agencji Wywiadu Zbigniew Siemiątkowski. Podczas rozmowy z dziennikarzem wspomniał krótko o tym, że funkcjonariusze polskiego kontrwywiadu wchodziły do placówek dyplomatycznych, wykorzystywały promieniowanie, by otworzyć sejfy z dokumentami, i że większość członków grupy penetracyjnej zapadła wskutek tego na śmiertelne choroby^[1]. Żadnych bliższych szczegółów jednak nie podał, więc nie potraktowano tej sensacji poważnie.

Niedługo później Instytut Pamięci Narodowej wydał książkę, której lektura mogła utwierdzić sceptyków w przekonaniu,

że Siemiątkowski się myli lub wręcz zmyśla. W publikacji poświęcono parę stron akcjom penetracyjnym kontrwywiadu, ale próżno szukać w niej jakichkolwiek informacji o promieniowaniu. Autor wspomniał o jednym tajnym wejściu w 1980 roku, ale wyraźnie potraktował je jako incydent. W publikacji tej możemy przeczytać, że służby PRL faktycznie wchodziły nocą do budynków obcych przedstawicielstw po zakończeniu II wojny światowej, ale że już po 1955 roku takich działań było znacznie mniej, a w dokumentach dotyczących późniejszego okresu istnienia PRL właściwie nie ma po nich śladu. Autor wyciąga stąd wniosek, że kontrwywiad w pewnym momencie w zasadzie ich zaniechał z uwagi na coraz lepsze rozwiązania techniczne stosowane w placówkach^[2]. Argument wydaje się sensowny: trudno uwierzyć w możliwość pokonania nowoczesnych zabezpieczeń, które w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych można było znaleźć w ambasadach i konsulatach na terenie Polski. I jeszcze to promieniowanie? Kto by się nabrał na taką historyjkę? Wówczas i ja wkładałem rewelacje Siemiątkowskiego między bajki. W jak wielkim byłem błędzie, przekonałem się dopiero parę lat później, wiosną 2017 roku.

Wówczas od dłuższego czasu pracowałem nad książką o Departamencie II i w toku moich badań przeprowadziłem liczne wywiady z jego funkcjonariuszami. Wśród nich były osoby zajmujące wysokie stanowiska kierownicze, które podczas rozmów niejednokrotnie wspominały o tym, że miały dostęp do ściśle tajnych dokumentów zachodnich wywiadów. Sposobu uzyskania tych materiałów moi rozmówcy nie zdradzali. Zastanawiałem się, czy możliwe, aby za takim sukcesem kontrwywiadowczym stali zwerbowani do współpracy obcokrajowcy z dostępem do bezcennych materiałów. Ile musiałyby być takich osób?

Wątpliwe, aby jakakolwiek służba specjalna na świecie mogła mieć aż tak rozrośniętą sieć wysoko uplasowanych agentów w tak znaczącej liczbie wywiadów obcych państw jednocześnie. Wróciłem wówczas myślami do programu telewizyjnego ze Zbigniewem Siemiątkowskim.

Zdeterminowany, by dowiedzieć się prawdy, zacząłem składać w całość strzępy informacji podawane przez moich rozmówców. Najważniejszym elementem układanki okazały się szczegóły specyficznej ścieżki kariery jednego z nieżyjących już funkcjonariuszy, którego nazwisko przewijało się w rozmowach o tajnych dokumentach zdobytych w latach siedemdziesiątych. Skoro materiały z jakiegoś powodu przechodziły przez jego ręce, to może jeden z wydziałów, w których pracował, był właśnie tym, który odpowiadał za penetrację placówek dyplomatycznych? Przeszukując listy funkcjonariuszy, trafiłem na nazwisko człowieka o zbliżonej ścieżce kariery i postanowiłem zapukać do jego drzwi.

Z tyłu głowy wciąż miałem obawę, że robię z siebie głupka. Przecież zamierzałem spytać obcego człowieka o to, czy przypadkiem nie wnosił nocą materiałów promieniotwórczych na teren obcych przedstawicielstw! Gdy tłumaczyłem powód mojej wizyty, mężczyźnie nawet nie drgnęła powieka. Po pierwszych trzydziestu sekundach byłem gotów się poddać, absolutnie przekonany, że stojący przede mną człowiek, którego nazywać tu będę „Inżynierem”, nie ma zielonego pojęcia, o czym mówię, i zaraz wybuchnie śmiechem. Nie wybuchnął, ale też nic nie potwierdził. Pokerowa twarz.

Droga od tamtej wymiany zdań do chwili, gdy siedliśmy, żeby porozmawiać o największym sekrecie służb specjalnych PRL, była tak długa, że dziś nawet nie umiałbym jej odtworzyć. „Inżynier” faktycznie okazał się wieloletnim członkiem specgrupy.

Skontaktował mnie też z kolegą z wydziału – funkcjonariuszem, który będzie tu występować pod pseudonimem „Turysta”. Mężczyźni wyrazili zgodę na opublikowanie ich relacji i w lutym 2018 roku na rynek trafiła moja książka o kontrwywiadzie PRL, w której jeden rozdział opowiadał właśnie o „Wydziale IX”^[3]. Reakcje czytelników były różne: jedni wierzyli i pytali, czemu temu tematowi poświęciłem tak mało miejsca, inni natomiast stwierdzali, że opisane działania były fizycznie niemożliwe do wykonania.

Nie przestałem interesować się tematem. Dysponując wskazówkami od „Turysty” oraz „Inżyniera”, wciąż szukałem niepozornie opisanych teczek Wydziału IX w zbiorach Instytutu Pamięci Narodowej. W końcu parę miesięcy po premierze mojej książki udało mi się je odnaleźć i jesienią 2018 roku zostały mi one udostępnione w archiwum IPN. Byłem pierwszym badaczem, który do nich zajrzał. Dokumenty potwierdziły każde słowo „Inżyniera” i „Turysty” i wpłynęły na moją decyzję o rozpoczęciu prac nad kolejną książką, tym razem w całości poświęconą temu tematowi.



Nie wszyscy pracujący w Wydziale IX wchodzili na teren placówek i zajmowali się przeprowadzaniem ataków przy użyciu promieniotwórczych izotopów – do tego grona dołączali tylko najlepsi, tworząc tak zwaną grupę obiektową. Ustalenie dokładnej liczby jej żyjących do dzisiaj członków okazuje się bardzo trudne, jako że losy niektórych po odejściu ze służby nie są znane. Szalenie niezdrowe warunki pracy spowodowały, że najprawdopodobniej do dzisiaj żyje nie więcej niż dziesięciu – w tym „Inżynier” i „Turysta”, którzy zgodzili się kontynuować rozmowy na potrzeby tej książki. Otrzymałem także pomoc w skontaktowaniu się

z kolejnymi i ostatecznie aż pięciu członków grupy obiektowej zgodziło się podzielić wspomnieniami. Dodatkowo po długich poszukiwaniach udało mi się spotkać z członkiem tak zwanej grupy lotniskowej Wydziału IX odpowiedzialnej za przechwytywanie, otwieranie, kopiowanie i doprowadzanie do pierwotnego stanu poczty dyplomatycznej na lotnisku Okęcie.

Swoimi wspomnieniami podzielili się ze mną także dwaj funkcjonariusze wydziałów operacyjnych Departamentu II: generał Andrzej Kapkowski, który regularnie towarzyszył funkcjonariuszom Wydziału IX w wejściach do placówek amerykańskich, a także oficer o pseudonimie „Werbownik”, zajmujący się ambasadami szwedzką i hiszpańską. O pracy pionu obserwacji zewnętrznej, który zabezpieczał akcje penetracyjne, opowiedziała mi natomiast emerytowana oficer służb specjalnych, która wystąpi w tej książce pod pseudonimem „Brunetka”.

Wszyscy moi rozmówcy mają dziś od sześćdziesięciu paru do siedemdziesięciu paru lat i w chwili upadku PRL byli jeszcze stosunkowo młodzi. Spośród funkcjonariuszy Wydziału IX, z którymi rozmawiałem, tylko jeden nie kontynuował służby w III RP, został bowiem zwolniony jeszcze w latach osiemdziesiątych za posiadanie rodziny na Zachodzie. Pozostali, nie płacząc za PRL, przeszli do nowo utworzonego Urzędu Ochrony Państwa. Tego, do jakich działań oddelegowano ich po zmianie ustroju, nie zdradzą. Można mieć tylko nadzieję, że znaleziono im zajęcie, które nie zmarnowało ich potencjału. A ta książka udowadnia, że Polak co nieco naprawdę potrafi.

NIKT NIE WIE, CO ROBIĄ POD ŚLEPYMI ARKADAMI

FOTOGRAF: Przez pierwsze dwa tygodnie służby w Wydziale IX miałem wrażenie, że ktoś chyba robi sobie ze mnie jaja. Umówione było, że będę się tam zajmować moją ukochaną fotografią, a tymczasem kazano mi zaprzyjaźnić się ze szperakami, takimi specjalistycznymi narzędziami do otwierania zamków. Do wydziału trafiłem bezpośrednio po skończeniu szkoły oficerskiej na początku lat osiemdziesiątych. Wcześniej pracowałem w Biurze „B”, czyli w obserwacji. Wiadomo – był jakiś figurant, chodziło się za nim, jeździło samochodem, rowerem. Przy okazji robiło się mu mnóstwo zdjęć i ja właśnie zajmowałem się tam fotografią, wywoływaniem, wszystkim, co z tym związane. Dziś mogę sobie pstryknąć zdjęcie aparatem cyfrowym i wysłać błyskawicznie na komputer, a wtedy musiałem siedzieć w ciemni, dbać o to, żeby niczego w niej nie zabrakło, konserwować całą masę sprzętu.

Specyfikę tej pracy znałem bardzo dobrze, bo w betce, tak nazywaliśmy Biuro „B”, pracował też mój ojciec. Byłem jeszcze malutkim dzieckiem, gdy w naszym mieszkaniu zorganizowano punkt zakryty – czyli miejsce, z którego można było prowadzić dyskretną obserwację jakiegoś budynku, ulicy. W moim domu codziennie byli koledzy i koleżanki taty, którzy siedzieli i patrzyli przez okno, bo vis-à-vis mieszkał jakiś zachodni dyplomata. Ja

oczywiście nie wiedziałem, o co chodzi, dla mnie to byli wujkowie i ciocie. Wiadomo, atrakcja, coś się działo.

Moja mama bardzo chorowała, dużą część życia spędziła w szpitalu. To był wczesny Gomułka, zupełnie inne czasy, więc jak mamy nie było w domu i tata nie miał mnie z kim zostawić, to po prostu zabierał mnie ze sobą do pracy. Jeździłem samochodem po mieście z nim i różnymi wujkami, byłem bardzo zadowolony. Całe dzieciństwo słyszałem, że tata pracuje w służbach, tyle że tych, co pożary gaszą. Co prawda nie jeździł czerwonym autem, ale nie wchodził w aż takie szczegóły, a ja wierzyłem. O co w tym wszystkim tak naprawdę chodziło, dowiedziałem się dopiero wiele lat później, już jako pełnoletni człowiek.



Ojciec „Fotografa” w należącym do Biura „B” samochodzie Warszawa M-20, przełom lat 50. i 60.

Przez dużą część swojej kariery ojciec był w tak zwanej sekcji mercedesowej, która zajmowała się obserwacją japońską. Polegało to na tym, że jeździło się za dyplomatami, ale w sposób jawny – tak, aby mieli świadomość, że ma się ich na oku. Nieraz funkcjonariusze mówili im nawet dzień dobry, a potem jedni i drudzy wsiadali do swoich aut i jazda. Czasem obcokrajowcy chcieli się urwać, a że mieli niezłe maszyny, to i my musieliśmy mieć co nieco pod maską. Sekcję taty nazywano mercedesową właśnie dlatego, że w większości jeździło się tam dobrymi, niemieckimi samochodami. Poza tym był też citroën DS, ale do niego nikt akurat nie chciał wsiadać, bo prawie nie miał hamulców.



Fotografia wykonana w trakcie prowadzenia tzw. obserwacji japońskiej – funkcjonariusze Biura „B” podążają bezpośrednio za znajdującymi się w pierwszym samochodzie dyplomatami. Lata 60.

W połowie lat siedemdziesiątych w betce wylądowałem i ja, tyle że głównie siedziałem w laboratorium i zajmowałem się tą całą fotografią. Znajdujący się tam sprzęt obsługiwałem, że hej.

Wszystko miałem w jednym palcu. Byłem naprawdę wartościowym pracownikiem i w pewnym momencie stało się to moją zgorą, bo paradoksalnie przez to nie mogłem dostać awansu. Odwiecznym problemem służb jest to, że naczelnicy nie chcą wypuszczać ze swojego wydziału ludzi znających się na rzeczy. Ja nie dość, że miałem o robocie pojęcie, to jeszcze byłem wyjątkowo dyspozycyjny. Wówczas jeszcze kawaler, w dodatku niebalujący – jedynym moim nałogiem były papierosy, bo alkoholu nigdy za bardzo nie lubiłem. W domu był telefon, więc mój szef wiedział, że jak się do mnie w środku nocy zadzwoni, to właściwie w ciągu paru minut mogę być gotowy do wyjścia. Dlatego ile razy prosiłem o przeniesienie do innego wydziału, tyle razy szefostwo coś kombinowało, żebym tylko został. Raz, jak chciałem iść do szkoły oficerskiej w Legionowie, to grając na zwłokę, wymyślili mi, że najpierw muszę zrobić szkołę chorążych Biura „B”. To było w Warszawie, na Okrzei. Siedziałem tam ze dwa, może trzy miesiące i wynudziłem się jak mops, bo przecież wszystko, co tam było, doskonale wiedziałem już z pracy.

Po skończeniu wróciłem do wydziału, więc szef wygrał. Znowu poprosiłem o skierowanie do Legionowa i jak dostałem odmowę, to już nie wytrzymałem. Dyrektor zakładu kryminalistyki obiecał mi, że jeśli złożę wniosek o przeniesienie do niego, to on zrobi wszystko, abym został przyjęty, i od razu wyśle mnie na studia. Miałem już ten plan realizować, ale w tym czasie mój tata odchodził akurat z betki i problem został rozwiązany inaczej. Ojciec pracował tam prawie trzydzieści lat i rozmowę pożegnalną miał z samym szefem Biura „B” – dyrektorem Krawczykiem. Często coś takiego praktykowano. Dyrektor spytał, czy są jakieś życzenia, więc tata powiedział, że chciałby, aby syna puszczono do Legionowa. Podziałało piorunem.

Pod koniec nauki w tej szkole przyjeżdżali tak zwani kupcy, czyli ludzie z różnych komórek MSW szukający nowych pracowników. Siedzieli na auli, można było podejść, porozmawiać. Mnie bardzo interesował kontrwywiad, czyli Departament II. Więc jak przyjechali z dwójki, to się zgłosiłem i mnie przyjęli właśnie do Wydziału IX, co wówczas nic mi jeszcze nie mówiło.

To był początek lat osiemdziesiątych. W tamtym okresie wydział miał swoje pomieszczenia w Centrali na Rakowieckiej. Wchodziło się od tyłu, od ulicy Batorego. Pod takimi ślepyimi arkadami były drzwiczki wyłącznie dla nas, a za nimi kilka małych pokoi. Byliśmy odizolowani od reszty funkcjonariuszy, którzy nie mieli pojęcia, co tam w środku jest. Nikomu do tej enklawy nie wolno było wchodzić, a nam nie było wolno nic na jej temat opowiadać. Pamiętam pierwszą rozmowę z naczelnikiem. Byłem przeschęśliwy, bo powiedział mi wtedy jasno, że będę pracował dalej z fotografią. Szef miał bzika na punkcie techniki i wyciągnął mi ze swojej szafy aparat, takiego nikon. Zapowiadało się nieźle. Potem kazał mi zasuwać do wydziałowego magazynku i odebrać sprzęt. Tyle tylko, że siedząca tam pani Jadzia, której wszyscy w wydziale się w ogóle bali, zamiast sprzętu fotograficznego miała dla mnie przygotowane właśnie te wspomniane szperaki do otwierania zamków, imadło i jakieś inne, zupełnie niezwiązane z moją specjalnością narzędzia. W służbach nie wolno zadawać za dużo pytań, więc grzecznie wyfasowałem to wszystko, dostałem biurko, siadłem. Wtedy poznałem „Inżyniera”, który przyszedł, wysypał mi na blat całą stertę zamków i kazał każdy jeden otworzyć tymi szperakami. Siedziałem tak dniami, dłubałem, aż mi palce popuchły. Z jednym z tych zamków to tak się męczyłem, że w pewnym momencie podszedł do mnie pan Zenek, taki już starszy pracownik, i mówi, że „Inżyniera” akurat nie ma w pobliżu, więc on w tajemnicy przed

nim pomoże mi to otworzyć. Schował się jeszcze za jakąś taką ściankę i słyszę, jak walczy. Przekleństwo za przekleństwem, aż w końcu przychodzi powiedzieć mi, że tego zamka w ogóle nie da się przekręcić, bo jest popsuty.

I tak mijały kolejne dni, a mnie nikt nie mówił, o co właściwie chodzi. W służbach pracowałem wówczas już od paru lat, więc domyślałem się, jaki związek może mieć fotografia z zamkami. Wiadomo, tajne wejścia – mieszkania, hotele. Tylko dziwił mnie ten program szkolenia, bo normalnie przy przeszukaniach fotograf nie musi żadnych zamków dotykać – otwiera je za niego kto inny.

Nie miałem wówczas pojęcia, że Wydział IX prowadzi na tyle skomplikowane działania, że nawet i ja musiałem znać się na każdym aspekcie roboty, z pokonywaniem zabezpieczeń włącznie. Gdy od mojego przyścia do wydziału minęły dwa tygodnie, a ja, zamiast robić zdjęcia, nadal zaprzyjaźniałem się ze szperakami, coś piłowałem albo czyściłem tokarki i frezarki, to w końcu poszedłem do naczelnika na skargę.

INŻYNIER: Ja do wydziału trafiłem znacznie wcześniej, jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Wówczas to w zasadzie jeszcze nie był Wydział IX, tylko sekcja w strukturze Departamentu II, ale jak zwał, tak zwał. Byłem już po studiach na Politechnice Warszawskiej, miałem tytuł inżyniera. Jak to w MSW zobaczyli, to od razu wysłali mnie właśnie do tej sekcji. Szczerze mówiąc, to tylko tam wszedłem i prawie od razu wyszedłem, nawet nie zdążyłem usiąść. Wysłali mnie na pół roku na szkolenie do ogólnego pionu techniki operacyjnej, do wydziału zajmującego się zamkami. Uczyłem się podstaw: jak otwierać zasuwę, znane chyba każdemu zamki Yale, dużo czytałem. Dobrze sobie radziłem – do tego stopnia, że w pewnym momencie spytałem naczelnika, czy mógłbym zająć się czymś bardziej skomplikowanym. Zauważyłem,

że w pudełeczku na jednej z półek leży jakiś taki nietypowy zamek szyfrowy, i chciałem się nim trochę pobawić. Naczelnik pozwolił. Instrukcja była po niemiecku, a że świetnie znałem ten język, to przetłumaczyłem ją dokładnie, zapoznałem się z mechanizmem, a potem wszystko ładnie spakowałem do pudełeczka i odłożyłem na miejsce. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że od tego zamka rozpocznie się historia, która skończy się otrzymaniem przeze mnie medalu.

W pionie techniki bardzo mnie polubili. Pod koniec szkolenia namawiali nawet, żebym został u nich i już nie wracał do kontrwywiadu. Jako że byłem do nich oddelegowany tylko na naukę i musieli mnie odesłać do Wydziału IX, to proponowali, że napiszą mi po prostu niezgodną z prawdą fatalną opinię. Tak fatalną, że mnie tam już nikt nie będzie chciał z powrotem. Trochę ciężko mi było zdecydować, bo nadal nie wiedziałem, czym zajmuje się ta moja macierzysta jednostka. W końcu uznałem, że skoro do ogólnej techniki wysłano mnie tylko jak do przedszkola, to tam, gdzie mam docelowo być, muszą zajmować się jakimiś konkretniejszymi działaniami. Pożegnałem się, zabrałem swoje zabawki i poszedłem się dowiedzieć, co oni w tym całym Wydziale IX kombinują.

ŁOWCA: Ja jestem z wykształcenia elektronikiem i służbę zaczynałem w latach siedemdziesiątych w technice operacyjnej. Stamtąd wysłano mnie do szkoły oficerskiej w Legionowie, po której wróciłem do tego samego pionu. To była pierwsza połowa lat osiemdziesiątych, byłem młody, strasznie chciałem dalej się uczyć i wystąpiłem od razu z prośbą o zgodę na rozpoczęcie studiów na naszej resortowej uczelni – Akademii Spraw Wewnętrznych. Akurat był wtedy nowy naczelnik i – naturalnie zwracając się do mnie per towarzyszu – mówi mi, że nie wie, co ja

sobą reprezentuję, to, tamto, siamto. Te studia naprawdę nie stanowiły problemu, bo były chyba tylko roczne i na pewno zaoczne, więc w żaden sposób nie kolidowałyby z robotą. Powiedziałem mu, że skoro poprzednie kierownictwo zaufało mi i wysłało mnie na trzy lata do szkoły oficerskiej, to chyba pokładali we mnie jakieś nadzieje, a on na to dalej, że nie wie nic o towarzyszu i mnie nie puści. To ja wtedy wpadłem na inny pomysł. Dobrze sobie radziłem w pracy operacyjnej i wcześniej już miałem rekomendację do Wydziału II Departamentu II zajmującego się zwalczaniem szpiegostwa brytyjskiego. No więc mówię mu o tym, a on – że nie ma sprawy i droga wolna. Pobiegłem do sekretariatu, napisałem prośbę o przeniesienie i parę dni później wezwał mnie kadrowiec. Pamiętam go dobrze, taki oficer starej daty, wszystkie dokumenty wypisywał przepięknie wiecznym piórem, normalnie kaligrafia. Mówi mi, że owszem, mam rekomendację do wydziału brytyjskiego, ale że skoro jestem elektronikiem, to on ma lepszy pomysł. Powiedział mi, jak trafić do Wydziału IX, i kazał się tam stawić na rozmowę.

Starsi oficerowie z techniki mówili, że w tym miejscu przechowywana jest jakaś „bomba”. Jak się ich pytało, o co chodzi, to nic nie dopowiadali, chyba sami nie wiedzieli nawet, co to za „bomba”, tylko gdzieś coś usłyszeli i po prostu powtarzali. Tak czy inaczej – straszili. To był 1983 rok i wówczas wydział nie mieścił się już w tych pomieszczeniach na Rakowieckiej, w których zaczynali niektórzy moi koledzy. Miał już wtedy swój osobny, dobrze strzeżony obiekt na Mokotowie. Jeszcze farbą tam pachniało, bo dopiero co się wprowadzili. Pamiętam, że była sobota, jak tam zajechałem, i przywitał mnie zastępca naczelnika. Wypytywał mnie o ukończone szkoły, doświadczenie. Powiedział, że wydział ma dużo różnych sekcji, ale każdy pracownik musi zostać

przeszkolony w pełnym zakresie: elektronik musi potrafić robić zdjęcia, fotograf musi otwierać zamki. Na koniec poinformował mnie, że na razie przydzielili mnie do takiego starszego już oficera i razem z nim będę tworzył grupę o kryptonimie „Czołówka”.

TURYSTA: Mnie pierwotnie zaproponowano pracę w Biurze Ochrony Rządu. Kiedy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odbywałem zasadniczą służbę wojskową w Warszawie, to poproszono mnie, żebym przygotował do matury córkę jakiegoś oficera z MSW. Byłem po technikum, przedmioty ścisłe nie sprawiały mi żadnego kłopotu. Chyba spodobałem się facetowi, bo powiedział, że mam złożyć papiery i on mnie wsadzi właśnie do BOR. Pomysł zasadniczo mi się spodobał, ale stwierdziłem, że może najpierw spróbuję sam pójść pogadać do kadr i dowiem się, czy w ogóle mam szansę na pracę w służbach. Jak poszedłem na komendę i zacząłem rozmawiać, to od zaraz wypełniłem też formularze. A wtedy jakoś tak to już lawinowo poszło i zamiast w BOR wylądowałem w pionie techniki operacyjnej na Śląsku, z którego pochodzę. Specjalizacja – podsłuchy. Zdzisław Marchwicki, znany szerzej jako Wampir z Zagłębia, to jedna z moich pierwszych spraw. Dostał karę śmierci za zabicie parunastu kobiet. Przy Marchwickim było mnóstwo pracy, bo podsłuchy poinstalowaliśmy wszędzie: od jego celi po mieszkania członków rodziny – bliższych, dalszych, naprawdę było tego sporo. Do moich obowiązków należało zarówno zakładanie tej całej aparatury, jak i jej późniejsza eksploatacja. Nieraz siedziało się gdzieś w pobliskim pomieszczeniu z karteczką, ołówkiem i słuchawkami na uszach i trzeba było godzinami czekać, aż powiedzą coś ciekawego. Po paru latach pracy na Śląsku poprosiłem o przeniesienie do Warszawy. Wiadomo, przyjechałem do stolicy za dziewczyną – moją żoną. Tu też trafiłem

do podsłuchów, a potem do szkoły oficerskiej w Legionowie. Kiedy ją kończyłem na początku lat osiemdziesiątych, to przyjechał naczelnik Wydziału IX i miałem okazję z nim porozmawiać. Byłem niezłym kandydatem, bo miałem dobre przygotowanie techniczne i, co istotne, urodziły mi się już dzieci. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale do tej komórki starano się przyjmować ludzi z ustabilizowaną sytuacją rodzinną, ze względu na wiążące się ze służbą w tym miejscu zagrożenie zdrowia. Początkowo nikt mi w ogóle nie powiedział, co się tam robi, a ja nie dociekałem, bo i nie było mi wolno. Rozkaz to rozkaz. W podsłuchach miałem takiego mojego najlepszego kumpla, potem razem byliśmy też właśnie w Legionowie. Papużki nierozłączki normalnie. No to proszę sobie wyobrazić, że i do Wydziału IX przyjęli nas obu, więc bardzo się cieszyłem.

BRODACZ: No, ja też byłem zadowolony! Zresztą cały czas mówiłem „Turyście”, że po szkole idziemy tylko do kontrwywiadu. Śmiałem się, że ja chcę ganiać za szpiegami i koniec kropka. Jestem po technikum mechanicznym, mój tata pracował w służbach, skontaktował mnie z odpowiednią osobą i pierwotnie trafiłem w MSW do tych całych podsłuchów. Potem pojechałem do Legionowa i gdy okazało się, że w Departamencie II jest jakaś sekcja techniki, to już w ogóle nie miałem wątpliwości, dokąd chcę iść. Jak przyszedł dzień tych, powiedzmy, targów pracy, to razem z „Turystą” zaczęliśmy pytać, przy którym stoliku siedzi ktoś z kontrwywiadu. Był tam wówczas naczelnik Wydziału IX i dotarła do niego informacja, czym się interesujemy. Zaprosił nas na rozmowę, pogadaliśmy dłuższą chwilę, podziękował. Nic nie powiedział na temat tego, jak nam poszło, ani tym bardziej czym dokładnie oni się tam zajmują. Wydział techniczny i tyle. Parę dni później przyszła informacja, że będziemy dla niego pracować.

Zgłosiliśmy się do wydziału, wówczas było to jeszcze na Rakowieckiej. Ledwie przeszliśmy przez próg, a on już ogłosił tam wszystkim, że tych dwóch cwaniaczków trzeba wziąć do galopu i wdrożyć do pracy w trybie natychmiastowym. Dopadł nas „Inżynier” i się zaczęło, standardowo: walnął nam całą stertę zamków na stół, rzucił szperaki i dłubcie, gamonie, a nie macie pojęcia o takich rzeczach. My obaj byliśmy z pionu techniki, ale zajmowaliśmy się tam przecież zupełnie innymi rzeczami. Dał nam może z godzinę, to żeśmy się rzucili na te zamki, wkładamy je w imadełka i ładujemy szperaki do środka na oślep jak dwóch kretynów. Czas mija, połowa narzędzi połamana, ręce nas bolą, a końca nie widać. „Inżynier”, dobry chłopina, ale przeczołgał nas porządnie. No i nauczyliśmy się, nie ma co gadać. I powiem panu, że akurat był to taki moment, że wydział strasznie potrzebował ludzi, więc stosunkowo prędko wdrożono nas do pracy, i to do tej najbardziej delikatnej. Nie minął miesiąc, a już bez słowa wyjaśnienia kazali nam wsiadać do auta i rura do Szczecina. Dopiero tam się dowiedzieliśmy, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

ROZDZIAŁ 2

„CZOŁÓWKA”

ŁOWCA: W pierwszym okresie służby w Wydziale IX moim głównym obowiązkiem było czytanie gazet, mówiąc tak pół żartem, pół serio. Zanim wtajemniczono mnie w najtajniejsze działania, zostałem przydzielony do grupy „Czołówka” – sekcji hotelowej. To miał być dla mnie taki rozruch. Polegało to na tym, że siedzieliśmy sobie w pokoiku razem z takim starszym już oficerem, dawno nie żyje, i przeglądaliśmy prasę w poszukiwaniu informacji, że do Polski przyjeżdża jakaś ciekawa delegacja. Dostawaliśmy też zlecenia od innych pionów MSW, specjalne wykazy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mieliśmy kontakty w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, a czasem bywało też, że jakimś innym kanałem zupełnie niespodziewanie dowiadywaliśmy się, że na terenie kraju jest ktoś, komu warto się przyjrzeć. Jak pojawiała się taka informacja, to trzeba było klienta w hotelu trzepnąć, jak to się mówi w naszym żargonie.

„Trzepnąć” znaczy zrobić przeszukanie – oczywiście tak, żeby się nie zorientował. Zasadniczo przeszukania w hotelach mogli robić też funkcjonariusze z Departamentu Techniki, czyli z tego podstawowego pionu techniki operacyjnej, w którym pracowało wcześniej wielu z nas. Tyle tylko, że w Wydziale IX była zupełnie inna dynamika. Funkcjonariusze ze zwykłego „T” musieli najpierw pisać wnioski, mnóstwo osób wyżej je podpisywało, a jak wszystko było gotowe, to figurant już dawno leżał sobie na plaży na drugim

końcu świata. U nas szło to błyskawicznie, Wydział IX był uprzywilejowany. Czasem zgodę na zrobienie komuś dosiadu, to kolejne słowo na przeszukanie, załatwiało się na szybko przez telefon, a dopiero potem ogarniało papiery. Niejednokrotnie chodziło o obcokrajowców mieszkających na stałe w Polsce, ale wyjeżdżających akurat za miasto. Jeśli szła przykładowo informacja, że pracownik takiej to a takiej placówki dyplomatycznej wyjechał służbowo do Gdańska i może mieć ze sobą w hotelu dokumenty, to na co było czekać?

INŻYNIER: Ja nie byłem na stałe w grupie hotelowej, ale każdy z nas od czasu do czasu jeździł na takie roboty. W tym wypadku, poza osobami podejrzanymi o szpiegostwo, najbardziej interesowali nas ludzie przyjeżdżający do Polski na jakieś negocjacje handlowe. Z teczki takiego człowieka wyciągaliśmy dokumenty dotyczące strategii rozmów. To była bezcenna wiedza, od razu mieliśmy zagwarantowaną najkorzystniejszą ofertę. Na kartce facet miał napisane, że może zejść do stu dolarów za kilogram jakiegoś tam produktu. No i teraz człowiek reprezentujący polską stronę w negocjacjach mógł spokojnie odejść od stołu, gdy żądano od niego stu dwudziestu dolarów. Wiedział, że nie zdąży nawet dojść do drzwi, nim usłyszy, że jakoś się dogadają. Szkoda, że nie da się teraz obliczyć, ile pieniędzy kraj zaoszczędził dzięki tym akcjom w hotelach. Jak była epoka Gierka, propaganda sukcesu i czas wielkich zakupów, to mnóstwo firm zjawiało się u nas z propozycją sprzedaży różnych licencji. A my kupowaliśmy to wszystko za pieniądze z kredytów, które zaciągnął pierwszy sekretarz. Pamiętam, jak w kabarecie Pietrzak śpiewał, że Gierek obrobił tyle to a tyle banków. Krocie przecież się wydawało na licencje i dobrze, że chociaż trochę mniej płaciliśmy dzięki tym naszym akcjom. Już i tak przecież wystarczająco długów się

nazbierało. Dla wielu funkcjonariuszy roboty hotelowe były dobrym wprowadzeniem do pracy w wydziale, bo to podstawa podstaw – to akurat robią służby na całym świecie. Proszę sobie wyobrazić, że jak Szwedzi budowali nam hotel Forum, czyli dzisiejszy Novotel, to normalnie, bez żadnego owijania w bawełnę, spytali, czy nie chcemy, żeby zostawili w niektórych pokojach miejsce na założenie jakichś bajerów. Wiadomo – podsłuchy, kamery. Oczywiście strona polska się oburzyła: powiedzieliśmy, że my nie taki kraj i że bardzo dziękujemy.

ŁOWCA: Szwedzkie budynki miały dużą zaletę, bo oni zarówno w hotelach, jak i w biurach, chociażby w Intraco, i tak standardowo kładli praktycznie do każdego pokoju tak zwaną instalację niskoprądową. Zasadniczo używało się tego do systemów przeciwpożarowych, alarmowych i tak dalej, ale po podłączeniu wszystkiego zostawało jeszcze trochę kabelków. W „Czołówece” bywały takie zlecenia, że trzeba było zarejestrować pobyt klienta – sam dźwięk albo też obraz. Z kim rozmawiał, o czym, no i naturalnie z kim spał. W takim hotelu Forum z podłączeniem urządzeń nie było żadnego problemu. Szwedzi sami informowali nas o tych wszystkich kabelkach.

INŻYNIER: Bo robili to samo u siebie, proste. Każdy większy hotel w cywilizowanym świecie miał i zapewne do dziś ma swojego, powiedzmy, opiekuna. U nas był to funkcjonariusz Biura „B” – pionu obserwacji. Z takim człowiekiem zawsze musieliśmy być blisko, bo to on stwarzał nam warunki do tajnego przeszukania.

ŁOWCA: Biuro „B”, które nazywaliśmy betka, miało obstawiony cały hotel. To oni werbowali pracowników. Recepcjoniści byli ich, pokojówki też były ich. Betkarze mówili im, że mają się nie

interesować, gdy my tam łazimy. Ale nieraz, jak sprzątaczkę widziały, że coś się dzieje, to specjalnie próbowały wejść do pokoi, w których siedzieliśmy. Liczyły po prostu, że dostaną jakiś dodatkowy *cash*. Podczas jednej akcji, właśnie w Forum, chciała mi się taka wbić do środka. Usłyszałem w odpowiednim momencie, że próbuje otworzyć, a że akurat wykonywaliśmy z elektroniką pewne czynności, których naprawdę nie mogła zobaczyć, to przyblokowałem drzwi. Ona myślała, że już są otwarte, i biedna aż się od nich odbiła. Betkarze mieli zapobiegać właśnie takim sytuacjom, no ale wiadomo, życie.

INŻYNIER: Bliska współpraca z betką była niezbędna. Gdziekolwiek poszedłem – do Victorii, do Grandu, do tego całego Forum – wszyscy mnie znali. Biuro „B” zawsze miało jakieś swoje pomieszczenie, oddzielone od recepcji, i w pierwszej kolejności szedłem tam ustalić, co i jak. Nigdy nie zapomnę jednego z tych pokoi. Nie miał okien i wewnątrz przesiadywała cała grupka betkarzy odpalających jednego papierosa od drugiego. Proszę pana, tam człowiek nie widział własnej dłoni, a gdybym walizeczkę z moimi narzędziami wypuścił z ręki, to chyba by zawisła w tym dymie. Człowiek normalnie zaczynał się zastanawiać, czy aby na pewno do życia potrzebny jest tlen. Oni tam siedzieli tyle godzin i jakoś funkcjonowali, to chyba jakaś bujda z tym tlenem, prawda? Albo tylko ci betkarze mieli jakieś inna płuca.

BRODACZ: Specyficzne, ale dobre chłopaki. Czasem było z nimi śmiesznie, bo przecież też chcieli się wykazać, była jakaś taka zdrowa rywalizacja. Człowiek przychodził do ich pomieszczenia, a oni siedzieli i niby tylko tak pod nosem mówili, że już nie ma co robić przeszukania. Od razu było wiadomo, że sami załatwili

sprawę, bo liczyli, że w pokoju znajdą coś ciekawego i dostaną premię.

ŁOWCA: Tak bywało, ale ich rola polegała przede wszystkim na pilnowaniu naszego figuranta. Wie pan, jak przyjeżdżał taki facet na negocjacje handlowe, to wiedział, że przeszukania w hotelach to standard. Zazwyczaj starał się więc pilnować, tyle że przez dzień albo dwa mu się chciało i targał te walizy ze sobą, a potem jak się zmęczył, atmosferka się rozluźniła i zachciało mu się gdzieś wyskoczyć poza protokołem w nocy, to wszystko zostawiał w pokoju. On siedział w jakimś lokalu na mieście albo nawet na dole w kawiarni, a my mu na górze robiliśmy kipisz. Zdarzało się, że klient był po prostu na takim zmiękczającym, bardzo ważnym dla nadchodzących negocjacji wyjściu z przedstawicielami strony polskiej, którzy nieraz wiedzieli dobrze, że my w tym czasie w pokoju hotelowym robimy przeszukanie. Przecież sami zamawiali te dokumenty, zależało im i dlatego trzymali faceta na kolacji tak długo, jak to tylko możliwe. W dodatku figuranta cały czas obserwowali betkarze, więc jeśli ruszył się od stołu, to od razu szedł do nas sygnał przez radio.

INŻYNIER: W użyciu były dwa typy radiostacji. Betkarze używali do łączności między sobą zwykłych, trzykanałowych, milicyjnych, zwanych morsami. My natomiast dodatkowo mieliśmy jeszcze takie o wiele droższe – duńskie, marki Storno. One działały na wyższych częstotliwościach niż te milicyjne. Wcale nie chcieliśmy słyszeć, co betkarze mówią między sobą, bo nam to po prostu przeszkadzało. Wystarczyło, że jeden z nich najważniejsze informacje przekazał nam przez storno i tyle. Te radiostacje miały jeszcze jedną zaletę – było mniejsze ryzyko, że naszą rozmowę wyłapie jakiś przypadkowy radioamator. Chociaż nawet gdyby nas

podśluchał, to nic strasznego by się nie stało. Przecież nikt nie mówił otwartym tekstem: „Słuchajcie, chłopaki, właśnie skończyłem kopiować dokumenty w pokoju numer siedem, więc Polska zniżkę na licencję na odkurzacz ma gwarantowaną”. Używało się kryptonimów, umówionych haseł, neutralnych słów, czasem chociażby zwykłego „stop”. Betkarze kontrolowali ruch na korytarzu i to oni dawali nam sygnał, że możemy po zakończonym przeszukaniu wyjść z pokoju. Czasem bywało tak, że już mieliśmy złapać za klamkę i nagle przychodził sygnał „stop”, co oznaczało, że ktoś idzie i trzeba poczekać. Jak dostaliśmy zielone, to się wychodziło i szybko chowało do tak zwanego pokoju bazy, który zawsze znajdował się na tym samym piętrze. Tam siedział betkarz, tam też mogliśmy zostawić swoje rupiecie i tak dalej. Zazwyczaj był to po prostu pokój przygotowany już dla nowego gościa hotelowego, dlatego po naszym wyjściu przychodził jeszcze ktoś zobaczyć, czy nie narozrabialiśmy. Przyziemne sprawy: czy nie rzuciliśmy ręcznika w łazience albo nie pognietliśmy pościeli. Pamiętam, że w jednym z hoteli była taka pani Stenia z Biura „B”, która po akcji zawsze to sprawdzała. Chodziło po prostu o to, żeby nie było sytuacji, gdy do pokoju przychodzi nowy gość i zaraz się skarży obsłudze, że nie posprząkali po poprzednim.

TURYSTA: Przede wszystkim porządek trzeba było zostawić w pokoju, w którym zrobiliśmy przeszukanie. Nie mogło przecież być żadnych śladów naszej obecności, każda rzecz musiała leżeć dokładnie w tej samej pozycji co wcześniej. Dlatego zawsze bezpośrednio po wejściu robiliśmy polaroidem zdjęcia wnętrza, żeby móc później wszystko idealnie odtworzyć. To było bardzo ważne, bo po pierwsze figurant mógł przypadkiem coś zauważyć, a po drugie niektórzy zastawiali na nas po prostu pułapki. Wychodząc, zapamiętywali, w jakiej pozycji leży jakiś ołówek

na teczce i koszulka w walizce, a po przyjeździe sprawdzali, czy nic się nie zmieniło. Różne były sztuczki.

INŻYNIER: Czapka na klamce! Niektóre pokoje miały drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Jak przyjechała jakaś większa rodzina, to otwierało się je i był apartament. Ale na co dzień drzwi były zamknięte na klucz, którego nie wydawano gościom hotelowym. Co mądrzejsi oczywiście domyślali się, że nam będzie najłatwiej przejść właśnie tamtędy. Bywało, że wchodziliśmy, a tam na podłodze czapka. I teraz pytanie – czy wisiła na klamce? A może facet celowo położył na podłodze i chciał zobaczyć, czy ją powiesimy? W takich przypadkach zostawialiśmy ją po prostu na ziemi. Jeśli wcześniej faktycznie była na klamce, to trudno. Przecież jeśli leżała, to wcale jeszcze nie stanowiło niezbitego dowodu, że tam byliśmy. Facet się potem zastanawiał, czy aby sprzątaczką jej nie strąciła albo jakiś ciekawski turysta z pokoju obok nie pociągnął za klamkę.

Pamiętam natomiast sprytniejszego faceta, który na wierzchu walizki położył zwinięty krawat, a w środku stos monet ułożonych w konkretnej kolejności. Podróżował dużo, to miał najróżniejszą walutę. Jeśli podniosłbym ten krawat bez zwrócenia uwagi, że w środku jest niespodzianka, to monety by się rozsypały i już po ptakach – facet wiedziałby, że ktoś mu się do walizki dobierał. Nikt tego nie odtworzy.

Natomiast byli i tacy, którzy powinni się pilnować, a się nie pilnowali. Kiedyś robiłem przeszukanie w pokoju „Szakala”, słynnego terrorysty i zamachowca z Wenezueli. Facet miał w swoim pokoju z dziesięć różnych paszportów ze swoim zdjęciem. Dziś siedzi we francuskim więzieniu, a wówczas zabijał na zlecenie Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Podobno współpracował też z jakimiś służbami Bloku Wschodniego, ale ja przeszukanie mu

robiłem, to jest fakt. Tak samo jak to, że taki facet nie zabezpieczył swoich rzeczy przed przeszukaniem i miałem w ręku te jego wszystkie paszporty.

ŁOWCA: Jeśli patrzeć z perspektywy figuranta, to tak naprawdę najlepszym zabezpieczeniem jest targanie całego dobytku zawsze ze sobą i tyle. Czasem do placówek dyplomatycznych przyjeżdżali spece od zabezpieczeń na kontrolę. Oni to nawet jednej karteczki nie zostawiali, bo się znali na takiej robocie. Jak widzieliśmy, że ktoś ma w pokoju tylko majtki i koszulki, to wiadomo było, co to za gość. Natomiast pozostali to pilnowali się na początku, a potem im się odechciewało. Co najwyżej zastawiali te pułapki albo zamykali rzeczy w walizce. Wtedy panowała taka opinia, że zamki w walizkach Samsonite są niezwykle trudne do otwarcia. A my robiliśmy to w paręnaście sekund, bez pozostawiania śladów. Myk był taki, że otwieraliśmy je ultracienką blaszką. Wycinaliśmy sobie takie samodzielnie, z żyłek. Niewiele nam było potrzeba do szczęścia.

TURYSTA: Do pełni szczęścia potrzebowaliśmy jeszcze urządzenia do kopiowania dokumentów. Pokonać zamek w jakiejś walizce to jedno, ale drugie to szybko wykonać wyraźne fotografie tego, co jest w środku. Zwykłym aparatem robilibyśmy to milion lat, dlatego używaliśmy tak zwanego kombajnu.

INŻYNIER: Kombajn robił to, do czego dziś użylibyśmy skanera, tyle że kopiowanie szło o wiele szybciej. Był taki mały pulpit, na nim wyrysowane formaty A4, A5 i tak dalej – żeby w odpowiedniej pozycji położyć kartkę. Na górze, na wysięgnikach, zawieszane były dwie żarówki liniowe, czyli mówiąc prościej –

takie podłużne lampy. No i najważniejsza rzecz – pośrodku był na wsporniku zamocowany aparat fotograficzny.

TURYSTA: Jeśli kartkę położyło się w odpowiednim miejscu, to zdjęcie zawsze wychodziło ostre, idealnie doświetlone. Do sprzętu można było podłączyć dwa typy wyzwalacza – ręczny albo nożny. Kartka na pulpit, cyk, kolejna kartka, cyk. Szło bardzo szybko. I proszę sobie wyobrazić, że to wszystko się składało i mieściło do takiej poręcznej walizeczki. To był radziecki sprzęt, prosty, niezawodny.



Radziecki kombajn używany przez funkcjonariuszy Wydziału IX do szybkiego kopiowania dokumentów. Po lewej i po prawej widoczne są lampy, a na górze – aparat fotograficzny.

FOTOGRAF: Wie pan, na świecie były nowocześniejsze, niby lepsze, niby bardziej bajeranckie maszyny. Ale nie zdawały egzaminu. Słynna niemiecka firma Robot, produkująca aparaty, jakieś trafipaksy czy – jak kto woli – fotoradary i inne cuda przeznaczone dla służb, wypuściła kiedyś na rynek taki supernowoczesny kombajn, który dla nas był jednym wielkim nieporozumieniem. Po pierwsze, to urządzenie było na baterie, więc całość ważyła z piętnaście kilogramów. Ruski natomiast podłączało się do sieci i ważył zaledwie parę kilogramów, a jak była potrzeba, to chodził też i na akumulatorze samochodowym, więc zawsze była alternatywa. Drugi problem był taki, że podczas gdy w rosyjskim kombajnie lampy paliły się bez przerwy, to w niemieckim błyskały przy każdym zdjęciu. My nie mogliśmy sobie na to pozwolić z dwóch powodów. Po pierwsze, błyskające światło cholernie przykuwa uwagę. Przecież coś takiego byłoby widać choćby przez szparkę pod drzwiami. Po drugie, my robiliśmy przy jednym przeszukaniu nawet parę tysięcy zdjęć. To przecież po takiej sesji człowiek by wychodził i czytał już tylko alfabetem Braille'a i potrzebował laski do poruszania się. Niech pan sobie fleszem błysnie cztery tysiące razy prosto w oczy, to mnie pan przecież nie pozna. A w rosyjskim kombajnie elegancko paliły się po prostu jednostajnie lampki i tyle. Do aparatu wkładaliśmy kasetę z nawiniętymi na siłę nawet pięciuset klatkami i w sekundę robota była skończona.

BRODACZ: Ruski kombajn robił dokładnie to, co do niego należało, mimo że nie był piękny, nie wyposażono go w żadne bajery i na początku cuchnął na kilometr. Był pomalowany lakierem

młotkowym i za każdym razem, jak dostawaliśmy nowy egzemplarz, to trzeba było najpierw na dwa dni włączyć obie żarówki w naszych pomieszczeniach, żeby się wysmrodziły. Bez tego ani rusz, bo przecież z takim śmierdzeniem nie mogliśmy pójść na tajne przeszukanie. Lampy przy wypalaniu nagrzewały się do takiej temperatury, że można było na nich smażyć. Dopiero po dwóch dniach przestawały cuchnąć i dawało się sprzęt normalnie użytkować. I wówczas to była już poezja. Żadnych zacięć, zdjęcia perfekt. A po robocie lampeczki pyk do przodu, w dwie sekundy leżały, potem kłapa ciach i kombajn złożony. Nawet w całkowitej ciemności robiło się to bez problemu.

INŻYNIER: Szybko to wszystko szło, ale żeby poszło jeszcze szybciej, to trzeba było w miarę możliwości oddzielić dokumenty warte sfotografowania od stustronicowych śmieci, które do niczego nam się nie przydadzą. Niech pan pamięta, że stykaliśmy się z pismami w najróżniejszych językach. Wiadomo, nie było problemu z angielskim, niemieckim czy jakimś innym popularnym językiem. Zabawnie się robiło dopiero, jak dostarczaliśmy tłumaczowi dokumenty japońskie, a on nas informował, że na głupoty nie będzie tracił czasu. Sfotografowaliśmy całą stertę papierów i okazywało się, że to instrukcje obsługi radioodbiorników, w dodatku dostępnych też na naszym rynku.

FOTOGRAF: Ja pamiętam jeszcze lepszy numer. Raz jeden z kolegów przyszedł do wydziału uradowany, że skopiował jakiś bardzo długi i ewidentnie bardzo ważny japoński dokument rządowy. Chodził dumny jak paw, a potem przyszła informacja od tłumacza, że to konstytucja. W dodatku polska.

INŻYNIER: Musieliśmy jakoś rozwiązać ten problem, więc w końcu poprosiliśmy tłumacza, żeby nam zapisał najistotniejsze symbole. Potem łaziliśmy z karteczką pełną tych krzaczków, przykładowo takich, które oznaczały, że coś jest poufne. Szukaliśmy ich w nagłówkach i te dokumenty się kopiowało. Raz miałem w ręku walizkę Japończyka, który na pewno przewoził jakieś ciekawe materiały. Jego bagaż miał po lewej i po prawej stronie łącznie osiem zameczków szyfrowych. Osiem! Ewidentnie walizka była zrobiona na zamówienie jakiegoś ministerstwa. Nigdy wcześniej i nigdy później z niczym takim się nie spotkałem. Tam było wszystko tak dobrze spasowane, że nawet folii dentystycznej nie dało się wsunąć. Przy standardowych zamkach w walizkach Samsonite czy Presto to nie stanowiło dla nas najmniejszego problemu. Z pomocą latarki udawało się nieraz nawet przyjrzeć ich mechanizmowi przez szczelinę, ale w przypadku tego konkretnego bagażu światło w ogóle nie przechodziło, nic nie było widać. Nie mogłem z tą walizką spędzić więcej niż parę minut, Japończyk wyjechał z Polski, no i niestety nigdy nie dostałem się do środka. Ale długo nie było mi smutno, bo zaraz dowiedziałem się, którądy będzie szedł transport japońskiej „enigmy”

ROZDZIAŁ 3

JAK PRZEZ OKĘCIE PRZESZEDŁ „TAJFUN”

TURYSTA: Poczta dyplomatyczna w świetle międzynarodowego prawa jest nietykalna, ale nikt nie jest na tyle naiwny, żeby wierzyć, że służby nie kombinują, jak do niej zajrzeć. Dlatego każde państwo próbuje opracować skuteczne metody jej zabezpieczenia, od plomb, przez specjalne pasy, aż po metalowe kasety wyposażone w jakieś nietypowe zamki i liczniki otwarć.

Na warszawskim lotnisku Okęcie zawsze czekał z zegarkiem w ręku kierowca danej placówki i przebierał nogami. Miał pilnować, żeby poczta nie była w rękach Polaków dłużej, niż to konieczne. Ich to mierzenie czasu uspokajało. Nie wierzyli, że ten krótki czas pomiędzy wylądowaniem samolotu a otrzymaniem poczty przez kierowcę wystarczy nam, żeby w znajdującym się pod podłogą pomieszczeniu rozprawić się z zabezpieczeniami, pootwierać koperty, sfotografować wszystkie dokumenty, a potem jeszcze przywrócić całość do stanu pierwotnego. I nie zostawić żadnych śladów. A my to robiliśmy. To samo działało się zresztą w portach, na dworcach, gdziekolwiek poczta się pojawiła. Tę sekcję naszego wydziału formalnie nazywano „Tajfun”



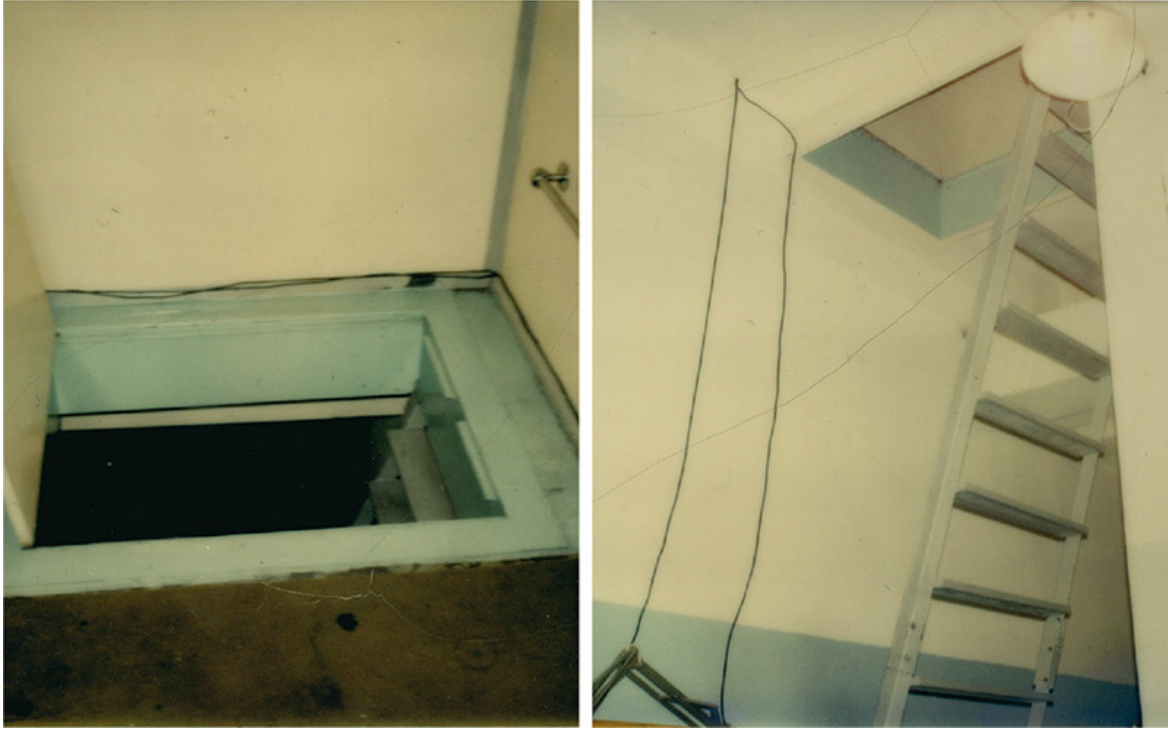
INŻYNIER: To były późne lata siedemdziesiąte, może wczesne osiemdziesiąte. Z kolegą przyjechałem do gdyńskiego magazynu portowego należącego do firmy spedycyjnej Hartwig. Stała tam skrzynia z Tokio długości paru metrów. Japończycy opasali ją taśmami z tworzywa sztucznego, ale nie takimi, które można sobie było kupić z metra na rolce. To były specjalne produkty, z nadrukiem, zrobione na zamówienie. Nie było mowy, żeby to przeciąć, nie dałoby rady tego potem naciągnąć, nie mieliśmy odpowiedniej zgrzewarki potrzebnej do doprowadzenia tego do porządku. Zabezpieczenie solidne, ale ja pomyślałem: „A co, gdyby to otworzyć, w ogóle nie zdejmując taśm?”. O trzeciej nad ranem udało nam się w końcu pousuwać głęboko wbite gwoździe, które następnie na wszelki wypadek odkładaliśmy na bok w konkretnej kolejności, żeby potem każdy wrócił dokładnie na to samo miejsce. Wysunęliśmy deski, jedną po drugiej, i dobraliśmy się w końcu do środka. Było tam mnóstwo przedmiotów przeznaczonych dla placówki, elektronika, instrukcje, wszystko zabezpieczone, popakowane w papier smołowany, żeby nie dostała się wilgoć. Najbardziej interesowała nas maszyna szyfrująca. Szczegóły jej konstrukcji potrzebne były kolegom spoza wydziału, którzy specjalizowali się w opracowywaniu metod kontroli takiej łączności. Skakali z radości, kiedy się dowiedzieli, że otworzyliśmy tę skrzynię. Sami by w życiu nie dali rady. To się tak mówi, że łatwo gwoździe powyciągać, ale one były powbijane maszyną, głęboko. Żeby je wyjąć, trzeba było porozchyłać deski, a przecież nie mogliśmy zostawić żadnych śladów. Chodziło o to, żeby nawet z lupą nikt się nie zorientował, że ktoś przy tym dłubał. W dodatku Japończycy ewidentnie celowo użyli tam gwoździ z kwadratowymi łbami. Każdy trzeba było wbić w tej samej pozycji, w której był

wcześniej, bo gdyby nieco obrócić, to na drewnie na koniec byłoby widać gwiazdkę, a nie kwadrat. Precyzyjna robota.

TURYSTA: Wykorzystywano nas do otwierania najróżniejszych przesyłek, nieraz dość osobliwych. Przykładowo: CIA zostawiało agentom w umówionym miejscu takie pojemniki szpiegowskie zrobione z gipsu i zaczernione. Wyglądały jak kamyk, więc trudno było je zauważyć. Adresat miał wziąć pojemnik w dyskretne miejsce, rozbić go i wyjąć znajdujące się w środku instrukcje wywiadowcze, pieniądze czy cokolwiek tam schowano. Któregoś razu wydział zajmujący się Amerykanami przechwycił taki kamień i wówczas trafił on do nas – z prośbą o delikatne otwarcie. Wiadomo, chodziło o to, żeby nie zniszczyć zawartości, bo prokurator będzie się czepiał, bo to dowód w sprawie, bo to, bo tamto, bo siamto. To akurat nie był mój problem, ale pamiętam, jak koledzy stali nad tym kamieniem i dyskutowali, jak będą go ciąć. Opracowali całą strategię, jak to jeden będzie trzymał, drugi będzie piłą ciął tak, siak. Dumali tak i dumali, przygotowywali się jak do wojny, aż w końcu jeden z nich nie wytrzymał, złapał za młotek i najzwyczajniej w świecie pieprznął w ten kamień z całej siły. Pamiętam to jak dziś, bo mnie aż zamurowało. Zawartości nie zniszczył, nie było żadnego problemu, ale mocno ryzykował. Nie wiem, co mu przyszło do głowy, zwłaszcza że pracował w grupie lotniskowej i na co dzień zajmował się otwieraniem poczty dyplomatycznej. Kto jak kto, ale on potrafił otworzyć nawet najlepiej zabezpieczoną paczkę tak delikatnie, że nie było po tym śladu. Zresztą on sam panu opowie, jak się pan z nim spotka.



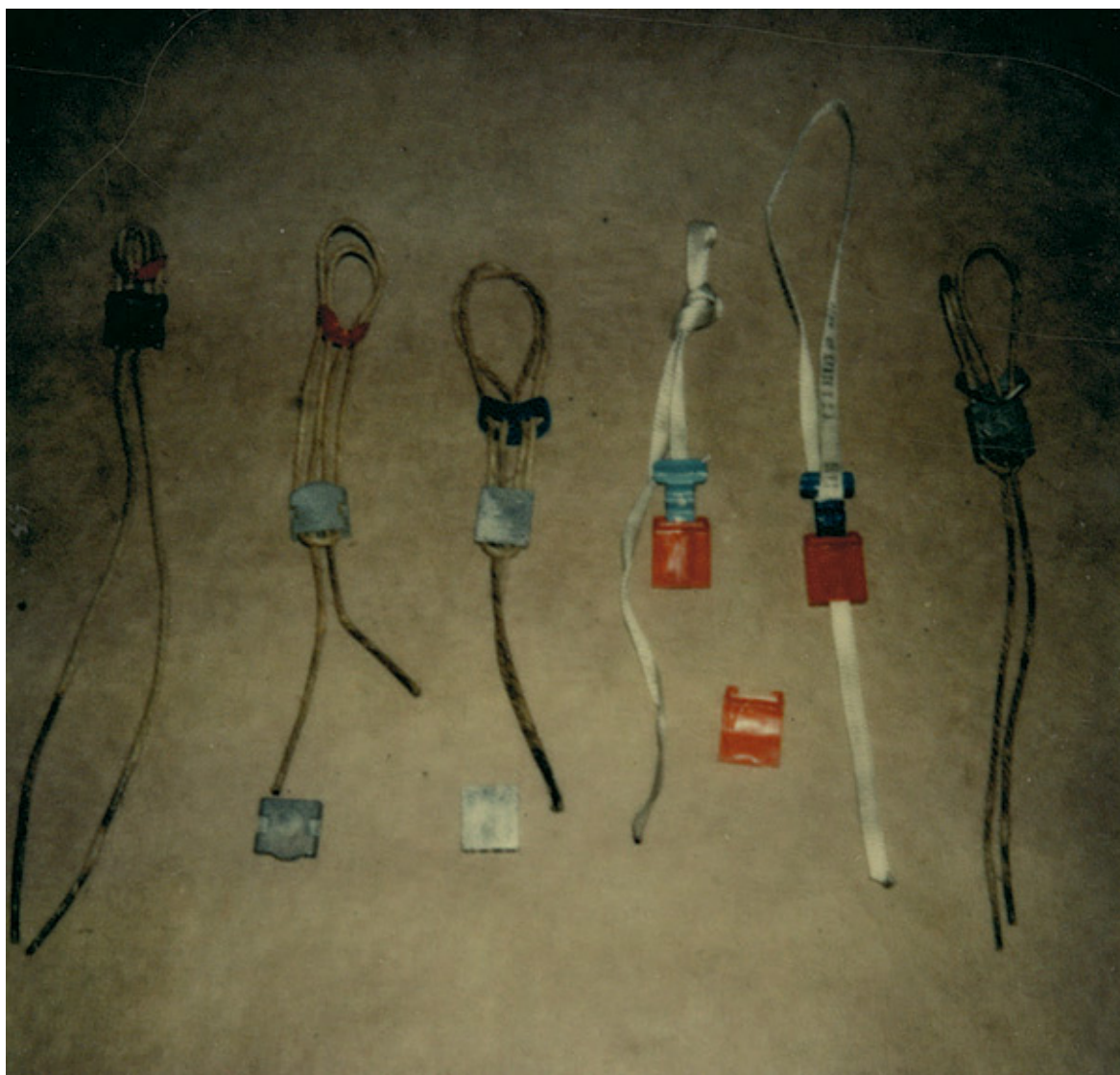
LISTONOSZ: Pamiętam, jaka zapadła cisza, kiedy rozwaliłem ten kamień, oj, pamiętam. Ale to nie był pierwszy, który w życiu widziałem, więc miałem pewne pojęcie, jak się z tym obchodzić. Tak naprawdę takie uderzenie nie mogło niczego w środku zniszczyć. Przecież gdyby ten kontener dotarł do agenta, to on tak samo musiałby go rozwalić. Podjąłem męską decyzję i miałem rację, nic się nie stało. Ale takie brutalne otwieranie było w tej pracy rzadkością. Podobnie jak większość moich kolegów zajmujących się pocztą dyplomatyczną na Okęciu, wywodzę się z Biura „W”. To był pion odpowiedzialny za kontrolę listów, paczek, wszystkiego, co dało się wysłać pocztą. Trzeba było to otwierać, nie pozostawiając żadnych śladów, i w przypadku zwykłych kopert, i pudełek nie było większego problemu, mieliśmy od tego mnóstwo ludzi. Ale ja przez osiem lat siedziałem w Biurze „W” przy tak zwanych dokumentach trudnych, czyli wszystkim, co wymagało jakiegoś dłuższego pomyślnku przed otwarciem. W pewnym momencie, w latach siedemdziesiątych, w Wydziale IX znalazł się jeden z moich kolegów z „W”. Wiedział, że ja siedzę na dokumentach trudnych, że jestem dobry, to mnie ściągnął. Na Okęciu mieliśmy pomieszczenie, a w tym pomieszczeniu ukryte zejście do jeszcze kolejnego. Trzeba było odsunąć stół, otworzyć właz i zejść na dół. Tam można było pracować w spokoju i opracowany przez nas system działał latami.



Wejście do znajdującego się pod podłogą pomieszczenia Wydziału IX na lotnisku Okęcie.

Zabawa zaczynała się w momencie, gdy samolot lądował. Poczta dyplomatyczna przechodziła na lotnisku taką samą kontrolę jak inne bagaże – czy bomba jest, czy bomby nie ma. To był klucz do naszego szczęścia. Mieliśmy przez lata szereg współpracowników wśród personelu lotniska. Była na przykład pani, która sygnalizowała nam, że samolot już jest i bagaże pojawią się za tyle i tyle. Pamiętam też takiego emerytowanego wojskowego, majora, który sobie dorabiał na Okęciu. Odpowiedzialny był teoretycznie za dostarczenie poczty na tę kontrolę bezpieczeństwa. Wrzucał więc worki przez drzwi do pomieszczenia, w którym miała się takowa odbyć – tak przynajmniej myśleli pracownicy lotniska. Ale my oczywiście nic w tym pokoiku nie robiliśmy, tylko otwieraliśmy nasze drzwi znajdujące się z drugiej strony, łapaliśmy wór i biegiem ciągnęliśmy do naszych pomieszczeń. Złożoność dłubaniny zależała oczywiście od zabezpieczeń stosowanych przez konkretne państwo.

Wiadomo, standardowo takie przesyłki się plombuje. Zazwyczaj udawało się zrobić kopię plomby, ale czasem od razu widzieliśmy, że będzie z tym problem. Wówczas stosowaliśmy prymitywną, ale skuteczną metodę ściągnięcia sznurków zamykających worek. Skręcaliśmy po prostu ten worek u góry, skręcaliśmy, skręcaliśmy, aż w końcu dało się zsunąć zabezpieczenie. Niby nie taka filozofia, ale teraz niech pan włoży to z powrotem. To była już filozofia, a w dodatku przed zamknięciem trzeba było materiał worka powygładzać, bo były widoczne ślady ściskania. Podrabianie plomb było znacznie bezpieczniejsze.



Członkom grupy lotniskowej najczęściej udawało się wykonać kopie plomb zabezpieczających pocztę dyplomatyczną. Dzięki temu mogli sobie pozwolić na uszkodzenie oryginałów podczas otwierania worków z dokumentami, co znacznie usprawniało pracę.

Jakieś większe problemy? Były, chociażby z taśmami, którymi zalepiano pocztę fińską i szwedzką. Po pierwsze, trudno było kupić taką samą, bo to nie była zwykła taśma, tylko taka nietypowa, z nadrukami. Po drugie, strasznie ciężko schodziła. Żeby nie zerwać warstwy papieru, trzeba było ją podgrzewać, podcinać, jakiś koszmar. Zwykła taśma na innych paczkach to schodziła szybko, trzeba było tylko uważać, jak ściągało się taką, która miała na powierzchni jakieś stemple. Chodziło o to, że część stempla była na taśmie, a część na samej kopercie czy jakimś kartonie. Wówczas musieliśmy użyć tego samego kawałka taśmy do zalepienia paczki i ustawić tę taśmę dokładnie w tej samej pozycji co pierwotnie, bo inaczej stempel wyszedłby krzywy. Do odklejania większości taśm używało się eteru naftowego, czyli niestety substancji trującej. Po siedzeniu przez lata w tych oparach zupełnie siadła mi trzustka i choruję na cukrzycę. A pewnie można było temu zapobiec, bo były inne środki, którymi dało się odkleić te taśmy. Wiem, bo raz z Japonii przywieźli mi taki Rusczy. To była oczyszczana benzyna, normalnie jak woda, bez zapachu i nietoksyczna. Rewelacja. Zostawili mi tego trochę, ale tylko trochę, bo powiedzieli, że przecież nasz wywiad mi kupi więcej w Azji. No i co? Prosiłem, prosiłem i nigdy się nie doczekałem. Latami eterem trzeba było działać.



Przedmioty niezbędne funkcjonariuszom grupy lotniskowej: po lewej widoczne m.in. stojące na półkach pieczęcie, zawieszane na gwoździach plomby oraz stojące na blacie plombownice. Po prawej zestaw nazywany przez funkcjonariuszy „knopką”, zawierający m.in. skalpele i szczypce.



BRODACZ: Musi pan pamiętać, że na sprawdzanie tych przesyłek mieliśmy bardzo mało czasu. Wszystko musiało być perfekcyjnie zsynchronizowane, żeby nikt nie dopatrzył się opóźnień. Zresztą placówki bezustannie zwracały się do MSZ o zgodę na odbieranie poczty z samego samolotu. My tam mieliśmy ludzi, którzy nas o takich rzeczach informowali, i oczywiście mówiliśmy im, że nie ma mowy i że mają przekazać, że tak w ogóle to ostatnio jeszcze większe opóźnienia się robią, korki na lotnisku, jeden wielki chaos i że bardzo przepraszamy.

ŁOWCA: Ale akurat Amerykanie faktycznie otrzymali jakoś niedługo przed rokiem 1989 taką zgodę. Na szczeblu

dyplomatycznym sobie to wynegocjowali, no i sprawdzanie ich poczty na Okęciu się skończyło.

LISTONOSZ: Wie pan, tyle lat minęło, że teraz trudno mi powiedzieć, ile dokładnie czasu zajmowało nam otwarcie, sfotografowanie i zamknięcie worka. Na pewno było to wystarczająco krótko, żeby kierowca z ambasady się nie zorientował. Jednocześnie musi pan pamiętać, że my zyskiwaliśmy trochę czasu dzięki temu, że poczta dyplomatyczna opuszczała samolot w absolutnie pierwszej kolejności, a dopiero długo później reszta rzeczy. A kierowcy z ambasad nie wiedzieli o tym i podczas gdy my już działaliśmy, oni sądzili, że ich worki są jeszcze na pokładzie.



Fotografie przedstawiają pocztę dyplomatyczną skierowaną do ambasady USA w Warszawie. Amerykanie dokumenty chowali dodatkowo do zrobionych

na zamówienie czarnych plastikowych toreb, a następnie zgrzewali wlot. Funkcjonariusze Wydziału IX podrobili torby, co pozwoliło na regularną kontrolę amerykańskich przesyłek.

Otwieraliśmy pocztę tyłu krajów, że nawet nie jestem w stanie teraz ich wszystkich wymienić. Inne sekcje naszego wydziału nie dotykały demoludów, ale my nawet w ich pocztę czasem spoglądaliśmy. Skoro była okazja, to szkoda było nie zajrzeć, prawda? A jeśli chodzi o Zachód, to wiedział pan, że otrzymałem złoty krzyż zasługi za skopiowanie dokumentów, które pozwoliły Gierkowi przygotować się do negocjacji jednej z pożyczek? Idąc na rozmowy, znał już wszystkie pytania. Wyciągnąłem je z niemieckiej poczty dyplomatycznej.

INŻYNIER: Zresztą za tę samą sprawę ja też otrzymałem odznaczenie. Pamięta pan zameczek szyfrowy, o którym panu opowiadałem? Bawiłem się nim, kiedy byłem w Departamencie Techniki na szkoleniu. Zrobiłem tłumaczenie instrukcji z niemieckiego, odłożyłem na półkę, nikt się tym nie interesował. Jakiś czas później, jak już skończyłem naukę i poszedłem na stałe do Wydziału IX, przyjechali do nas goście z KGB. Byłem w wydziale dopiero ze dwa tygodnie, więc jak myszka siedziałem sobie twarzą do ściany w kącie, popijałem grzecznie kawkę i nie uczestniczyłem w żadnych dyskusjach. No ale siłą rzeczy słyszałem, jak moi przełożeni gadają z tymi Rosjanami. W pewnym momencie mowa była o jakiejś metalowej kasecie do transportu poczty dyplomatycznej, którą wykorzystują Niemcy Zachodnie i która to przeszła przez ręce Bułgarów. Ci z KGB skarżyli się, że wyposażona jest w nietypowy zamek szyfrowy i że za nic nie mogą dojść, co to za ustrojstwo. Opowiadali, jak to wygląda, drapali się w głowę, narzekali, a ja w pewnym momencie się zorientowałem, że doskonale wiem, co to za mechanizm. Odwróciłem się

i zakomunikowałem im to. Cała grupa się na mnie spojrzała – taki smarkacz, dopiero przyszedł do wydziału i już wszystko wie? Prawie mnie wyśmiali, ale ja obstawałem przy swoim, zapewniałem ich, że widziałem taki zamek w pionie techniki i nawet opracowałem polską instrukcję. No to kazali mi polecieć i go szybko przynieść. Jak ten główny facet z KGB to zobaczył, to aż mu się oczy zaświeciły. Zabrał ten zamek ze sobą i jak przyjechał dwa miesiące później, to już miał jego działanie w jednym palcu. Pamiętam jak dziś, to był model S2000 wykonany przez firmę Nordmende, znaną raczej z produkcji telewizorów i odbiorników radiowych. Niemiecka kasetka z tym zamkiem w końcu pojawiła się i u nas na Okęciu, więc naturalnie zaczęliśmy pracować nad metodą ekspresowego jej otwarcia, a zamek nie był tam jedynym problemem. Mimo że dopiero co przyszedłem do wydziału, miałem już punkty u mojego szefa, pana Jerzego, i to nie tylko za skojarzenie tego zamka. W owych czasach szyfranci wracający z placówek na Zachodzie kupowali sobie często drogie zegarki i potem nie chcieli ich oddawać do przypadkowego zegarmistrza w Warszawie. Mój szef znał się na tym i za jakąś tam drobną opłatą po godzinach dokonywał napraw dla kolegów. Kiedy się dowiedział, że ja też jestem w temacie, to przyniósł mi wszystkie swoje narzędzia i powiedział, że teraz to ja będę takim, powiedzmy, zegarmistrzem kontrwywiadu. Co istotne, dał mi jeszcze taki zabytkowy zegarek swojej żony, który podobno od dziesięciu lat próbował już naprawić. Chyba się spisałem, bo gdy tylko wyszła tamta sprawa z depką-75, bo tak nazywała się ta niemiecka kasetka, to pan Jerzy poleciał od razu do ówczesnego dyrektora Departamentu II, generała Władysława Pożogi, i powiedział mu, że w wydziale ma takiego młodego zdolnego inżyniera, znaczy się mnie. Zaproponował, żebym był odpowiedzialny za opracowanie

metody szybkiego otwierania kasety. Pożoga kiwnął głową i tak stałem się odpowiedzialny za ten projekt. Pierwszy raz depkę-75 otworzyliśmy razem z Ruskimi, tyle że zajęło to mnóstwo czasu, coś niedopuszczalnego. Plus był taki, że wykonałem wtedy jej dokładne rysunki, zrobiono też zdjęcia. Zasadniczo było to metalowe pudełko, w którego wnętrzu znajdowały się dwa otwory. W nie wchodziły rygle zamontowane w przykrywce tego pudełka. Wszystko było dobrze przemyślane, świetnie spasowane i trudno było majstrować przy tym, nie zostawiając śladów. Na domiar złego kasetka miała też licznik otwarcia.

LISTONOSZ: Najpierw stosowaliśmy czasochłonny, ale skuteczny sposób, który polegał na przestawianiu licznika. Po jakimś czasie szczęśliwie udało nam się w końcu zdobyć taki sam licznik, podrobić numery seryjne i po prostu podmienialiśmy jeden licznik na drugi. Otwieraniem depki-75 na dobrą sprawę zajmowały się tylko trzy osoby w naszym wydziale, w tym ja. W depce fajne było przynajmniej to, że Niemcy, chcąc zaoszczędzić miejsce, wkładali do środka dokumenty i listy bez żadnych kopert. Więc kiedy człowiek otworzył kasetę, to tylko kładł papiery na kombajn, zdjęcia ciach i gotowe. Potem oczywiście trzeba było wszystko powkładać w tej samej kolejności, bo nawet o takie szczegóły się dbało. Natomiast przy samym otwieraniu tej kasety to już naprawdę trzeba było wiedzieć, co się robi.



Metalowa kasetka Depka-75 została wyposażona przez zachodnioniemieckie służby m.in. w nietypowej konstrukcji zamek oraz licznik otwarcia.

INŻYNIER: Trudno było załatwić tę sprawę porządnie, bo byle jak to każdy potrafi, o czym się kiedyś przekonałem. Któregoś razu otwieramy z kolegą tę kasetę, jesteśmy przy kroku polegającym na nagraniu palnikiem smoczkowym jednej ze śrub i nagle patrzymy, a jej kawałek po prostu „pyk” – odpada. Zawołałem

naczelnika i mówię mu, że coś jest tu nie tak. Grzejemy więc drugą śrubę i sytuacja się powtarza: „pyk” – kawałka śruby nie ma. Spojrzałem na bok kasety i widzę ucięty kawałek napisu „-EST”. Mówię: oho, pewnie „Bukar-est” albo „Budap-est”. Ta kasetka krążyła po wszystkich demoludach i widocznie ostatnio była w Rumunii albo na Węgrzech, gdzie służby siłowały się z tymi śrubami, niszczyły je, a potem naprawiały po prostu klejem.

LISTONOSZ: Ja pamiętam, że klejem śmierdziało, jak kasetka przyjechała z Leningradu, więc sprawę spieprzyli też Rosjanie. Oni oczywiście też intensywnie otwierali depkę, ale inną metodą. Przekonałem się, jak często to robią, gdy któregoś razu przyjechał do nas taki jeden z KGB pogadać, usiadł w naszym pomieszczeniu i zapatrzył się na popielniczkę. Patrzy i patrzy, a ja nie wiem, o co mu chodzi. Nagle sięga ręką, spod tej popielniczki wyciąga małą śrubkę i mówi: „O, zapasowa, do depki!”



ŁOWCA: Okęcie to też miejsce innych akcji. Pamiętam, jak kiedyś dostaliśmy sygnał, że na lotnisku będzie dyplomata z Ameryki Południowej i w bagażu ma narkotyki. Tak, autentycznie. Pojechałem na miejsce z kolegą i gdzieś tam na zapleczu złapaliśmy jego walizkę. Kolega coś nie mógł otworzyć tych zameczków szyfrowych, więc spróbowałem ja – pyk, pyk, otwarte oba. Więc patrzymy do środka, a tam leżą koszulki wyprasowane i poskładane, normalnie jak prosto z fabryki. Podnosimy te ubrania i faktycznie są narkotyki.

BRODACZ: Sprawdziłeś? Może naftalina.

ŁOWCA: Nie, no zostało to sprawdzone, narkotyki na pewno.

BRODACZ: Pewnie ocenialiście różnice w humorze przed i po?

ŁOWCA: To były profesjonalne testy, nie organoleptyczne.

BRODACZ: Jasne.

ŁOWCA: Dobra, zrobiłem zdjęcia tego wszystkiego, zamknęliśmy walizkę i puściliśmy dalej, żeby klient sobie normalnie odebrał. Wykombinowaliśmy też, jaki jest szyfr, podaliśmy celnikowi i czekamy, co się stanie. Celnik faktycznie wziął na bok tego dyplomata, mówi, że są uwagi do walizki, że zapach nie taki, że psy się interesują i tak dalej. Pyta więc, czy facet będzie miał coś przeciwko, jeśli on zajrzy do środka. Na to ten dyplomata mówi, że oczywiście, nie ma problemu, ale zapomniał kombinacji. Nasz celnik odpowiada, że zna się, po czym zaczyna udawać, że otwiera jakąś tam metodą, kiedy faktycznie ustawia podany mu przez nas szyfr. Bach, walizka otwarta. Z klienta błyskawicznie powietrze zeszło. Wie pan, czasem taka pokazówka z naszej strony dawała jakieś korzyści w świecie dyplomacji. Nasze MSZ podziałało i facet musiał pożegnać się z Polską.

ROZDZIAŁ 4

„OBIEKTOWI”

ŁOWCA: „Obiektowymi” nazywano tych pracowników wydziału, którzy wchodzili na teren placówek. To była górna półka, elita. Kiedy już sprawdziłem się przy robotach hotelowych, „obiektowi” pozwolili mi zaledwie podwieźć się pod ambasadę i czekać na dole – i to była dla mnie wielka nobilitacja. Do przeprowadzenia penetracji była potrzebna masa bardzo ciężkiego sprzętu, więc kolejnym etapem była rola tragarza. Pamiętam, jak po raz pierwszy pozwolono mi wejść do środka. To był konsulat francuski w Krakowie. Taki starszy kolega, Jasiu, kazał mi usiąść w fotelu i się nie ruszać. Ciemno było zupełnie, oni przyświecali sobie tylko latareczkami trzymanymi w zębach, grzebiąc w jednym z zamków. Tam nie było dyplomatycznych rozmów, to jest praca pod straszną presją czasu, przekleństwo za przekleństwem, oczywiście same szeptki. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby się ruszyć – powiedziano mi, że mam siedzieć na tyłku, to grzecznie siedziałem. Wstałem dopiero wtedy, gdy była pora się zbierać i kolega pozwolił. Wychodząc, sprawdziłem jeszcze ze sto razy, czy na pewno fotel nie jest wygnieciony i stoi w tym samym miejscu co wcześniej.

BRODACZ: Ale byli tacy, co to nie mogli zrozumieć, że mają się nie kręcić po obiekcie. Nie ma gorszego zawodnika niż ciekawski. Taki, co to łązi i tylko mu rączki chodzą na prawo i lewo. Pamiętam

jednego gamonia, który wszedł, zaczął nie wiadomo po co przeglądać książki i przewrócić regał. Wyobraża pan sobie? Nie lubiłem też, jak ktoś wchodził na obiekt i zaraz szukał toalety, bo za dużo herbatki do kolacji wypił. Co to ma być? Z toalety korzystamy przed akcją, a nie w budynku ambasady, gdzie dźwięk spuszczonej wody może doprowadzić do tragedii. Jeśli to się powtarzało, to takiemu komuś też się dziękowało. Do grupy obiektowej trafiali bardzo nieliczni, bo poza umiejętnością zachowania się na obiekcie kandydat musiał jeszcze być nadzwyczaj odporny na stres. Przecież niejednokrotnie było tak, że pracowaliśmy i nagle słyszeliśmy kroki Amerykanów nad naszymi głowami. Trzeba było poczekać, aż ucichną, potem jeszcze trochę dla pewności i dopiero się wracało do pracy. Trafiali się tacy, którzy nie byli w stanie wytrzymać takiego napięcia. Niektórzy wchodzili, momentalnie dostawali rozstroju żołądka i trzeba było ich ewakuować. Pamiętam, że jeden z naszych naczelników pocił się jak mysz, kiedy tylko przeszedł przez próg. Zupełnie się do tego nie nadawał.

ŁOWCA: Pamiętam, pamiętam. Latał po obiekcie, przeżywał, za głowę się trzymał. Któregoś razu też coś na żołądek zaczął narzekać, spytałem się go, co jadł przed akcją, a on mówi, że goloneczkę. Taki niespokojny i z całego menu musiał akurat wybrać goloneczkę.

TURYSTA: Byli i tacy, którzy rezygnowali w ogóle z pracy w wydziale, kiedy się dowiadywali, co tak naprawdę trzeba robić. Jeśli chodzi o mnie i o „Brodacza”, to nas bardzo szybko rzucono na głęboką wodę. Trafiliśmy do grupy obiektowej właściwie po paru tygodniach pracy w wydziale. Któregoś dnia starsi koledzy kazali nam po prostu wsiadać do auta i zawieźli nas na robotę

do Szczecina, do konsulatu szwedzkiego. W końcu stało się jasne, na czym będzie polegała ta robota i dlaczego nas tak męczyci tą nauką otwierania zamków. Czemu nas tak szybko wtajemniczono? Widzieli, że szybko się uczymy, i akurat było zapotrzebowanie na pracowników w grupie obiektowej. Do tej pracy strasznie trudno było znaleźć odpowiednich ludzi.

Pojechaliśmy, weszliśmy, no i pierwszy raz mieliśmy za sobą. Ale wie pan, łatwo powiedzieć: „pojechaliśmy i weszliśmy”, ale to było wielkie przedsięwzięcie. To, że mogliśmy tak sobie wejść, było wynikiem wieloletniego przygotowania naszych starszych kolegów. Z czasem my staliśmy się odpowiedzialni za ten proces i na własnej skórze przekonaliśmy się, co to znaczy. Jakie są etapy? Każdy kontrwywiad ma wydziały odpowiedzialne za konkretne kierunki – kraje, a w niektórych wypadkach całe grupy państw. Tak też było u nas. Wydział I zajmował się zwalczaniem szpiegostwa amerykańskiego, Wydział II – brytyjskiego i tak dalej. Ludzie tam pracujący byli oficerami operacyjnymi – to oni werbowali do współpracy obcokrajowców oraz Polaków pracujących w ambasadach, bo przecież każda placówka takowych miała. Pomoc oficerów operacyjnych była dla nas szalenie istotna, bo to oni, dzięki swojej agenturze, mogli nam powiedzieć, że w takich to a takich dniach placówka będzie zaczynać pracę o dwie godziny wcześniej niż zwykle, że od teraz sprzątaczką przychodzi do pracy późnym wieczorem, a nie wczesnym rankiem i tak dalej. Szczerze mówiąc, o pracy z agenturą powinien pan też porozmawiać z moim kolegą z wydziału operacyjnego.



WERBOWNIK: Od lat siedemdziesiątych pracowałem w Wydziale V Departamentu II. Oj, kierunków pod sobą to my tam mieliśmy milion. Ja zajmowałem się głównie Szwedami i Hiszpanami, ale wydział odpowiedzialny był też za Finlandię, Szwajcarię, różne kraje Ameryki Środkowej i Południowej. Do tego były kraje azjatyckie, przede wszystkim Japonia, Indie, ale i szereg innych. Roboty było aż nadto. A, byłbym zapomniął, jeszcze do tego była Afryka. Za wejścia do ambasady szwedzkiej byłem odpowiedzialny paręnaście lat. Wiedziałem o tym miejscu wszystko, podobnie zresztą jak o ambasadzie hiszpańskiej.

Praca z agenturą to mnóstwo psychologii. Ważne, żeby współpraca przebiegała powoli, etapami, żadnych nagłych ruchów. Nie można źródła pierwszego dnia zasypać niewygodnymi pytaniami, bo się człowieka spłoszy. Często rozmowy zaczynaliśmy pod legendą, czyli nie zdradzaliśmy, że jesteśmy ze służb. Dopiero potem powoli ujawnialiśmy, o co tak naprawdę chodzi. Ważne było, żeby pokazać agentowi, że nasze działania nie są wcale wymierzone w niego ani jego znajomych, że to nie jest nic osobistego. W przypadku Polaków dobrze było, żeby człowiek zobaczył, że chodzi o interes państwa, a nie jakieś głupoty. Ludzie zupełnie inaczej na nas patrzyli, jak w końcu dowiadywali się, że jesteśmy z kontrwywiadu. Byli dużo bardziej otwarci.



Ambasada Szwecji w Warszawie przy ul. Bagatela 3, widok współczesny.

Czy używaliśmy szantażu przy werbunku? W służbach nie ma sentymentów i nie ma żartów. Jak była taka potrzeba, to cudzoziemcom w hotelach podstawiało się panienki. W Biurze „B” był taki wydział odpowiedzialny za hotele i oni mieli zawsze na kontakcie miłe panie. Dobierało się inteligentne, często znające języki obce. To nie były przypadkowe dziewczyny. Im to pasowało, bo dzięki temu miały wstęp do hotelu – przecież to betka decydowała o tym, która wejdzie, a która nie. Miałem figuranta, którego dziewczyna tak omotała, że zaczął się z nią nawet spotykać

w jej mieszkaniu. A mówiąc „jej mieszkaniu”, mam oczywiście na myśli nasze mieszkanie wyposażone w rozmaite cuda techniki.

Ludzie nie do końca zdają sobie sprawę z tego, jak wyglądało użycie materiałów kompromitujących. Jak mieliśmy już nagranie takiego faceta z panienką, to przecież wcale nie biegliśmy do niego od razu z telewizorem i nie robiliśmy projekcji. Najpierw trzeba było klienta wybadać. Czasem wystarczyło co najwyżej zasugerować, że coś tam wiemy, a facet już zmieniał ton i się z nami zaprzyjaźniał.

TURYSTA: Wydział operacyjny dostarczał nam nie tylko informacje od agentury, ale nawet klucze, do których ci agenci mieli dostęp. Takimi możliwościami dysponowało też w pewnym stopniu Biuro „B”. Było ono na przykład w kontakcie z pracującymi w domach dyplomatów gosposiami, które miały zarówno wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia, jak i możliwość zdobycia na przykład kluczy z marynarki szefa. Zazwyczaj nie były to jakieś bardzo istotne klucze ani tym bardziej kombinacje do sejfów, z których ustaleniem musieliśmy sobie radzić sami. Ale jeśli gosposia wyciągnęła z teczek dyplomaty choćby klucze do jakiegoś korytarzyka albo pomieszczeń gospodarczych i umożliwiła zrobienie kopii – to zawsze było jakieś ułatwienie dla nas, oszczędność czasu.

INŻYNIER: Do mnie któregoś ranka trafił pęk parunastu kluczy należących do ambasadora. Udało się te klucze zdobyć właśnie poprzez agentkę Biura „B”. Powiedziano mi, że muszę szybko robić kopie, bo zostały wyciągnięte ze spodni tego ambasadora, który aktualnie leży pijany po całonocnej balandze w swojej rezydencji, ale prędzej czy później zwlecze się z łóżka. Nawet nie było do końca wiadomo, do czego są te klucze, no ale jak są, to trzeba robić. To było niezłe wyzwanie, żeby to zrobić tak szybko, bo odwzorowanie

kluczy nie polega na wciśnięciu jak w komputerze „kopiuj” i „wklej”. Najprościej jest wtedy, kiedy dysponujemy kluczem surowym, czyli takim „pustym”, nienaciętym jeszcze kluczem konkretnego rodzaju, profilu i długości. Gdy trzeba skopiować model, do którego nie ma klucza surowego, wtedy robi się odcisk i potem na jego podstawie tworzy się kopię. Najtrudniejsze jednak były takie specyficzne, bardzo skomplikowane klucze, do których skopiowania trzeba było użyć specjalnej metody, opracowanej zresztą przeze mnie i opierającej się na wykorzystaniu rury wypełnionej silikonem. Jakoś się udało, zdążyłem i pęk wrócił do kieszeni ambasadora w porę.

WERBOWNIK: Agenci nam bardzo pomagali w takich sprawach, ale trzeba było rozmawiać z nimi w taki sposób, żeby nie wiedzieli wszystkiego. To nie wyglądało przecież tak, że ja go prosiłem o klucze i mówiłem: „jutro w nocy przychodzimy na tajne przeszukanie, dzięki”.

TURYSTA: Najważniejsze, żeby agenci nie wiedzieli, jak daleko wchodzimy. Nie mogli wiedzieć, że potrafimy otworzyć drzwi punktu szyfrowego i najważniejsze sejfy. Niech agent sobie myśli, że wchodzimy tylko do paru gabinetów z brzegu, przeglądamy zawartość szuflad w biurku, może zakładamy podsłuchy i tyle. Dostanie wynagrodzenie, nie będzie pytał o szczegóły. A prawda jest taka, że nasz wydział nie robił podsłuchów. One były instalowane przez inny pion, najczęściej jeszcze na etapie budowy.

ŁOWCA: Dobrą i zapewniającą pełną konspirację okazją do zdobycia kluczy były też wizyty specjalistów od bezpieczeństwa, którzy co jakiś czas przyjeżdżali z zagranicy do swoich placówek powymieniać zamki. Zawsze szukało się jakiegoś dojścia do ich

bagażu i to się niejednokrotnie udawało. Co to oznacza? Że oni zakładali zamki, do których my już mieliśmy klucze!

WERBOWNIK: Czy próbowaliśmy werbować szyfrantów? Nie, to byli ludzie wyszkoleni i nie miało to żadnego sensu.

TURYSTA: Tak samo nigdy nie próbowaliśmy wydobywać kombinacji do zamka w drzwiach strefy chronionej od jakiejkolwiek innej osoby, która dysponowała tą wiedzą. Istniało po prostu ogromne ryzyko, że taki człowiek zgłosi to swojemu kontrwywiadowi. W najlepszym przypadku dadzą wtedy znać wszystkim zaprzyjaźnionym krajom o naszej próbie dostania się do wnętrza strefy chronionej i od tego momentu w każdej placówce będzie spało na sejfie trzech żołnierzy. I już nigdy nie uda nam się dostać do wnętrza. Gorszy scenariusz to taki, że podadzą nam dla podpuchy jakiś szyfr, pozwolą wejść do środka, a tam będzie już na nas czekała pułapka. My nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Punkty szyfrowe i sejfy potrafiliśmy pootwierać sami i ciągnąć takie działania latami, bez niczyjej wiedzy. Klucze do tych najważniejszych drzwi też dorabialiśmy sobie często sami. Najpierw otwierało się zamek szperakami, a potem z czasem udawało się go rozebrać na części, wykonać pasujący klucz i nikogo nie trzeba było prosić o pomoc. Naszą siłą była konspiracja działań. Nawet nasi koledzy ze służby nie wiedzieli przecież, czym dokładnie się zajmujemy.

Każdy szeregowy funkcjonariusz był przekonany, że nasz wydział zajmuje się problemami technicznymi wewnątrz kontrwywiadu, a więc naprawą jakichś urządzeń, standardowymi przeszukaniem w hotelach i mieszkaniach i tyle. Powiem więcej – w drugiej połowie lat osiemdziesiątych funkcjonowała u nas w wydziale grupka funkcjonariuszy zajmujących się elektroniczną kontrolą

łączności szyfrowej ambasad włoskiej i szwedzkiej. Pracowaliśmy w jednym wydziale, a niektórzy z tych kolegów też nie mieli pojęcia, co my nocą robimy!



BRODACZ: Szalenie istotnym elementem przygotowania wejścia do placówki było zrobienie rozeznania także przez nas samych, bo przecież tylko częściowo bazowaliśmy na informacjach od oficerów operacyjnych. Podstawą było obejrzenie obiektu z zewnątrz: gdzie pada światło latarni, a gdzie jesteśmy poza jej zasięgiem, gdzie jest furтка, gdzie balkon, gdzie okno – takie banały w sumie, ale bardzo potrzebne. Potem trzeba było jeszcze rozejrzeć się po wnętrzu. Żeby obejrzeć sobie od środka ambasadę włoską, zatrudniłem się w pewnym momencie w polskiej ekipie remontującej budynek. Proszę pana, to dopiero była ciężka robota – i wcale nie mówię tu o samym malowaniu ścian. Chodzi o to, że nie mogłem wzbudzić żadnych podejrzeń ani wśród Włochów, ani wśród moich nowych kolegów. Wszyscy musieli być przekonani, że jestem jednym z robotników. Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one, prawda? No i to właśnie było nie lada wyzwanie, bo ta ekipa remontowa to byli najwięksi pijacy, jakich w życiu widziałem. W normalny dzień to jeszcze udawało mi się jakoś wymigać od chlania. Ale jak była wypłata, a funkcjonowały tygodniówki, to już nie mogłem odmówić, bo zaraz zaczęłyby się szeptki, że coś ze mną nie tak, skoro cały czas na trzeźwo łążę.

No więc pamiętam, jak przyszła pierwsza wypłata. Powiedziałem, że oczywiście idę z nimi balować, myśląc naiwnie, że usiądziemy w jakimś mniej lub bardziej cywilizowanym lokalu. Tymczasem moi nowi koledzy poszli do sklepu, nakupowali wódki, do tego jedną

cebulkę i dwa pomidorki. Ambasada włoska jest w samym centrum Warszawy, przy placu Dąbrowskiego. Stamtąd przeszliśmy kawałek na tyły kościoła Świętego Krzyża przy Krakowskim Przedmieściu. Tam usiedliśmy na jakiejś ławeczce, wokół której leżało mnóstwo butelek po jakimś świństwie, które piją tylko najgorsi alkoholicy. No i zaczęło się polewanie, oczywiście do jednej jedynej szklanki, z której pili wszyscy. Patrzę, a oni bul, bul, bul – taką szklankę duszkiem piją. Do tego kawałek cebuleczki, pomidorka i pora na kolejnego zawodnika. Doszło do mnie, dzielnie wypięm, zagryzłem, wziąłem parędziesiąt głębokich oddechów, żyję. Nim zdążyłem się obejrzeć, szklanka do mnie wróciła. Znów wypięm i zagryzłem. Proszę pana, ja tego dnia nic akurat nie jadłem poza jakąś drobną kanapeczką na obiad, a że te prace remontowe nie były lekkie, to byłem strasznie głodny i zmęczony. Jak po takim dniu wlali we mnie tę wódkę, to ledwo się dowlokłem do domu – myślałem, że to już koniec, że już czas się żegnać z tym światem. No ale trzeba było się poświęcić, bo takie działania dużo naszemu wydziałowi dawały.

W pewnym momencie pracowałem też w ekipie remontowej w konsulacie amerykańskim w Poznaniu, ale przyznaję, że Amerykanie mocno nas pilnowali i było trudno się rozejrzeć. Natomiast u Włochów to co chwila się wymykałem i łąziłem to tu, to tam. Różnąłem głupa, że mnie ktoś po kubeł wody wysłał i się zgubiłem, gadałem do nich po polsku, oni mi odpowiadali po swojemu, jakoś to szwendanie się po placówce uchodziło mi na sucho. Oczywiście do tych najważniejszych pomieszczeń nie próbowałem wchodzić, bo by mnie stamtąd wynieśli, ale zasadniczo w tej ambasadzie bardzo dużo udało się zobaczyć dzięki zatrudnieniu w takiej ekipie remontowej.

INŻYNIER: Ja kiedyś wszedłem na obiekt jako członek ekipy hydraulicznej. Razem z autentycznym hydraulikiem kombinowałem przy kaloryferach. Odkręcaliśmy je, pługaliśmy, czyściliśmy. Cały czas patrzył na nas pracownik ambasady, ale co jakiś czas udało mi się zerknąć, jaki mają tam alarm, jakie drzwi, jakie zamki.

ŁOWCA: Jeśli nie mieliśmy kopii kluczy, to bardzo dobrze było dowiedzieć się zawczasu, jakie w ambasadzie mają zamki. Przecież to nie było tak, że łapaliśmy zestaw szperaków i problem rozwiązany. W placówkach zachodnich nieraz montowano zamki wyjątkowo nietypowe, drogie, precyzyjne. Najpierw staraliśmy się w ogóle dowiedzieć, co to za mechanizm, a potem musieliśmy zdobyć taki sam zamek, żeby go sobie dokładnie obejrzeć.

WERBOWNIK: W ambasadzie szwedzkiej był spory problem z jednym z zamków. Nie można było go sobie tak po prostu kupić, ale Szwedzi w pewnym momencie popełnili błąd. Mianowicie zasada była taka, że raz na kwartał ten zamek wymieniają na nowy, a stary wysyłają z powrotem do Szwecji. Któregoś razu jeden z pracujących tam w ambasadzie panów zaczął ich prosić, żeby mu ten wspaniały zameczek dali w prezencie, bo potrzebuje solidnego do drzwi w domu. Błagał ich i błagał, aż w końcu się zgodzili. Facet był oczywiście moim agentem i działał na moje zlecenie. Zamek zaraz był na stole w pomieszczeniach Wydziału IX, rozebrany na części pierwsze.

ŁOWCA: W takich sytuacjach na spokojnie sobie wszystko analizowaliśmy, kompletowaliśmy odpowiedni zestaw narzędzi i po prostu ćwicziliśmy otwieranie takiego zamka, żeby być gotowym na powtórzenie tego podczas akcji, w warunkach mało komfortowych, po ciemku, w stresie.

BRODACZ: Kiedy już wiedzieliśmy, jakie są w placówce zamki, to sprawdzało się też, czy mamy pasujące surowe klucze, które będą później potencjalnie potrzebne do zrobienia duplikatu. W wydziale mieliśmy taką olbrzymią ścianę, na której był gwoździe przy gwoździu i wisały tam właśnie niezliczone ilości kluczy surowych niemieckiej produkcji. Sprawdzaliśmy w katalogu, który akurat jest nam potrzebny, i jeśli nie było, to zamawiało się przez struktury MSW. Ale były też produkty, po które sami musieliśmy pojechać.

ŁOWCA: Tak że dwa razy do roku jeździło się do Berlina Zachodniego kupić rzeczy, które w Polsce były po prostu niedostępne. To było wszystko: od materiałów fotograficznych, przez przedmioty potrzebne do otwierania zamków, aż po najróżniejsze kleje, żele, wszystko, co tylko można sobie wymarzyć.

BRODACZ: Wie pan, my nie dotykaliśmy ambasad krajów bloku wschodniego, ale jak nocowaliśmy w Berlinie Wschodnim, żeby następnego dnia pójść na zakupy na drugą stronę, to Stasi się nami interesowało. Niech pan sobie wyobrazi, że któregoś razu, jak tam byłem, to zauważyłem, że zamek mi się w drzwiach samochodowych zacina. Zacząłem grzebać i wyjąłem czubek takiego szperaczka, którym na pewno nie dłubałby mi tam pospolity złodziej. Czyli „ciocia Stasia” ewidentnie czuwała, mimo że to niby zaprzyjaźnione służby.

TURYSTA: Miałem podobną historię. Któregoś razu byłem z naczelnikiem w Berlinie Wschodnim, przyjechaliśmy do naszej ambasady na Unter den Linden, wzięliśmy klucz do jakiegoś mieszkania, które przynależało do placówki, przenocowaliśmy i jak

rano wsiedliśmy do auta, to zauważyłem, że ktoś grzebał w środku. Nasz wydział w ogóle nie współpracował ze Stasi. Wątpię, żeby oni wiedzieli, kim my dokładnie jesteśmy, i może właśnie dlatego tak się nami interesowali. Tyle że w naszym aucie nie mogli nic znaleźć, bo tam po prostu nic ciekawego nie było. Jechaliśmy na zwykłe zakupy, więc nic poza pieniędzmi nie było nam specjalnie potrzebne. Po zakupach się wracało do Polski i tyle. Za pracę trzeba było się zabierać, a nie szwendać po świecie.



TURYSTA: Jeśli chodzi o alarmy, to w latach osiemdziesiątych używano głównie tak zwanych kontaktronów, które zresztą do dziś są powszechne w systemach zabezpieczeń. Na rancie drzwi albo gdzieś w środku przykleja się parucentymetrowy elemencik i drugi, identycznie wyglądający, na ościeżnicy. Jeden to kontaktron, a drugi to magnes. Jak są blisko siebie, przy domkniętych drzwiach, to wszystko jest okej, mamy zamknięty obwód elektryczny. Natomiast gdy ktoś je otworzy, to obwód zostaje przerwany i włącza się alarm. Przed wejściem do placówki trzeba było ustalić, czy takie kontaktrony zostały zainstalowane i gdzie. To było nieraz trudne zadanie, nawet dla agentury, która tam pracowała na co dzień, bo nie wszystkie kontaktrony były widoczne gołym okiem. Czasem wpuszczano je w same drzwi, a nie naklejano na widoku, więc nawet jak ktoś podszedł blisko, to mógł ich nie zauważyć. Jeśli już ustaliliśmy, że na drzwiach jest alarm, to musieliśmy podjąć decyzję, czy warto z nim walczyć, a są sposoby na oszukanie kontaktronów przy użyciu magnesów, czy lepiej drzwi zostawić w spokoju i iść inną drogą, przez jakieś okno, piwnicę, balkon.

INŻYNIER: Pamiętam, że kiedyś udało mi się zrobić kopię klucza do centralki alarmu w ambasadzie Danii, ale był to akurat taki moment, że ten alarm w ogóle nie był używany, więc nie miałem okazji przetestować, czy mój klucz pasuje. Któregoś razu, będąc w tej placówce, włożyłem go do otworu i wykonałem tylko taki lekki ruch w prawo i w lewo, żeby zobaczyć, czy odpowiednio chodzi. Wszystko było w porządku, następnego dnia napisałem w raporcie do przełożonego, że klucz jest sprawdzony, że wszystko okej. Nim się obejrzałem, szef woła: „Do mnie!” Poleciałem do jego gabinetu, zastanawiając się, co takiego się stało, czy może jakaś wpadka, czy coś. A on pyta, skąd ja wiem, że klucz do alarmu działa. No to mówię, że włożyłem go do centralki. On na to, że nie było tego w planie i że przecież mogłem w ten sposób włączyć alarm i doprowadzić do katastrofy. Powiedziałem mu, że to jest martwy ruch, czyli obrót o tyle stopni, że nic się jeszcze nie dzieje. Potem Duńczycy zaczęli włączać ten alarm i klucz długo nam służył.

FOTOGRAF: Skoro „Inżynier” panu nie powiedział, jaką miał przygodę u Włochów, to ja panu opowiem. Któregoś razu poszedł tam na plac Dąbrowskiego pod „Diona”, to był kryptonim tej ambasady, i chciał tylko włożyć nowo wykonany klucz do zamka w bramie, sprawdzić, czy pasuje: myk otworzyć, myk zamknąć i się szybko oddalić. No ale kiedy tam się znalazł, to akurat w tym momencie brama się sama otworzyła i stanął przed nim Włoch z karabinem, uzbrojony wartownik. Zanim ten strażnik się zorientował, że stojący przed nim nieznajomy ma jakiś klucz w ręku, to „Inżynier” zaczął spierniczać ile sił w nogach i na zakręcie tak się wyłożył, że potem miał przez jakiś czas problemy z nogą.



Ambasada Włoch w Warszawie przy pl. Dąbrowskiego 6. Fotografia wykonana na potrzeby Departamentu II w pierwszej połowie lat 80.

Przypomniała mi się teraz też taka sytuacja, jak pojechałem do konsulatu amerykańskiego w Poznaniu z naczelnikiem i takim moim kolegą z wydziału, Czesiem. Stanęliśmy tam przed jednym z zamków, Czesio wyjął szperaki i zaczyna grzebać. Coś mu nie pasuje, klnie i klnie, w pewnym momencie jakoś tak kucnął obok tych drzwi. Nagle przed jego nosem zaczyna się opuszczać klamka. Normalnie ktoś otwiera drzwi z drugiej strony! Pamiętam, że mnie aż ciarki przeszły po plecach. Drzwi się otwierają, patrzę, a po drugiej stronie stoi pan naczelnik i mówi: „Czesiu, ty się już tak

nie męcz, tu z drugiej strony klucz jest włożony do dziurki". Okazało się, że pan naczelnik po prostu poszedł inną drogą do tego pokoju, pootwierał jakieś tam drzwi i dostał się drugim wejściem. A my o mało nie zeszliśmy na zawał. Pamiętam też, jak kiedyś mi się gorąco zrobiło w ambasadzie szwedzkiej. Czasem chodziłem tam w ogóle bez latarki, bo doskonale znałem obiekt. No więc któregoś razu idę po ciemku i nagle czuję, że stanąłem na człowieka. Pochyliam się, a to mój kolega. Nie miał akurat nic do roboty, to się walnął odpocząć na podłodze.

LISTONOSZ: Czasem jeździłem z kolegami na akcje, pomóc z pocztą na obiekcie albo z otwarciem bloczków szyfrowych. Pamiętam swoje pierwsze wejście do konsulatu amerykańskiego. Koledzy otworzyli mi drzwi i powiedzieli, że mam iść przodem. Wchodzę, patrzę przez ciemność, bo przecież wchodziliśmy zawsze w środku nocy, i czuję, jak włosy mi się jeżą na głowie, dosłownie. Przedemną stoi amerykański żołnierz w pełnym umundurowaniu i z bronią w ręku. W tym momencie słyszę za sobą cichy chichot, odwracam się, a moi koledzy mówią, że mam się uspokoić, bo każdy musi się nabrać za pierwszym razem. Wie pan, ten żołnierz to była po prostu bardzo realistyczna figura woskowa, którą tam Amerykanie postawili, żeby zdołała konsulatu.

TURYSTA: Żarty żartami, ale konsulaty amerykańskie w Poznaniu i Krakowie były jednymi z najtrudniejszych obiektów, bo wchodziło się tam, kiedy gospodarze byli cały czas na miejscu. Zresztą nie tylko tam. Chociażby u wspomnianych Włochów chodziliśmy pod nosem strażników uzbrojonych w karabiny! Jak to robiliśmy? Trzeba było tak chodzić, żeby się z nimi nie spotkać – tak to można najprościej ująć. Rozeznanie zrobione przez nas, przez pion obserwacji i przez wydział operacyjny dawało nam wiedzę o tym,

jakimi trasami się poruszają, o której godzinie i tak dalej. Poza tym wydział operacyjny kombinował, jak mógł – próbował stwarzać jakieś okoliczności, które odwróciłyby uwagę strażników albo zwabiły ich na zewnątrz. Albo szukali jakichś dziur w grafiku. Pamiętam, że w jednej z placówek przebywał każdej nocy wartownik, który w pewnym momencie trafił do szpitala na dwa dni. Nie było zastępstwa, a my przez te dwa dni dużo działaliśmy. Były też takie przedstawicielstwa, które teoretycznie ochraniali Polacy. Mówię: „teoretycznie”, bo jak się pan domyśla, taka ochrona nie stanowiła dla nas jakiegoś wielkiego problemu. Często byli to emerytowani funkcjonariusze naszego pionu obserwacji. Weźmy chociażby ambasadę hiszpańską. Dziś jest na Myśliwieckiej, ale wówczas, w latach osiemdziesiątych, mieściła się w kompleksie wieżowców przy ulicy Starościńskiej. Tam był ochroniarz, portier siedzący przy wejściu. Trudno by było się koło niego przemknąć, więc trzeba było się z nim dogadać.



Ambasada Hiszpanii mieściła się na VI, VII oraz VIII piętrze widocznego na zdjęciu wieżowca stojącego przy ul. Starościńskiej 1b w Warszawie. W latach

80. Hiszpanie zamontowali w drzwiach bardzo skomplikowany zamek, który funkcjonariusze Wydziału IX ominęli wchodząc przez balkon znajdujący się po drugiej stronie budynku.

WERBOWNIK: Pamiętam dokładnie, jak było z tym portierem na Starościńskiej. Rzeczywiście się z nim dogadaliśmy i układ był taki, że przychodziło do niego przed akcją dwóch oficerów i wówczas on na chwilę wychodził sobie do innego pomieszczenia, żeby za dużo nie widzieć. Grupa była wpuszczana do garażu, skąd razem ze sprzętem wjeżdżało się na górne piętra. Portier wówczas wracał do swojego biurka i siedział tak przez cały czas trwania akcji. Wiedział więc, że coś się dzieje, ale to był wielki wieżowiec i mieściła się tam niejedna ambasada, a oprócz tego najróżniejsze biura, mieszkania, więc ryzyko, że on się zorientuje, dokąd dokładnie poszliśmy, było znikome.

INŻYNIER: Było też coś takiego jak Batalion Specjalny Milicji Obywatelskiej. Tak jak dziś nasi policjanci stoją przed placówkami, tak i wówczas stali. Z tymi to już absolutnie nie było żadnego problemu, bo załatwialiśmy sprawę z ich dowódcą, który wydawał rozkaz o zmianie grafiku i tyle. A wtedy na warcie stawał nasz człowiek, w odpowiednim mundurze, który wypożyczało się od kolegów z pionu obserwacji. Oni mieli specjalną szatnię z różnymi strojami. Czasem zdarzało się, że mundur miał nieaktualne oznakowania, jakieś brakujące szczegóły, ale przecież w nocy nikt nie miał prawa tego dostrzec.

TURYSTA: Trzeba pamiętać o jednej rzeczy. Większość państw traktowała ochroniarzy, czy to swoich, czy tym bardziej Polaków, jako sprawę drugorzędną w planie zabezpieczenia placówki. Były nawet takie, w których w ogóle nikt nie siedział w nocy. Dyplomaci, wychodząc, zamykali sejfy, drzwi, zakładali tysiąc

kłódek i szli do domu. Dla ludzi z Zachodu to było po prostu nie do pojęcia, że nocą przyjdą takie biedne Polaczki i nie zostawiając żadnych śladów, pokonają system alarmowy, pootwierają te wszystkie drzwi i sejfy najwyższej klasy, a do tego jeszcze pokopią dyskiety z dokumentami wywiadu. U Hiszpanów była kasa pancerna wyposażona w timer. Wychodząc, ustawiali go tak, żeby zegar puścił dopiero rano, i w tym czasie nawet oni nie mogli już jej otworzyć. No więc myśleli, że sprawa załatwiona. Po co im ochroniarz? A my tę kasę otwieraliśmy.

Pamiętam też, że Hiszpanie mieli jeden tak nietypowy zamek, że nawet jak kupiliśmy sobie taki sam, rozebraliśmy go na części, dokładnie obejrzeliliśmy z bliska i potem próbowaliśmy robić dla wprawy klucze na oryginalnych surowcach, to i tak nic z tego nie wychodziło. To był zamek straszliwie trudny do otwarcia. Ale skoro pojawił się problem, to trzeba było znaleźć rozwiązanie. Dostaliśmy się do środka inaczej – skoro nie mogliśmy wejść drzwiami, to weszliśmy oknem, z balkonu, prawda? Nie było łatwo, bo oczywiście Hiszpanie od tamtej strony też się pozabezpieczali, ale w końcu się udało. W środku znaleźliśmy zapasowy klucz do tego problematycznego zamka, zrobiliśmy formę w silikonie i odlew w żywicy. Pamiętam, że jak mój kolega pierwszy raz go zobaczył, to zapytał, co to w ogóle jest, bo faktycznie ten przezroczysty przedmiot z żywicy wcale nie wyglądał jak klucz. Ale ważne, że działał jak trzeba. Można? Można.

INŻYNIER: Do ambasady Danii też udało nam się wejść przez okno, na samej górze budynku. Wzięliśmy ze sobą drabinę linową, weszliśmy na dach przyległego domu, a następnie na dach tego, który nas interesował, i dalej już do środka.

TURYSTA: Tam było zabawnie, bo naprzeciwno mieszkał bodajże I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR czy ktoś taki. Paradoksalnie to jego baliśmy się najbardziej, bo z okien mógł widzieć dokładnie to miejsce na dachu, po którym chcieliśmy się przespacerować. Co by było, gdyby zadzwonił na milicję?

BRODACZ: My wiedzieliśmy, jak łązić, przeszliśmy specjalne szkolenie z alpinizmu miejskiego. Uczyli nas ludzie tego słynnego antyterrorysty, Edwarda Misztala. Pamiętam, jak chodziliśmy pod mostem Poniatowskiego po rusztowaniach bez żadnego zabezpieczenia, żeby zobaczyć, kto się w ogóle do tego nadaje, a kto nie.

TURYSTA: A pamiętasz, jak byliśmy na Gwiaździstej? Tam były takie wysokie budynki, ze dwadzieścia pięter, spuszczałyśmy się z nich na linach.

BRODACZ: I to nie tylko w ciągu dnia, ale przecież też w nocy, po ciemku.

INŻYNIER: Mnie akurat wtedy tam nie było, ale słyszałem, że jeden kolega przeszedł całe szkolenie teoretyczne i potem miał być skok wahadłowy z budynku, a wtedy on stanął na krawędzi i powiedział, że nie ma mowy i się nie ruszy. Szczerze mówiąc, gdybym tam był, tobym go popchnął. Najgorszy jest ten pierwszy raz.

TURYSTA: Pamiętam to głupie uczucie, jak się tak stoi na górze i patrzy w dół. Kolega miał lęk wysokości, na pewno wesoło mu nie było, co tu dużo gadać.

ŁOWCA: A pamiętasz ten konsulat w Szczecinie?

TURYSTA: No, pamiętam, przeszedłem po deseczce położonej pomiędzy jednym oknem a drugim po przeciwnej stronie.

ŁOWCA: Po jakiej deseczce? Nie było żadnej deseczki. Ja opowiem. Było tak, że pojechaliśmy tam właściwie na gotowe, bo konsulat był już opanowany, mieliśmy dorobione klucze, wszystko zapięte na ostatni guzik. Ale na miejscu okazało się, że klucze nam wcale nie pasują, bo zamki zostały krótko wcześniej wymienione, a wydział operacyjny tam, w Szczecinie, to przegapił. Ale akurat okazało się, że jedno okno konsulatu jest uchylone, a znajdowało się ono w załomie budynku, całkiem blisko okna innego pomieszczenia, do którego mieliśmy dostęp. Wystarczyło zrobić duży krok z parapetu na parapet, tyle tylko, że znajdowaliśmy się dość wysoko, więc taki krok byłby naprawdę ryzykowny. Z nas dwóch ja byłem większy, więc mówię do „Turysty”, że dam radę go utrzymać, gdyby mu się noga omsknęła przy przechodzeniu. No więc złapałem go za pasek, zaparłem się jakoś tam w tym oknie i on przeskoczył z parapetu na parapet.

TURYSTA: Może i mnie trzymałeś, ale mówię ci, że my tam położyliśmy deseczkę i ja po niej przeszedłem. Co nie zmienia faktu, że to była absolutna głupota, zupełne wariactwo.

ŁOWCA: Żadnej deseczki nie było.

BRODACZ: Z deseczką czy bez, gdyby „Turysta” popełnił najmniejszy błąd, to według mnie obaj by polecieli, bo „Łowca” nie dałby rady go utrzymać. Śmierć na miejscu.

TURYSTA: Żyję. Przeszedłem na drugą stronę, otworzyłem okno, a tam w środku była szafka z zapasowymi kluczami. Kopie

porobiliśmy i obiekt był znów opanowany, sprawa załatwiona w jedną noc. Całe szczęście, bo pół Polski przejechać i odbić się od drzwi to kiepskie uczucie. Poza tym chodząc do placówek, zawsze mieliśmy w tyle głowy tę myśl, że przecież rzesza innych funkcjonariuszy się zorganizowała, żebyśmy my mogli tam bezpiecznie pracować. Co prawda ci ludzie mieli nikłe pojęcie, w czym tak naprawdę uczestniczą, niemniej my mieliśmy tę świadomość, że ktoś tam na zewnątrz zarywa noc przez naszą akcję. Mówię tu chociażby o betkarzach. Przecież podczas naszego wejścia oni musieli bez przerwy bacznie obserwować wszystkich dyplomatów. Ba, nie tylko dyplomatów, ale w ogóle każdego, kto mógł potencjalnie wpaść na pomysł przyjscia w nocy do penetrowanej przez nas placówki – sprzątaczką, sekretarką, ktokolwiek. Jeśli tylko któraś z tych osób się ruszyła ze swojego domu, to od razu szedł sygnał radiem, że figurant jest w ruchu.

ŁOWCA: Pamiętam taką sytuację u Szwedów. Siedzieliśmy u nich w ambasadzie, a w tym samym czasie wszyscy dyplomaci byli na jakiejś balandze na mieście. W pewnym momencie zabrakło im gorzały, paru z nich ruszyło na miasto i były obawy, że przyjadą po nią właśnie do placówki, bo mieli tam zapas. Nie było czasu na ewakuację, a ponieważ wiedzieliśmy, że wódki będą szukać na górze, to wszyscy poszliśmy na dół i razem z całym sprzętem wleźliśmy do piwnicy.

TURYSTA: No i właśnie dlatego pomoc Biura „B” była nam niezbędna. Mimo że większość betkarzy nie wiedziała, o co tak naprawdę chodzi, to faktem pozostaje, że ich praca stanowiła jeden z kluczowych elementów tej całej maszyny. I nie chodzi tu tylko o kontrolę figurantów podczas wejścia, ale też o szereg innych rzeczy. Przecież funkcjonariusze z wydziałów operacyjnych, którzy

współpracowali bezpośrednio z nami, część informacji uzyskiwali właśnie od Biura „B”. Koledzy z obserwacji mieli rozległe możliwości ustalania, jak wygląda rutyna pracowników placówki, czy wartownik lubi spać na służbie, kiedy przychodzi sprzątaczką, kiedy dyplomaci wychodzą z placówki, kiedy gasną światła.

FOTOGRAF: Ja przed przyjściem do Wydziału IX pracowałem przecież długo w Biurze „B”, więc coś tam wiem na temat ich pracy. Ale szczerze mówiąc, najlepiej, żeby pan o tym porozmawiał nie ze mną, bo ja zajmowałem się tam fotografią, tylko z kimś, kto był wywiadowcą i jeździł za tymi dyplomatami. Dam panu telefon do mojej koleżanki. Spotkacie się, porozmawiacie. Ja wiem, że pan już poznał paru pracowników betki, ale niech mi pan wierzy – z nią warto porozmawiać. Jest encyklopedią Biura „B”. Kierowca demon.

ROZDZIAŁ 5

„B”RUNETKA

Matematyka mnie interesowała. I fizyka. O, no i chemia. Zdałam maturę, złożyłam papiery na politechnikę, ale tata nagle strasznie się pochorował. Moja rodzina była mała, właściwie tylko ja, mama i tata. Nagle okazało się, że brakuje czasu na studia i trzeba szukać pracy.

Trafiłam do PSS, Powszechnej Spółdzielni Spożywców. Szybko okazało się, że siedzenie w dziale finansów nie jest dla mnie. Lubiłam matematykę, ale jednak nie o taką pracę mi chodziło. Zrezygnowałam już po trzech miesiącach.

Znajomi poradzili mi, żebym poszła na Rakowiecką i dowiedziała się, czy nie znalazłoby się tam coś dla mnie. Przyszłam więc do biura przepustek i powiedziałam, że szukam pracy. Stał tam taki miły starszy pan, który zaczął mnie zagadywać. Pytał, co właściwie chciałabym robić w MSW. Powiedziałam mu, że nie wiem. Przecież nie miałam nawet pojęcia, jakie tam są wydziały, jak to wszystko jest zorganizowane. Patrzył na mnie wyrozumiale.

Rozmowa się przeciągała. W pewnym momencie ten starszy pan wysunął spod mankietu zegarek i zaczął klepać się po kieszeniach w poszukiwaniu okularów. Nie znalazł. Wyciągnął więc rękę w moim kierunku i poprosił mnie, żebym odczytała mu godzinę. Tak zrobiłam.

Rozmawialiśmy jeszcze dłuższą chwilę. Akurat mu coś opowiadałam, gdy nagle przerwał mi i spytał, czy wiem, jakiej

marki nosi zegarek. Wiedziałam. To był atlantic, zapamiętałam napis, gdy odczytywałam godzinę. Na to ten pan uśmiechnął się i powiedział: „Oho, to już wiem, gdzie będzie pani pracowała”



To był 1965 rok. Miałam wówczas dwadzieścia lat. Nawet niecałe, bo jak zaczynałam pracę, to jeszcze dziewiętnaście. Zostałam w służbach do drugiej połowy lat pięćdziesiątych.

Pamiętam pierwszą rozmowę z naczelnikiem. Spytał mnie, czy wiem, czym się zajmuje wydział. Powiedziałam mu szczerze, że nadal nie, że tylko mniej więcej. Tego dnia dał mi swoją pierwszą radę. Nie dotyczyła samego charakteru pracy, była bardzo ogólna, ale jak później zauważyłam, bardzo ważna dla niego. Powiedział mi, że nienawidzi, jak ktoś nie ma swojego zdania, i zabronił przytakiwać na to, co będą mówić moi nowi koledzy i koleżanki. Nawet jeśli się zgadzam, to muszę powiedzieć dlaczego, jakie są za, jakie przeciw i dlaczego więcej jest tych pierwszych. Potem okazało się, że on to naprawdę egzekwuje. Jak ktoś się nie odzywał, to naczelnik wywoływał do tablicy.

Poszczególne wydziały Biura „B” były rozsiane po mieście, nieraz bardzo daleko od Rakowieckiej. Chodziło o to, że nie mogliśmy być wiązani z MSW i najlepiej, żeby nawet nie wiedziano, jakie mamy auta. Pomieszczenia mojego wydziału mieściły się więc w słynnym Domu Bez Kantów przy Krakowskim Przedmieściu. To był częściowo normalny budynek mieszkalny. Niby dla wojskowych, ale jednak mieszkalny. Byliśmy poinstruowani, że mamy tam wchodzić zawsze pojedynczo, żeby nie zwracać na siebie uwagi. W jednym z korytarzy mieliśmy szereg mieszkań należących do nas.

Bezpośrednio po przyjściu do pracy zostałam przez kierownika sekcji przydzielona do kierownika zmiany, starszego pana. Przez pierwsze tygodnie byłam cały czas z nim i to on nauczył mnie podstaw. Potem zostałam przypisana do konkretnej grupy wywiadowców i zaczęłam już normalnie jeździć z nimi, ucząc się przy tym dalej, jak prowadzić obserwację.

Po jakimś czasie zostałam wysłana do szkoły oficerskiej. Mieściła się na Ksawerowie, adres od frontu to aleja Niepodległości 22. Tam był taki duży budynek, w którym odbywały się zajęcia, a z tyłu stary pałacyk, w którym swoje gabinety mieli wykładowcy. W tym samym miejscu przez jakiś czas mieściła się szkoła Departamentu I, czyli wywiadu. Uczyłam się tam dziesięć miesięcy, dostałam stopień oficerski i wróciłam do pracy.

Kolejnym etapem mojego szkolenia była nauka jazdy samochodem. Jeśli chodzi o kobiety, to nie wszystkie zostawały kierowcami. Ja miałam predyspozycje, więc oddelegowano mnie na półroczny kurs organizowany przez Komendę Stołeczną MO. To nie było zwykłe prawo jazdy, tylko tak zwane zawodowe. Po ukończeniu kursu zaliczyłam miesiąc jazd po mieście i okolicach, a następnie miesiąc jazd po całym kraju, w najróżniejszych warunkach pogodowych. Były takie dni, że przejechaliśmy nawet trzysta kilometrów. Proszę mi wierzyć – to, czego się tam wówczas nauczyłam, zostało ze mną na całe życie. Hamowanie, trudne zakręty, omijanie przeszkód... To był kurs bardzo, ale to bardzo profesjonalny. Nawet na autokar mam uprawnienia. A potem jeszcze nabrałam niesamowitego doświadczenia podczas lat pracy.

Jeżdżę autem już ponad pięćdziesiąt lat i nigdy nie miałam stłuczki. Czasem staje obok mnie na światłach jakiś chłopak i widzę, jak patrzy i sobie na pewno myśli: „O, ale stara baba za kierownicą”

A ja sobie myślę, że możemy się ścigać, bo i dziś pewnie dałabym sobie z nim radę.

Praca w betce od początku była ekscytująca, ale jednocześnie wiedziałam, że nie chcę zostać tam wiecznie. Uwielbiałam ruch, byłam w swoim żywiole, ale jednocześnie w obserwacji zupełnie nie widziałam dla siebie przyszłości. Po paru latach pracy wróciłam do sprawy studiów, tyle że po cichu. Kiedyś było coś takiego jak skierowania na uczelnie. Dostawało się je w miejscu pracy i zanosilo do dziekanatu. To bardzo pomagało. W moim wydziale, na moim stanowisku nie było nawet mowy, żebym mogła takie dostać. Naczelnik by się nie zgodził. Nikomu nic nie powiedziałam i zaczęłam szukać na własną rękę.

Poszłam na SGPiS, dzisiejszą Szkołę Główną Handlową. Interesował mnie handel zagraniczny. Pamiętam rozmowę wstępną. Spytałi mnie o zbiorniki retencyjne w Polsce. Znałam jeden – Goczałkowicki. Pan w komisji spojrzął się na mnie i spytał ze zdziwieniem, czy tylko tyle. Niestety, tylko tyle. Gdybym znała więcej, tobym się dostała, tak niewiele mi zabrakło punktów. O, no i gdybym miała punkty za pochodzenie, to też byłabym już na studiach, ale nie miałam.

Po otrzymaniu wyniku poszłam negocjować. Powiedziałam, że strasznie mi zależy na tych studiach, zdaję sobie sprawę, że nie mam skierowania, ale w pracy nawet nic nie wiedzą. Nie mogłam powiedzieć, gdzie pracuję, ale jakoś tam z tego wybrnęłam. Mówiłam, że przełożeni mogą uczęszczać na studia, a ja też bym chciała. Ten pan, który ze mną wówczas rozmawiał, powiedział, że nie może mi pomóc u siebie, znaczy na SGPiS, ale że mu mnie szkoda, więc może uda mu się coś załatwić na Uniwersytecie Warszawskim. Ucieszyłam się, powiedziałam, że chętnie pójdę na prawo. Uśmiechnął się, powiedział, że na prawo to nie, ale może

mi załatwić miejsce na resocjalizacji. Podziękowałam i postanowiłam rok później samodzielnie przystąpić do egzaminów na wydziale prawa. Znowu zabrakło mi tylko paru punktów, więc wróciłam do tego pana na SGPiS. Pamiętał mnie. Załatwił mi miejsce na resocjalizacji, tak jak obiecał.

Przez rok nikt w pracy o tym nie wiedział poza jedną koleżanką i jednym kolegą. Ulitowali się nade mną. Wówczas miałam już męża i dziecko. Ten kolega mówił, że skoro mam tyle na głowie w domu, pracę i potem jeszcze mi się chce chodzić na studia, no to on jest pełen podziwu i postara się mi pomóc. Oboje się ze mną zamieniali – tak, żebym mogła dopasować grafik pracy do grafiku studiów wieczorowych. Po pierwszym roku miałam średnią powyżej 4,5 i dostałam na to zaświadczenie. Zaniiosłam je do pracy i dopiero wtedy oficjalnie powiedziałam, że studiuje. Wiadomo, było nieco niezręcznie, że tak późno o tym informuję, ale w sumie odzew był pozytywny. Dostałam nawet nagrodę pieniężną za tę moją średnią.

W moim wydziale pracowało się na trzy zmiany. Poranna w sumie nie miała godziny początkowej – zaczynało się zgodnie z potrzebami wydziału tego konkretnego dnia. Czyli po prostu wtedy, kiedy szef kazał przyjść. Nie wszyscy mieli wówczas przecież telefon, więc niekiedy człowiek dzień wcześniej biegł do budki telefonicznej spytać, na którą ma być. Dzwoniło się jeden raz, drugi, za trzecim może się człowiek dowiedział. Jak ktoś miał telefon w domu, to było łatwiej, tyle że wtedy mogli go wydzwonić w każdej chwili i wezwać do pracy.

Pierwsza zmiana siedziała mniej więcej do 11.30, czasem do południa. Druga kończyła o siedemnastej, a wówczas wchodziła trzecia, najdłuższa, która zostawała właściwie do oporu. Raz mógł to

być późny wieczór, innym razem późna noc, a niekiedy trzeba było zostać do samego rana.

Najgorzej mieli ci, którzy rano musieli jechać po samochód. Początkowo nasze garaże mieściły się na Stalingradzkiej, na Gołędzinowie. Później przenieśliśmy się na Mokotów. Szczególnie do tego pierwszego miejsca, na Pragę, większość z nas miała daleko. Trzeba było jechać autobusem, tak żeby na miejscu być pół godziny przed czasem. Powodem był obowiązek sprawdzenia auta przed wyjazdem na miasto. Wiadomo, płyny i tak dalej, ale też aparatura wewnątrz pojazdu. Każde auto miało oczywiście swoją radiostację ukrytą zazwyczaj w schowku. To były przecież auta nieoznakowane, więc nie można było takiej aparatury zainstalować na widoku, gdzie zwracałaby uwagę każdego przechodnia. Sprawdzenie pojazdu przed wyruszeniem trochę czasu zajmowało, bo wystarczyło, że jeden kabelek się odłączył, i już była afera.

Trzeba było się też zaopatrzyć w odpowiednie tablice rejestracyjne, a nawet parę kompletów, wraz z dokumentami. Podczas dnia pracy przekręcało się je przecież, dla zmylenia figuranta. To były prawdziwe tablice, w tym sensie, że miały odzwierciedlenie w rejestrach. Kiedy zatrzymywała nas milicja na kontrolę, to nawet się nic nie mówiło – po prostu podawaliśmy prawo jazdy i dokumenty auta. Widniały w nich osoby prywatne, jakieś instytucje i tak dalej. Nasz naczelnik postawił sprawę jasno – mamy się nie przyznawać, skąd jesteśmy, brać normalnie mandaty i przynosić je do wydziału.

Czy wiedziałam, za kim jeżdżę? Nie. Dostawałam adres figuranta, opis wyglądu, ewentualnie zdjęcie, numery rejestracyjne auta i koniec. Jeśli to była jakaś rutynowa obserwacja, to odprawę przeprowadzał kierownik sekcji. Jeśli działo się coś wyjątkowego –

przychodził sam naczelnik. To oni rozmawiali ze zleceniodawcą i niewątpliwie mogli znać powód obserwacji tej konkretnej osoby. Wiedzieli, który pion jest zainteresowany wynikami, ale nam nigdy tego nie mówili.

Dyplomatów łatwo było rozpoznać. Widziałam przecież, że taki figurant pracuje w konkretnej placówce, jeździ zachodnim autem, wygląda tak i tak. Było dla mnie jasne, że obserwacja prowadzona jest na zlecenie Departamentu II, ale nawet tego kierownictwo nie mówiło nam oficjalnie. Nie znaliśmy nazwisk tych ludzi, bo posługiwaliśmy się jedynie kryptonimami. Nie wiedzieliśmy również, jakie stanowisko zajmują w ambasadzie.

W przypadku Polaków wiedzieliśmy jeszcze mniej. Nasza wiedza na temat danej osoby kształtowała się co najwyżej mimowolnie, podczas samej obserwacji. Jeśli ktoś był przestępcą, to po jakimś czasie przecież się orientowałam. Widziałam, jak wygląda, widziałam, jak podejrzanie wyglądają jego znajomi, jak charakterystyczne miejsca odwiedzają. Któregoś razu musiałam wejść za takim do bloku, żeby sprawdzić, do którego mieszkania się uda albo przynajmniej na którym piętrze. To było w budynkach w okolicy Woronicza. Wsiedliśmy razem do windy i akurat tak wyszło, że ja musiałam wcisnąć przycisk pierwsza. Wybrałam piętro najwyższe, żeby mieć pewność, że nie wysiądzie po mnie. On nie wcisnął już nic, jechał na to samo. Winda zaczęła nas wciągać na górę, a on się na mnie patrzył. W pewnym momencie położył rękę na ścianie tej windy, koło mojej głowy i nachylił się do mnie. Nie wiedziałam, co chce zrobić, czy się domyślił, kim jestem, czy może zwróciłam jego uwagę w inny sposób, bo miałam wtedy bardzo długie, ciemne włosy, na które teraz patrzył. Byłam przerażona. W końcu nic nie zrobił i powiedział tylko: „Daruję ci”. Dojechaliśmy na górę, on wyszedł, a ja za nim. Przyznaję, że nie

wiedziałam, co robić, byłam przestraszona, skołowana. On wszedł do jednego z mieszkań, drzwi otworzył mu jakiś kolega. Powiedział wówczas do niego: „Pomóż pani, bo chyba nie wie, w którą stronę jest wyjście”.

Jeśli chodzi o dyplomatów, to wystawanie przed ich domami w żadnym wypadku nie wchodziło w rachubę. No, chyba że chcieliśmy, żeby nas widzieli. Dyplomatów w obrębie miasta bardzo intensywnie obserwowano z punktów zakrytych, w skrócie PZ. To były najczęściej po prostu mieszkania zlokalizowane w takim miejscu, że widać było doskonale miejsce pracy albo zamieszkania takiego obcokrajowca. Niekoniecznie były one do naszej wyłącznej dyspozycji. Nieraz bywało tak, że po prostu płaciło się jakiejś rodzinie za użyczenie pokoiku. A że czasem był to tylko pokój z kuchnią, no to musieli siedzieć w kuchni. Ludzie się zgadzali, no bo argument finansowy, a po drugie jak mieli się nie zgodzić, jeśli mówiło im się, że chodzi o złapanie jakiegoś złodzieja, który grasuje w okolicy? To był typowy argument, chodziło w pewnym sensie o to, żeby im samym zależało na naszej obecności.

Inaczej było w miejscach, gdzie obserwację prowadzono stale, przez lata. Na przykład mieszkania przy ambasadzie amerykańskiej w Warszawie były do naszej wyłącznej dyspozycji. Nie wiem, czy były własnością MSW, czy może je od kogoś wynajmowano, w każdym razie nikt tam nie mieszkał. W środku były meble, wszystko urządzone, jak gdyby ktoś tam żył, ale nikt tam nie trzymał swoich prywatnych rzeczy.

Jeszcze inaczej było w przypadku ambasady włoskiej przy placu Dąbrowskiego. Po drugiej stronie tego placu było mieszkanie należące do nas, na stałe zamieszkane przez jednego z wywiadowców, naszego kolegę. Na obserwację przychodziło się więc po prostu do niego do domu. Nie jestem pewna, ale wydaje

mi się, że w związku z oczywistymi niedogodnościami wynikającymi z naszej niemal ciągłej obecności ten kolega nie musiał płacić czynszu. O ile dobrze pamiętam, MSW nie dawało mu natomiast żadnych pieniędzy na herbatę, kawę i ciastka dla nas. My staraliśmy się przynosić swoje, ale przecież wiadomo, że jak przychodziliśmy, to coś nam tam zawsze dawał. Był rozwiedziony i miał trochę kiepską sytuację: znajomi z pracy cały czas siedzieli mu na głowie, więc nawet nie mógł sobie gości do domu zaprosić. W końcu ożenił się po raz drugi i wyniósł się z tego mieszkania.

atwierdzam "

Poznań 1987-01-25 ²³³

ZASTĘPCA NACZELNIKA
WYDZIAŁU „B”
W P. W. Poznań

T a j n e spec. znaczenia
Egz. poj.

87-01.30

201

R E G U L A M I N

dotyczy : Punktu Sygnalizacyjnego Nr,3.

W celu utrzymania właściwej konspiracji na PS i należytego organizowania pracy pracownikom korzystającym z mieszkania podaje się poniżej do wiadomości i ścisłego przestrzegania:

1. Punkt Obserwacyjny będzie czynny od godz. 6.30 do godz.22.00 i uzależniony od konkretnej sytuacji operacyjnej , na którym przebywać będzie na zmianę trzech pracowników.
2. Dla utrzymania legendy mieszkania prywatnego , pracownicy tam zameldowani są zobowiązani do prowadzenia życia rodzinnego.
3. Wszystkie sprawy związane z mieszkaniem w administracji , u dyrektorki przedszkola , dozercy itp załatwia główny lokator względnie jej mąż.
4. Główny lokatpr oraz jej mąż zobowiązani są do oficjalnego dokonywania porządków mieszkania i tak w pewnych odstępach czasu, czyszczenie okien, odkurzać dywany , wnosić śmieci oraz przynoszenie z miasta pakunków i innych przedmiotów pozorujących produkty żywnościowe. W godzinach wieczornych należy w pokojach palić światło a w kuchni 2 razy w tygodniu w zależności od sytuacji operacyjnej.
5. Na mieszkaniu nie wolno prowadzić głośnych rozmów na tematy służbowe.
6. Zabrania się również prowadzenia głośnych i długich rozmów tak przez telefon jak i przez radiostację.
7. Na mieszkaniu konspiracyjne nie wolno wprowadzać bez zezwolenia kierownictwa Wydziału nie pracujących na tym punkcie osób.

Utrzymanie stałego punktu umożliwiającego obserwację placówki było dla pionu „B” priorytetem. Dokument zawiera zasady zachowania w mieszkaniu

znajdującym się obok konsulatu amerykańskiego w Poznaniu.

- 2 -

240

(202)

8. Zabrania się wywiadowcom wnoszenia z MK nie zapakowanych zakupionych artykułów spożywczych dokonywanych przed pracą.
9. Nie wolno ujawniać nr telefonów zainstalowanych na mieszkaniach znajomym, członkom rodziny, pracownikom innych Wydziałów a w przypadkach pilnego skontaktowania się z pracownikiem / w czasie pracy/ członkowie rodzin dzwonią na telefon zainstalowany w Wydziale "B" / sekretariat lub dyżurny Wydziału/
10. Jeżeli do mieszkania zadzwoni ktoś, to wywiadowca chowa dokumenty i przedmioty mogące zwrócić uwagę danej osoby, a osoby obce zachodzące do MK należy przyjmować w korytarzu. W czasie nieobecności na MK wywiadowcy, który legenduje mieszkanie osobom obcym drzwi otwiera wywiadowca pełniący służbę, jednak nie może załatwiać spraw związanych z mieszkaniem, w takich wypadkach tłumaczy, że jest kuzynem i nie może załatwić tych spraw a lokatorów tego mieszkania nie ma w domu. Wywiadowcy, którzy przyjmują na MK osoby obce zobowiązani są o tym pisać w raportach dziennych, o ważniejszych sprawach pisać oddzielne notatki służbowe.
11. W pobliżu PS nie należy umawiać się ze znajomymi, członkami rodzin i pracownikami innych mieszkań. Wywiadowcom legendującym nie wolno spacerować z dziećmi w pobliżu MK.
12. O wszelkich uwagach i spostrzeżeniach odnośnie PS pracownicy są zobowiązani meldować kierownictwu Wydziału raportami
13. W celu utrzymania pełnej konspiracji naszej pracy na PS zabrania się pracownikom tam pracującym zawierania znajomości towarzyskich z sąsiadami i pracownikami przedszkola oraz wchodzenia do MK-1.

Z powyższym regulaminem zapoznają się użytkownicy MK-3 i wszyscy zapoznani podpiszą.

KIEROWNIK SEKCJI I WYDZIAŁU "B"

kpt. T. NOWICKI



Punkt sygnalizacyjny (PS) umożliwiał przede wszystkim obserwację osób wchodzących do placówki i wychodzących z niej. Informacje o nich przekazywano funkcjonariuszom znajdującym się na zewnątrz.

Na punkcie zakrytym siedziało się zazwyczaj samemu lub we dwie osoby. Wiadomo, zawsze lepiej było siedzieć z kimś, nie tylko dlatego, że można było pogadać, ale też rozwiązywało to problem przerw na pójście do toalety i tak dalej. Nie powiem, w pracy rodziły się sympatie. No, były ku temu warunki, przecież nie da się ukryć. Mnóstwo koleżanek i kolegów się tam w sobie nawzajem podkochiwało. Ja miałam już męża i tylko jego, ale wiedziałam przecież, co się dzieje wokół mnie. Kiedyś w wydziale pojawiła się taka piękna dziewczyna o urodzie Cyganki, ciemne oczy, ciemna karnacja. Jak ją koledzy zobaczyli, to im oczy na wierzch wyszły. Najpierw była z jednym, potem była z drugim, a potem przestała sobie zaprzętać nimi głowę i zaczęła pić. Spotkałam ją na wakacjach, w sanatorium. Naprawdę nie mogłam zrozumieć, o co jej chodzi. Taka dziewczyna, a tak sobie rujnowała życie. To było lato. Wczesną jesienią już nie żyła. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że miała od dawna raka, nieuleczalnego, bez żadnej nadziei.

Ja rozumiem, że trudno w to uwierzyć, ale siedząc na punkcie zakrytym samemu, my naprawdę bez żadnej przerwy patrzyliśmy się w okno. I jak mówię, że bez przerwy, to mam na myśli dosłownie bez przerwy. Nie można było nikogo przegapić. Jeśli jakiś interesant wszedł do ambasady i do końca godzin pracy nie wyszedł, to my mieliśmy to odnotować. Mogło to przecież oznaczać, że coś od niego chcą, coś więcej niż od innych. A musi pan wziąć pod uwagę, że do ambasady amerykańskiej przychodziły codziennie przeogromne liczby ludzi. Jak to zliczaliśmy? Normalnie, robiąc notatki. Tworzyliśmy listę wszystkich, którzy wchodzili do środka. W każdej osobie trzeba było znaleźć coś

charakterystycznego. Jeden miał czerwoną koszulę, inny kulał, trzeci był przeraźliwie wysoki albo niespotykanie niski. Jak ktoś wychodził, to szukałam tej osoby na liście i odhaczałam.



Literami PS (punkt sygnalizacyjny) oznaczono okna mieszkania, z którego funkcjonariusze prowadzili obserwację konsulatu USA w Poznaniu (budynek po prawej).

W ambasadzie włoskiej było jedno wyjście, od frontu, więc miałam właściwie pełną kontrolę nad przepływem osób. Ale już u Amerykanów wyglądało to inaczej, bo były co najmniej dwa wyjścia, które pamiętam – jedno od strony ulicy Pięknej, a drugie od Alej Ujazdowskich. Jeśli więc wychodził ktoś, kogo ja nie miałam na swojej liście wchodzących, to musiałam dać przez radio

znać koledze siedzącemu po drugiej stronie, że wychodzi taki to a taki człowiek. Wówczas on odhaczał go u siebie i sprawa była załatwiona.

Nie było zwyczaju legitymowania. Jeśli ktoś zwrócił naszą uwagę, to musieliśmy sprawdzić jego tożsamość w inny sposób. Za taką osobą szli do domu wywiadowcy niepracujący tego dnia na punkcie zakrytym. Któregoś razu była taka sytuacja, że z ambasady wyszła dziewczyna i padło polecenie, że trzeba koniecznie ustalić, kim jest. Poszłam za nią ja, z koleżanką. Ta kobieta wsiadła do autobusu, kierunek Suwałki. Nie miałyśmy wyjścia i wsiadłyśmy za nią, dając przez radiostację sygnał kolegom. Za autobusem pojechał wtedy nikt inny, jak tylko ojciec „Fotografa”, skądinąd bardzo, ale to bardzo dowcipny i lubiany pracownik betki.

Jedziemy i jedziemy tym autobusem i na każdym przystanku mamy nadzieję, że ta kobieta już wysiądzie. Na dworze już zupełnie ciemno, a my jedziemy dalej. Nie mamy ze sobą niemal żadnych pieniędzy, nie mamy jedzenia, nie mamy nic. Gdzie wysiada ta pani? W Suwałkach. To był chyba marzec, w Warszawie była tego dnia piękna pogoda, wiosna, tam wysiadłyśmy i co? Zima w pełni, a my w pantofelkach. Tata „Fotografa” podjechał po nas, udało się ustalić, gdzie ta pani poszła, i trzeba było wracać. My byłyśmy bez grosza, ojciec „Fotografa” też nic ze sobą nie miał, bo nie sądził, że dojedziemy aż do Suwałk. Zatankowaliśmy za darmo na jakiejś komendzie, ale pieniędzy nikt nam tam nie dał dodatkowych i pamiętam jak dziś, że jedyne, na co nam starczyło, to parę cukierków. Jechaliśmy tak całą noc do Warszawy i jedliśmy powoli, żeby starczyło na całą drogę.





Stojący przed mercedesem Biura „B” ojciec „Fotografa” prezentuje doklejone wąsy, baczki oraz (słabo widoczną na fotografii) bródkę. Lata 70.

W trakcie obserwacji robiliśmy oczywiście zdjęcia, a nawet filmy – zarówno z punktów zakrytych, jak i z samochodów, a nawet poruszając się na piechotę. Sprzęt ukrywało się w najróżniejszych miejscach – w torebce, teczce czy pod ubraniem. Dziura na obiektyw mogła być nawet w guziczku. Poza tym trzeba było cały czas mieć przy sobie radiostację, żeby utrzymywać łączność. Kobietom było łatwiej, bo nosiły torebki. Mężczyzna mógł mieć saszetkę, ale to już przykuwało uwagę doświadczonych dyplomatów. Za moich czasów, to jest od roku 1965 przez nieco ponad dziesięć lat, bo potem nie pracowałam już bezpośrednio jako wywiadowca, nie było słuchawek do ucha, pojawiły się dopiero później.

Rozmawianie „z torebką” było oczywiście problemem. Kiedy się wchodziło między ludzi, to ściszało się radiostację i człowiek wiedział, że ktoś coś do niego mówi tylko dzięki temu, że był tam taki wibrujący brzęczyk. Wówczas dyskretnie przybliżałam torebkę do ucha, chociażby w ten sposób, że brałam ją pod pachę, przecież przeciętna kobieta też nieraz tak robi. Tylko trzeba było jeszcze bardziej uważać mówiąc, bo gadanie do torebki nie wygląda zbyt naturalnie.

Te torby nie były nasze, nie wkładałyśmy radiostacji do swoich prywatnych. To były specjalne torebki Biura „B” z wbudowanym mocowaniem na to urządzenie. Nie mieliśmy też obowiązku zakupienia sobie garderoby na każdą okazję, bo wydział miał swoją szatnię – i to nie tylko stacjonarną, ale także mobilną. Wyruszając na obserwację, mogliśmy zabrać sobie ubrania na później, ale jak pojawiły się jakieś niespodziewane okoliczności, to mogliśmy wezwać do siebie taką specjalną szatnię zlokalizowaną w dużym samochodzie. Poza samymi strojami były tam peruki, można było zrobić sobie makijaż, doczepić wąsy. Dziewczyny akurat raczej nie praktykowały przyklejania wąsów, ale jeśli chodzi o kolegów, to zmiana w kobietę już wchodziła w grę.





Funkcjonariusze Biura „B” aparaty ukrywali chociażby pod ubraniem. Otwór na obiektyw musiał być jak najmniejszy, czego skutkiem są cienie widoczne w rogach powyższych fotografii, które wykonano w latach 80. przy ul. Agrykola w Warszawie. Jeden z mężczyzn na zdjęciach podejrzewany był o szpiegostwo.

Szatnia się naprawdę przydawała, bo bywały takie sytuacje, kiedy okazywała się potrzebna kreacja wieczorowa. Przecież jeśli dyplomata postanowił spędzić wieczór w eleganckim lokalu, to nie mogliśmy zawiesić obserwacji, musieliśmy po prostu wejść za nim. Naczelnik dobierał u nas nawet pary, mężczyznę i kobietę, którzy

do siebie pasowali, i wysyłał ich na lekcje tańca. Jak zdarzyła się taka sytuacja, że trzeba było iść na bal, to szli właśnie oni.

Nasz szef w ogóle kładł bardzo duży nacisk na to, żebyśmy jak najwięcej potrafili i jak najwięcej wiedzieli. Nie wiem, czy coś takiego zdarzało się też w innych wydziałach, ale szef przynosił nam zagraniczną prasę, przedruki w języku polskim. Skądś wewnątrz MSW to brał, było tego mnóstwo. Naciskał, żebyśmy codziennie przychodzili do pracy chociaż te piętnaście minut wcześniej i zerkali, co się dzieje na świecie. A potem raz na tydzień spotykaliśmy się wszyscy na pół godziny i jedno z nas referowało, była dyskusja.

Pamiętam, jak umarł mi tata. Wspominałam panu, że był chory, to były jeszcze lata sześćdziesiąte. Ten sam naczelnik dowiedział się o jego śmierci i przyjechał do mnie do domu z kierowcą. Powiedział mi, że mogę sobie zrobić przerwę tak długą, jak tylko chcę, i wrócić do pracy, kiedy już uporządkuję wszystkie sprawy. Nie ukrywam, w Biurze „B” były ogromne, wręcz ostre naciski na to, żeby nie chodzić do kościoła, a szef powiedział mi, że on nic nie wie, nic nie widzi i jeśli chcę, to mogę tatę pochować po katolicku. Dwadzieścia lat później zmarła mi znowuż mama. Przed śmiercią powiedziała mi, że mam ją pochować tak, żeby tylko nie mieć kłopotów. Wtedy nadal pracowałam w służbach, ale już nie jako wywiadowca. Jak mama zmarła, to zostałam wezwana przez dyrektora całego pionu, który spytał mnie, jaki pogrzeb planuję. Powiedziałam, że katolicki. On na to powiedział, że mnie ostrzega, dając mi właściwie do zrozumienia, że zostanę zwolniona. Ja na to odpowiedziałam, że trudno, i wyszłam po prostu. Wróciłam do siebie do biurka i mój ówczesny naczelnik spytał, czemu byłam u dyrektora. Powiedziałam mu prawdę, na co on wstał i poszedł do dyrektorskiego gabinetu. Nie wiem, co powiedział dyrektorowi,

słyszałam tylko z daleka, że trzasnął drzwiami, jak wychodził. Żadne nieprzyjemności mnie nie spotkały. Byli ludzie i ludziska, jak to bywa na tym świecie.

Co jakiś czas pisano na nasz temat opinie, z których dokładnie wynikało, co potrafimy, a gdzie mamy braki. Było nawet tak, że podliczali, ile szczegółów zapamiętaliśmy w jakiejś sprawie, a gdzie nam coś umknęło. Ja, powiem szczerze, radziłam sobie z takimi rzeczami całkiem nieźle. Jeśli przejechał obok mnie samochód, to wystarczyło, że zerknęłam, i od razu pamiętałam numer rejestracyjny. Wówczas nie było telefonów komórkowych, więc ludzie dzwonili zwykle z budek telefonicznych. Muszę panu powiedzieć, że potrafiłam, patrząc z odległości, określić, jaki numer ktoś wykręcił, i bezbłędnie go zapamiętać. Nie był mi nawet potrzebny notes. Co nie zmienia faktu, że z obserwacji robiło się notatki. Oczywiście jadąc autem czy idąc piechotą, nie pisało się na bieżąco, bo nie było na to czasu, ale jednak należało w dogodnej chwili co nieco zanotować. Ważne było przecież, gdzie i o której godzinie figurant coś robił. Pod koniec wszyscy wywiadowcy spotykali się w jednym miejscu, siadali przy stole i każdy czytał i opowiadał o swoich spostrzeżeniach. W ten sposób powstawał jeden długi komunikat z obserwacji, który następnie był odczytywany na głos. Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś uwagi, to można było dopisać, a potem komunikat wędrował do zainteresowanego pionu, czyli zleceniodawcy – w przypadku dyplomatów chociażby do Departamentu II. A my w końcu mogliśmy pójść do domu.

Jeśli pracę kończyło się po dwudziestej drugiej, to był taki zwyczaj, że ktoś samochodem rozwoził wszystkich nas do domów i potem dopiero sam jechał do garaży. Dość ściśle tego przestrzegano. Muszę powiedzieć, że pod dom odwożeni byli nawet ludzie mieszkający poza Warszawą. Ten zwyczaj miał też swoje złe

strony. Sąsiedzi byli przecież ogromnie wścibscy i szybko zauważyli, że podwożą mnie do domu coraz to inne, niekiedy dobre samochody, z coraz to innymi facetami w środku. Ta informacja się rozchodziła i w końcu dotarła do ciotki mojego męża, która powiedziała mu, że trzeba się tym zainteresować, bo tak dalej nie może być. Ona przecież nie wiedziała, gdzie pracuję. Mąż wiedział natomiast, że w MSW, ale nie że w obserwacji. Też musiało być mu głupio takich rzeczy słuchać.

Muszę przyznać, że mój mążnek był wyjątkowo cierpliwy. Prawda jest taka, że w dużej mierze to on siedział z dziećmi przez te lata, kiedy pracowałam jako wywiadowca, czyli ponad dekadę. Wielokrotnie bywało tak, że jeździł z nimi sam na wakacje, bo ja nie mogłam. Przychodziła Wigilia, a on też siedział sam z dzieciakami i z moją mamą. Wychodziłam, nie wiedziałam, kiedy wrócę, a nie miałam przecież komórki, żeby mu dać znać. Przychodził poranek, mąż musiał już iść do swojej pracy, a mnie nieraz nadal nie było.

W pewnym momencie, jak miałam już skończone studia i ponad dziesięć lat stażu pracy w obserwacji, wylądowałam na rozmowie u dyrektora Biura „B”, pułkownika Lecha Krawczyka. Spytał się mnie, co chcę dalej robić. Powiedziałam, że już dość tej pracy zmianowej, że chcę, żeby to wszystko jakoś normalnie wyglądało, że mąż, że dzieci, że ja. Wysłał mnie do wydziału analitycznego i w ten sposób, na szczęście, skończyła się moja kariera wywiadowcy. Potem było lepiej, ale jeśli mam być zupełnie szczerą, to gdybym miała cofnąć czas, w ogóle nie zdecydowałabym się na pracę w służbach. Proszę mnie źle nie zrozumieć, to była bardzo ciekawa praca, ale jednak wyjątkowo wyczerpująca. Niedawno miałam okazję rozmawiać z młodą dziewczyną, która

planowała pójść w tym kierunku. Spytałam ją, czy zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Plany już zmieniła.

Warszawa, dnia 1989.03.02

T A J N E

Egz. Nr 8..

K O M U N I K A T

z obserwacji fig. ps. "KAR" nr zlec. 899/89,
prowadzonej dn. 1989.03.01 w godz. 6,45-23,00

W toku obserwacji stwierdzono:

- O godz. 8,40 "KAR" wyszedł z hotelu "GRAND" i zatrzymał się u zbiegu ulic Kruczej i Wspólnej. Tutaj wyjął z kieszeni płaszcza mapę Centrum Warszawy i oglądał ją przez ok. 20 sekund. Następnie udał się wschodnią stroną ul. Kruczej w kierunku północnym. Na wysokości ul. Żurawiej "KAR" przeszedł na zachodnią stronę ul. Kruczej i zatrzymał się przed wystawą sklepu z kosmetykami /ul. Krucza 41/43/. Przez ok. 1 min. oglądał wystawę sklepu. Następnie poszedł dalej ul. Kruczą, wchodząc do bramy budynku ul. Krucza 47a, gdzie oglądał zdjęcia wyeksponowane w gablocie.
- Była godz. 8,47
- Po chwili obserwowany poszedł dalej ul. Kruczą przechodząc na drugą stronę Al. Jerozolimskich i poszedł dalej ul. Bracką. Na wysokości ul. Rutkowskiego "KAR" zatrzymał się i ponownie wyjął mapę i przez ok. 1 min. oglądał ją. Następnie przeszedł na wschodnią stronę ul. Brackiej i poszedł dalej ul. Szpitalną zatrzymując się przy witrynach wystawowych DOMU CHŁOPA.
- Była godz. 8,52
- Po chwili poszedł dalej pl. Powstańców Warszawy przechodząc na drugą stronę ul. Świętokrzyskiej i dalej ul. Mazowiecką pl. Małachowskiego skręcając w ul. Królewską. Tutaj przeszedł wzdłuż hotelu "Victoria" i dalej ul. Królewską. Po dojściu do ul. Krakowskie Przedmieście obserwowany zatrzymał się przy przejściu dla pieszych na drugą stronę ul. Krakowskie Przedmieście. Po chwili "KAR" wrócił do przejścia dla pieszych

./.

Komunikat z obserwacji musiał uwzględniać najdrobniejsze szczegóły – nawet takie jak obejrzenie wystawy sklepowej przez podejrzanego. Podczas przerwy

w spacerze szpieg mógł przecież chociażby szukać znaków sygnalizacyjnych od swoich mocodawców np. w postaci kawałka taśmy nalepionego na parapet.

Jestem jedynaczką, wychowaną, jak to się mówi, w warunkach cieplarnianych. Jak przyszłam do pracy w Biurze „B”, to miałam dziewiętnaście lat. Co ja wiedziałam? Co ja widziałam do tamtej pory? Nic. Pracując tam, zdobyłam absolutnie niepowtarzalne doświadczenie i to akurat na pewno jest ogromną zaletą tego wyboru.

Jakiś czas temu policja zatrzymała mnie za rozmawianie przez telefon podczas jazdy. Oczywiście pan policjant miał całkowitą rację, ale jak odjechałam z moim pouczeniem, to sobie tak pomyślałam: chłopaku, ciebie jeszcze nawet na świecie nie było, jak ja jechałam po tych ulicach, wówczas pełnych kolein, samochodem bez żadnego ABS-u i kontroli trakcji, jednym okiem patrzyłam w tylne lusterko na samochód mojego figuranta, bo czasem tak się prowadziło obserwację w nocy, od przodu, żeby figurant nie widział, że się go śledzi, drugim okiem patrzyłam przed siebie, a jednocześnie wychylałam się do schowka po stronie pasażera, wciskałam tam przycisk w radiostacji i gadałam do kolegów, że figurant porusza się taką to a taką ulicą.

ROZDZIAŁ 6

ZIEŁONE ŚWIATŁO

BRODACZ: Trudno powiedzieć, ile w tym prawdy, ale po naszym wydziale latami krążyła taka historia o grupie penetracyjnej węgierskiego kontrwywiadu, która weszła w Budapeszcie do jednej z placówek NATO i już nigdy nie wyszła. Mówiło się, że zostali zabici i spaleni na terenie ambasady.

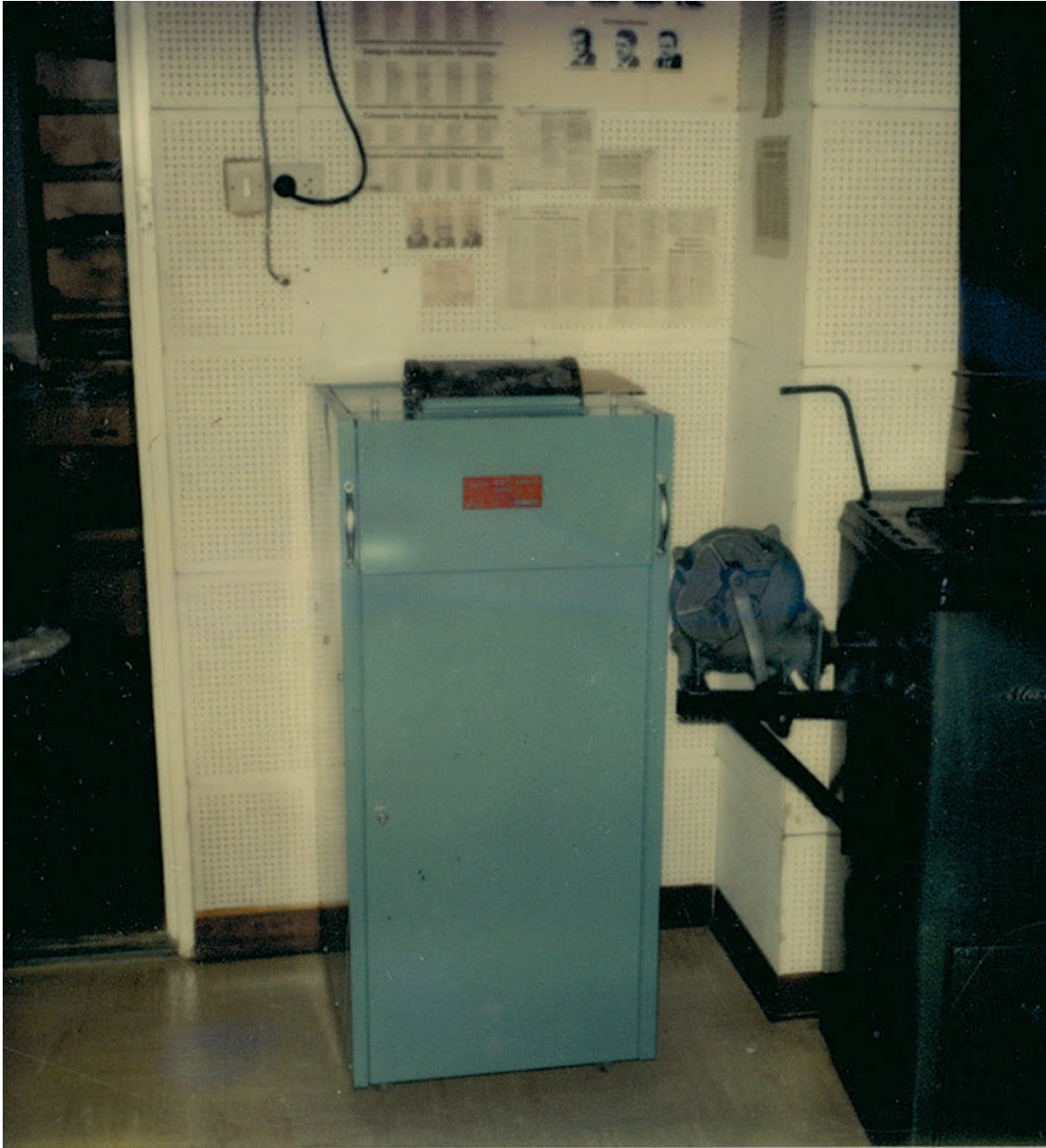
TURYSTA: Tę historię znał u nas każdy, ale przez te wszystkie lata pracy nigdy nie mieliśmy sygnałów, żeby ktokolwiek poza nami i Rosjanami dokonywał takich penetracji. Według mnie KGB samo jeździło na tego typu akcje do wszystkich krajów socjalistycznych, z wyjątkiem Polski, gdzie działaliśmy my. Nie mówię, że ta historia z Węgrami to na sto procent bujda, ale nie mam też pewności, że prawda.

ŁOWCA: Mnie się zdaje, że prawda. Pamiętacie naszego kolegę z Departamentu Techniki, tego Andrzeja od kluczyków? On przecież jeździł do Węgrov, do ogólnego pionu techniki operacyjnej, i pamiętam, jak wspomniał, że kontrwywiad ma tam swój odrębny wydział techniki operacyjnej, tak jak u nas. To co ci Węgrzy robili? Tylko jakieś mieszkania i hotele? Według mnie mogli wchodzić do ambasad i ta historia o zhajcowaniu wcale nie jest nieprawdopodobna. A pamiętacie przecież na pewno ten piec, który stał w jednej z placówek u nas, w Polsce. Służył niby do niszczenia

dokumentów, ale przecież tam była taka temperatura, że metal można by topić. Nie byłoby problemem człowieka spalić.

TURYSTA: Tyle że cały by się nie zmieścił, trzeba by ćwiartować. Krew, to wszystko, nieźle by tam ich sprzątaczką wykleła.

BRODACZ: Ale przecież Saudyjczycy niedawno załatwili tak w swoim konsulacie w Turcji tego dziennikarza Chaszukdźiego i podobno kulturka, na błysk posprząтали po sobie.



Niszczarka (po lewej) i wspomniany piec w jednej z regularnie odwiedzanych przez funkcjonariuszy placówek.



TURYSTA: Każda placówka miała w naszym wydziale swoją osobną teczkę, którą przy wyjeżdżaniu na akcję zawsze trzeba było zabrać. To była zwykła teczka na dokumenty, jak w biurze,

a w środku znajdowały się kopie kluczy, którymi akurat dysponowaliśmy, wszelkie informacje na temat znanych nam zabezpieczeń, plany budynku, grafiki pracy. To były grube teczki. Większość tych dokumentów została zniszczona. To, co zostało do dzisiaj, to tylko mały ułamek całości.

BRODACZ: Tam można było znaleźć nawet informacje typu „Pierwszy stopień na schodach pomiędzy drugim a trzecim piętrem trzeszczy, jak stanie się na niego po lewej stronie”. My to wszystko po jakimś czasie pamiętaliśmy, bo niektóre obiekty, jak chociażby amerykańskie, odwiedzało się nawet dwa razy w tygodniu. Mimo to zapisywało się takie uwagi. Gdybyśmy my z jakiegoś powodu nie mogli się zjawić, to nasi koledzy mieliby w teczce całą instrukcję.

TURYSTA: Przedmioty, które zabieraliśmy ze sobą, można podzielić na dwie podstawowe grupy. Do pierwszej należały te, które były nam zawsze niezbędne, niezależnie od tego, na jaki obiekt jechaliśmy. Latarki, radiostacje, szperaki i tak dalej – bez tego ani rusz. To była kupa sprzętu, a do tego dochodziły jeszcze rzeczy z drugiej grupy, a więc te, które były potrzebne w konkretnej placówce.

Weźmy na przykład jeden z najważniejszych obiektów, nie precyzując, który dokładnie, żeby nie dawać instrukcji wejścia do budynku, bo przecież on nadal może mieć to samo zabezpieczenie w drzwiach. Dziś nie mieści się w nim już co prawda przedstawicielstwo dyplomatyczne, tylko siedziba prywatnej firmy, ale mimo wszystko adres pominiemy. W każdym razie w tej placówce na dole była czytelnia. W ciągu dnia każdy mógł sobie tam wejść, żeby poczytać prasę z tego kraju, obejrzeć film i tak dalej. Do tego pomieszczenia można było wejść drugimi drzwiami, jak

gdyby od ogrodu, i udało nam się do nich dorobić klucz. Jednak żeby z czytelni przedostać się na klatkę schodową i do zasadniczej części przedstawicielstwa, musieliśmy pokonać kolejne drzwi, na których zamontowano świetne zabezpieczenie. Mianowicie od strony placówki zamykano je na zasuwę. Nie było żadnej dziurki na klucz po stronie czytelni – tę zasuwę można było otworzyć, tylko jeśli się stało po drugiej stronie, już we właściwej części placówki.

Jakby tego było mało, to nie była zwykła zasuwka, która tak po prostu chodziła na prawo i lewo. Na niej był jeszcze przycisk – najpierw trzeba było go wcisnąć, a dopiero potem można było ją przesunąć i otworzyć drzwi. Ten przycisk bardzo, ale to bardzo dużo zmieniał. Dla nas nie byłoby jakimś wielkim problemem otwarcie zwykłej zasuwki, nawet jeśli znajdowała się ona po drugiej stronie drzwi. Ale specjaliści opracowujący plan zabezpieczenia tego obiektu sprytnie nam to utrudnili. Musieliśmy znaleźć sposób, aby na drugą stronę przełożyć narzędzie, którym wciśniemy przycisk i odciągniemy tę zasuwę. Czytelnia znajdowała się trochę poniżej poziomu drzwi, więc prowadziły do nich schody, które potem leciały jeszcze wyżej. Pod tymi schodami znajdował się schowek. Gdy do niego weszliśmy, to udało nam się wyciągnąć jedną z desek i tym sposobem powstał prześwit, przez który z odległości parudziesięciu centymetrów widzieliśmy pod kątem tę zasuwkę. Zrobiliśmy sobie więc narzędzie, taki odpowiednio powyginany pręt, który przekładaliśmy przez dziurę, wciskaliśmy przycisk i otwieraliśmy. Ten pręt jest właśnie przykładem narzędzia, które było niezbędne na konkretnym obiekcie.



Drzwi zamknięte na zasuwę z przyciskiem. Fotografia wykonana od strony klatki schodowej, już po pokonaniu zabezpieczenia.

W innej placówce mógł to być jakiś inny przedmiot, haczyk, blaszka, cokolwiek. To wszystko trzeba było spakować, jadąc na akcję. Czy tworzyliśmy listę potrzebnych rzeczy? W teczce coś tam było niby wypisane, ale szczerze mówiąc, mieliśmy taką wprawę, że naprawdę lista nie była nam do niczego potrzebna. Pamiętaliśmy bardzo dobrze, co gdzie trzeba zabrać.

BRODACZ: No i jeszcze trzeba było pamiętać, żeby szczoteczkę do zębów i jakieś ubrania sobie wziąć, jeśli robota była poza Warszawą. Ja zawsze trzymałem pod biurkiem walizeczkę z niezbędnym minimum. Kiedy przychodził sygnał od wydziału

operacyjnego, że w placówce prawdopodobnie pojawiły się ciekawe materiały, to dzwoniłem tylko do żony, mówiłem: „Kochanie, nie rób kolacji, bo w delegację jadę”, i ruszałem w drogę. A musi pan przecież pamiętać, że ona nie miała pojęcia, dlaczego mnie tak ciągle nie ma w domu i co to właściwie za delegacja, bo przecież nie mogłem jej nic powiedzieć o tym, czym się zajmuję. Kiedy jej powiedziałem, na czym tak naprawdę polegała moja praca? Proszę pana, ona najwięcej to się dowiedziała w ciągu ostatnich paru godzin, słuchając naszej rozmowy. Myśli pan, że czemu non stop przychodzi tu do kuchni i szuka czegoś na półkach, w lodówce, pod zlewem? Dowiedzieć się chce w końcu, co to była za delegacja! Mam cudowną i bardzo wyrozumiałą żonę, ale tak sobie myślę, że gdybym jej wówczas powiedział prawdę, to po prostu by mnie zamordowała.

TURYSTA: Moje dzieci do dzisiaj nie wiedzą, czym się zajmowałem. Nic. Zero. Pracowałem w jakichś służbach i tyle.

ŁOWCA: Pamiętam taką sytuację z początku mojej pracy w wydziale. To był okres, kiedy bliscy nie byli przyzwyczajeni do moich nocnych wyjść, bo jeszcze tak dużo nie chodziłem na akcje. Któregoś razu, wieczorową porą, wracam ze spaceru z rodziną i widzę, że pod domem czekają na mnie „Brodacz” i „Turysta”..

BRODACZ: ...Bo wie pan, my z „Turystą” jeszcze przed przyjściem do Wydziału IX pracowaliśmy razem, do szkoły oficerskiej poszliśmy razem, do Wydziału IX razem, potem prawie na każdą robotę razem, no zawsze razem. Rozumieliśmy się bez słów, robota szła sprawnie.

TURYSTA: No i do dziś się przyjaźnimy, co tu dużo gadać.

ŁOWCA: Więc podchodzę pod dom z rodziną, patrzę, a tu czekają na mnie ci dwaj. Mówią, że mam się pakować i jedziemy. Pytam się ich, co i jak, na ile, kiedy wrócę. A oni na to, że jak wrócę, to będę, a w tej chwili mam się ładować do samochodu i tyle. No i teraz weź, człowieku, wytłumacz żonie, że w parę minut musisz wyjechać, kolacji nie zjesz, nie możesz powiedzieć, dokąd i po co jedziesz, i nie masz pojęcia, kiedy wrócisz. Tak było latami, tyle że z czasem już się rodzina przyzwyczaiła, to było łatwiej. My musieliśmy być zawsze w pełnej gotowości, nigdy nie było wiadomo, kiedy zadzwonią i będzie trzeba jechać. W PRL nie dało się ot tak zainstalować telefonu w mieszkaniu, człowiek musiał czekać całą wieczność w kolejce. Proszę sobie wyobrazić, że ja czekałem aż osiem lat, po czym przeszedłem do Wydziału IX i dwa dni później już się dla mnie telefon znalazł, bo z funkcjonariuszami tego wydziału musiała być możliwość błyskawicznego kontaktu nawet w środku nocy.



TURYSTA: Jak już wszystko spakowaliśmy, to wyjeżdżało się na akcję. Jeśli jechaliśmy na obiekt na terenie Warszawy, to oczywiście dawaliśmy sobie tylko jakiś niewielki zapas czasu, no ale znaczna część naszej pracy to były wyjazdy przede wszystkim do Krakowa i Poznania, czyli do Amerykanów – niestety na obiekty bardzo trudne, świetnie zabezpieczone. Wyruszałyśmy tak, żeby na miejsce dojechać jeszcze o jakiejś sensownej porze, po południu albo pod wieczór. Najpierw zajeżdżaliśmy do hotelu – w Krakowie to były najczęściej Cracovia, Holiday Inn i z tego, co pamiętam, gdzieś tak bliżej końca lat osiemdziesiątych hotel Forum. Natomiast w Poznaniu lądowaliśmy najczęściej w Polonezie. Wchodziliśmy,

zawsze była dla nas rezerwacja, nawet żadnych dokumentów nie dawaliśmy. W pokojach rozpakowywaliśmy się trochę, nieraz wzięło się prysznic i zaraz trzeba było się zbierać. Z Warszawy przyjeżdżał za nami za każdym razem pułkownik Feliks Solarski – wicedyrektor całego Departamentu II, czyli mówiąc prościej, zastępca szefa kontrwywiadu. Tyle wejść, dosłownie setki, i wszystko ciemną nocą, a pułkownik zawsze przyjeżdżał, mimo że w latach osiemdziesiątych miał już z sześćdziesiąt lat. I to też świadczy o randze tych działań, bo wicedyrektor to naprawdę była ważna postać. W takim Krakowie partnerem do rozmowy dla pułkownika Solarskiego był pierwszy zastępca komendanta wojewódzkiego do spraw SB, czyli de facto najważniejsza osoba w tym regionie, jeśli chodzi o służby specjalne. Ci dwaj panowie spotykali się zazwyczaj w komendzie, a znowuż my sporadycznie chodziliśmy na spotkanie z kolegami z Wydziału II, czyli terenowej jednostki naszego Departamentu II. Jak już wszystko było omówione, to pułkownik Solarski przejeżdżał do tak zwanego punktu kierowania, czyli mieszkania znajdującego się w pobliżu placówki. Z tego miejsca dowodził całą akcją. To właśnie on decydował, czy możemy wejść do środka, potem że wychodzimy i tak dalej. Poza nim w mieszkaniu mógł być właśnie wspomniany zastępca komendanta, ktoś z kierownictwa naszego wydziału, może naczelnik Wydziału II, szef pionu „B” czy ktoś taki. W każdym razie byli tam wyłącznie wysocy rangą funkcjonariusze. A na sam obiekt wchodziliśmy oczywiście my plus przedstawiciel wydziału operacyjnego, którego rolą było przede wszystkim wertowanie dokumentów i wyłapywanie tych, które trzeba sfotografować.

BRODACZ: Rozpoczęcie akcji możliwe było wyłącznie wtedy, gdy mieliśmy pewność, że dyplomaci i wszyscy inni pracownicy placówki wyszli z obiektu, wrócili do domu, pogasili światła i są

pod stałą kontrolą betkarzy. Wyjątek oczywiście stanowili ci, którzy standardowo zostawali na noc na obiekcie. Jeśli koledzy z obserwacji się kogoś nie doliczyli lub były jakiegolwiek inne wątpliwości, to po prostu rezygnowaliśmy z wejścia, trudno.

TURYSTA: Przy każdej placówce były jakieś domy, bloki i tak dalej. Trzeba było uważać, żeby jakiś nocny marek nas nie zauważył. Dlatego w pobliżu obiektu stawała dodatkowo tak zwana grupa interwencyjna Biura „B”, która była odpowiedzialna za patrzenie w okna pobliskich domów, jak i samej placówki, jeśli wchodziliśmy do niej pod obecność gospodarzy. Betkarze obserwowali, czy w którymś pokoju nie zapaliło się światło, i w razie czego dawali nam znać. Mieli też za zadanie wyczyścić ulicę, gdyby pojawili się na niej jacyś nieproszeni goście.

WERBOWNIK: No i raz była taka sytuacja, bardzo poważna, pod wieżowcem na Starościńskiej, podczas akcji w ambasadzie hiszpańskiej. Ja siedziałem tamtego dnia w aucie przed tym wieżowcem, miałem łączność z betkarzami obserwującymi w tym czasie Hiszpanów i czekałem na sygnał, że ostatni z dyplomatów poszedł do domu i zgasił światło. Wówczas koledzy będący już w środku wieżowca przystąpiliby do pracy. Ten dyplomata był na jakimś przyjęciu na Stegnach i w pewnym momencie dostałem sygnał, że ruszył w kierunku swojego domu. Mieszkał na ulicy Włoskiej, ale minął właściwy skręt, pojechał Dolną do góry i dalej w kierunku ambasady, co jeszcze zdążył krzyknąć przez radio betkarz. A potem posypała nam się łączność, bo ktoś wcisnął u siebie przycisk na radiostacji i zagłuszał innych. Akurat w takim momencie! Nie wiedziałem, co się dzieje, nie wiedziałem, gdzie jest figurant, a z Dolnej na Starościńską w nocy jechało się przecież dosłownie chwilę.

Nagle patrzę, a obok mnie już przejeżdża auto tego dyplomaty. Dowodzący całą akcją pułkownik Feliks Solarski zachował zimną krew i już się nie wtrącał – rozkazy wydawałem ja, jego podwładny. Przez drugie radio, na innej częstotliwości, powiedziałem kodem do kolegów z grupy interwencyjnej, że trzeba błyskawicznie działać. Oni zawsze mieli ze sobą wódkę, którą natychmiast się oblali, łyknęli parę łyków, żeby śmierdziało im też z ust, i zaczęli udawać pijanych chuliganów. Podeszli do tego dyplomaty i zaczęli go szarpać. W pobliżu mieliśmy też zawsze radiowozy MO z naszymi ludźmi przebranymi za milicjantów. W sekundę zjawili się pod budynkiem, niby zatrzymali tych naszych kolegów, którzy udawali chuliganów, i zgarnęli też tego Hiszpana. Mógł protestować, ale był młody i dał się wepchnąć do radiowozu. Potem na komendzie na Malczewskiego opowiadał, jak go napadnięto, był przerażony.

BRODACZ: Ta historia przypominała mi przygodę, którą miałem z takim kolegą Maćkiem od nas z wydziału. Za tajne przeszukania w mieszkaniach zasadniczo odpowiedzialny był inny pion, ale my nieraz chodziliśmy do domów dyptomatów. Któregoś razu podczas takiej akcji stosunkowo długo staliśmy przed drzwiami, walcząc z zamkiem. Wtedy ktoś nas tam przyfilował. Weszliśmy do środka, minęło może parę minut, wyglądam przez szybkę w drzwiach i widzę, że na chodniku stoi tam dosłownie parędziesiąt osób i wszyscy oczywiście wściekli, bo myślą, że włamanie. Spojrzałem na Maćka i mówię mu, że trzeba się ewakuować, bo nas przecież zatłuką. Taka osiedlowa straż nie wiadomo, co robi, jak dorwie łobuzów. Nie było innej drogi ucieczki, więc wyszliśmy frontowymi drzwiami i zmierzamy w kierunku tego tłumu. Ja mam w ręce młotek, kolega też coś trzyma i wyglądamy jak prawdziwi bandyci, co oni oczywiście wszyscy komentują, wyzywając nas

od najgorszych. No ale puścili nas do samochodu i pojechaliśmy. Gdyby nas zatrzymali, to ostatnią deską ratunku byłiby ci betkarze, którzy zabezpieczali akcję i mieli radiowóz milicyjny oraz mundury. Podjechaliby pewnie i nas zgarnęli. Wiadomo, okazji do lekkiego spałowania kolegów też by nie przepuścili.

TURYSTA: Spośród wszystkich funkcjonariuszy pionu obserwacji to właśnie członkowie grupy interwencyjnej jako jedyni mieli stosunkowo dużą świadomość tego, co się dzieje. Wiedzieli przecież, po co są pod tą ambasadą, wiedzieli, że my wchodzimy do środka, stali bezpośrednio przed budynkiem. Nie znali na pewno naszych metod działania, nie wiedzieli nic o izotopach, ale jednak mieli świadomość, że co rusz wchodzimy na teren placówek. Staraliśmy się, żeby to byli zawsze ci sami ludzie, żeby nie poszerzać grona wtajemniczonych. Jeśli ktoś był akurat na urlopie, a trzeba było wejść na obiekt, to taka osoba musiała wrócić z wakacji.

ŁOWCA: Czasem betkarze na czas naszych akcji podstawiali pod placówkę samochód do rozbicia. Dzięki temu w ostateczności mogli zatrzymać jadącego do placówki dyplomatę, powodując stłuczkę. Zanim skończyliby z nim rozmowę i dopełnili formalności, to nas by już dawno nie było.

TURYSTA: Pamiętam, że kiedyś mieliśmy przygodę z prawdziwą milicją. Wracaliśmy akurat do hotelu po akcji w amerykańskim konsulacie w Poznaniu. Byliśmy w naszym naturalnie nieoznakowanym w żaden sposób aucie, milicjanci zatrzymali radiowóz obok i podeszli do naszych okien. Ot tak, na kontrolę czy coś. My nie mieliśmy ze sobą absolutnie żadnych dokumentów, bo taka była zasada podczas akcji. Wiadomo, chodziło zarówno o to, żeby niczego takiego nie zgubić wewnątrz placówki, jak i o to, żeby

nie można nas było zidentyfikować, gdybyśmy zostali złapani. W aucie też nie mieliśmy żadnych papierów, więc szczerze powiedzieliśmy tym milicjantom, że nie mamy czym się wylegitymować, i poprosiliśmy, żeby pozwolili nam odjechać. Ale oni wtedy oczywiście zaczęli nas jeszcze mocniej naciskać. My na to znów zaczęliśmy powtarzać, że nie mamy dokumentów, że wszystko okej i że najlepiej pojedźmy już każdy w swoją stronę. Nie odpuścili. W pewnym momencie nasz kolega, taki pan doktor, inżynier, podszedł do tego ich radiowozu i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. To była akurat zima, napadało sporo śniegu i on po prostu cisnął tymi kluczami w taką wielką zaspę. Milicjanci zupełnie zdębieli. Dopiero wtedy dotarło do nich, że żadnego legitymowania nie będzie, a my spokojnie odjechaliśmy. Trochę byłem zaskoczony tym, co ten kolega zrobił, no ale grunt, że podziałało. Wszystko się rozegrało w pewnej odległości od placówki. Pod samym obiektem problemy z prawdziwą milicją były mało prawdopodobne.

BRODACZ: Bo betka pilnowała, żeby milicja nie zawracała nam głowy w tej okolicy. Jakoś to załatwiali między sobą.



TURYSTA: Przyjeżdżając na akcję, oczywiście nie parkowaliśmy samochodu pod samą placówką, tylko w jakiejś tam odległości.

BRODACZ: Mieliśmy dużo maneli, więc oficer z wydziału operacyjnego też musiał coś tachać. Nieraz mówiliśmy, co robić, kolegom przewyższającym nas znacznie stopniem i nikt nawet nie wpadł na pomysł, żeby się obrazić.

ŁOWCA: Generał też musiał coś nieść. Jak ktoś miał ochotę tylko popatrzeć, to mógł sobie pójść do muzeum, a nie na robotę z nami. My i tak mieliśmy już ręce wyciągnięte do kolan.

BRODACZ: Ja to w ogóle kiedyś byłem na obiekcie sam z dwoma generałami. Było tak, że któregoś razu jeden z nich, nazwisko sobie odpuśćmy, bo żyje, zjawił się w sekretariacie naszego wydziału i pyta o mnie. Przychodzę, a on mówi, że mam się ubierać, bo natychmiast jedziemy do Poznania. No to zabieram rzeczy, wychodzę na zewnątrz, siadam za kierownicą auta, które tam stało, i patrzę za siebie. Na tylnym siedzeniu siedzi drugi generał – Zdzisław Sarewicz, wieloletni członek kierownictwa i – w pewnym momencie – szef zarówno kontrwywiadu, jak i wywiadu. Obstawę mam niezłą, jedziemy, okazuje się, że mają informację, że w Poznaniu tego dnia jest jakiś jeden bardzo ciekawy kwit, który muszą mieć. Przyjechaliśmy, uruchomieni zostali koledzy w Poznaniu, którzy zabezpieczali akcję, szyfrów akurat tego dnia nie trzeba było ustalać, szybka robota, sprawa załatwiona migiem. Ale mimo wszystko był jakiś sprzęt do niesienia, więc koledzy generałowie musieli łapać toboły, bo w tej specyficznej pracy tak naprawdę nie było czegoś takiego jak stopnie. To były wyjątkowe okoliczności, wyjątkowe działania i wszyscy byliśmy kolegami. Muszę powiedzieć, że relacje pomiędzy pracownikami naszego wydziału i kierownictwem wydziałów operacyjnych i całego kontrwywiadu były luźne również poza obiektem. Mogę też łatwo wyjaśnić dlaczego – po prostu wiadomo było, że jeśli mamy bezpiecznie wrócić do domu z akcji, to ogólnie musimy mieć dobry kontakt, znać się i rozumieć. Były luźne rozmowy, był śmiech, była atmosferka.

TURYSTA: Oczywiście. Generał czy nie generał – nie kwestionował naszych poleceń. Jak podjeżdżaliśmy pod obiekt, to mówiliśmy kolegom spoza wydziału, którą walizkę mają wziąć, i tyle. Czekaliśmy na komendę, że mamy zielone światło, a potem wysiadaliśmy, pojedynczo. Konsulat amerykański w Poznaniu znajdował się przy ulicy Chopina 4, w starej, potężnej willi. Przed nią był park, przez który szybko przelatywaliśmy. Pierwszy otwierał furtkę, żeby kolejni już się nie siłowali. Po jakimś czasie pojawiał się drugi, trzeci i tak dalej. Liczbę ludzi na obiekcie staraliśmy się ograniczać. Najważniejsze było, żeby nie doprowadzić do sytuacji, w której musielibyśmy stać przez jakiś czas na ulicy, przed obiektem. Czy samemu, czy tym bardziej w grupie – to byłaby głupota. Szczęśliwie w Poznaniu udało nam się zdobyć klucz do furtki, ale na przykład w konsulacie francuskim w Krakowie z początku był problem. Wejście znajdowało się bezpośrednio od ulicy Stolarskiej, na widoku, i było zamykane na bardzo trudny do otwarcia zamek. Pamiętam go dobrze, to był fichtet typu H, otwierany takim dziwnym kluczem w kształcie tej właśnie litery. Nie było mowy, żebyśmy tam przed placówką stali i grzebali, bo ktoś by nas na sto procent przyuważył. Żeby rozwiązać ten problem, zacząłem jeździć po Polsce za konsulem i sprawdzać, czy przypadkiem w pokoju hotelowym nie zostawił tego klucza. No i faktycznie, któregoś razu popełnił ten błąd, zrobiło się duplikat i problem był rozwiązany.



Konsulat USA w Poznaniu. Fotografia wykonana na potrzeby Departamentu II.

INŻYNIER: Ja niestety miałem jedną małą wpadkę, jeśli chodzi o Francuzów i zamek marki Fichet. Taki sam jak w drzwiach był tam też w kasie pancерnej. Niestety nie mieliśmy do tego zamka kluczy surowych, więc zamówiliśmy je sobie na Akademii Górniczo-Hutniczej, przy czym dla zaoszczędzenia czasu i pieniędzy poprosiliśmy o uproszczoną wersję. Ten nasz surowiec był po prostu pozbawiony takiego garba, który uniemożliwiał wprowadzenie klucza do zamka złą stroną i potem wyciągnięcie go bez całkowitego zamknięcia zamka. Zakładaliśmy, że nam nie jest ten garb potrzebny, bo będziemy pamiętać o problemie, no ale któregoś

razu jak zamykałem, to faktycznie wyjąłem ten klucz za wcześnie, po wykonaniu półobrotu, a nie całego obrotu, czym uniemożliwiłem włożenie zwykłego klucza. Następnego ranka przyszedł konsul, chciał włożyć swój klucz i pomyślał, że coś się popsuło. Kazał więc swojemu personelowi wezwać ślusarza, a że personel był polski i cały zwerbowany do współpracy przez miejscowy pion kontrwywiadowczy, to o wszystkim, co się działo w placówce, informowali, kogo trzeba. Błyskawicznie dostałem od kolegów z krakowskiego Wydziału II informację, że jest problem na stacji kosmicznej. Od razu się domyśliłem, co zaszło. Przez telefon poinstruowałem odpowiedniego człowieka, co ma zrobić, on tam poszedł, otworzył tę kasę, jakąś bajeczkę konsulowi opowiedział o psującym się mechanizmie i jeszcze wziął za to parę groszy, no bo ślusarz za darmo nie pracuje. Kryzys udało się zażegnać. Jak kolejnej nocy weszliśmy do tego konsulatu, to zamek leżał już spakowany, gotowy do odesłania do Francji.



Konsulat USA w Krakowie, widok współczesny.

TURYSTA: W Krakowie na tej samej ulicy co Francuzi zainstalowali się też Amerykanie. Ich konsulat mieścił się przy Stolarskiej 9, ale my wchodziliśmy jak gdyby od tyłu, od strony krakowskiego rynku, przez bramę, do której mieliśmy klucz. Znajdowała się ona w tym miejscu, gdzie zaczyna się ulica Grodzka. O, mówiąc prościej – to było naprzeciwko słynnej restauracji Wierzynek. Szło się w głąb bramy i tam dalej było przejście do konsulatu.

BRODACZ: Na rynku w Krakowie to nieraz z godzinę trzeba było stać w aucie, nim się weszło. Tam kręciło się sporo ludzi, tak

samo jak i dziś, i musieliśmy wyczekać na taki moment, kiedy będzie pusto.

TURYSTA: Po wejściu do pomieszczeń placówki ryglowaliśmy się od środka. Wiele obiektów miało po prostu od wewnętrznej strony zamek dobrze znany z mieszkań – pudełko z pokrętłem przykręcone do drzwi. Zamykało się więc taki zamek i na to pudełko zakładało taką prostą blokadkę, która unieruchamiała rygiel. Jeśli ktoś chciałby wejść do środka, to po prostu nie dałby rady obrócić klucza. Blokowanie drzwi było dla nas szczególnie ważne w tych placówkach, do których wchodziliśmy w czasie, gdy gospodarze byli na miejscu. W tych pustych też się zamykaliśmy od środka, ale było to nieco mniej istotne, bo jeśli ktoś by się zbliżał do placówki, to i tak powinniśmy się o tym dowiedzieć od betkarzy. Natomiast w placówce zamieszkannej albo mającej wartowników teoretycznie w każdej chwili ktoś mógł wpaść na pomysł wejścia do tych pomieszczeń, w których siedzieliśmy, i betkarze niewiele by w takiej sytuacji działali. Oczywiście obserwowali okna i dawali nam znać, jeśli zauważyli jakiś ruch. Nie mogli nam jednak zagwarantować, że nikt klatką schodową nie przejdzie pod drzwi, za którymi działaliśmy. Na przykład w konsulacie USA w Poznaniu plan budynku był taki, że istniała właściwa część przedstawicielstwa na jednym piętrze, a poziom wyżej – część mieszkalna, tak więc Amerykanie byli bezpośrednio nad naszymi głowami. Jeśli ktoś, założmy, pokłóciłby się z żoną i zechciał przenocować w pomieszczeniach konsulatu, to byłby na dole w mgnieniu oka. Liczyliśmy na to, że dzięki naszej blokadce na drzwiach taki ktoś po nieudanych próbach otwarcia zamka w drzwiach uzna, że mechanizm się zepsuł, i pójdzie na górę spać albo przynajmniej szukać jakichś narzędzi, a my w tym czasie się ewakuujemy.



Drzwi w konsulacie USA w Poznaniu. Funkcjonariusze zamykali się od środka, zakładając zacisk na środkowy zamek.

BRODACZ: Nigdy nie byłem w tej części mieszkalnej konsulatu USA w Poznaniu, bo tam zawsze ktoś przebywał. Natomiast bywałem w części mieszkalnej konsulatu krakowskiego, która była jak gdyby w drugim pionie i od czasu do czasu bywała pusta. Nie przepuszczaliśmy okazji, żeby tam zajrzeć, bo może akurat ktoś zostawił jakieś klucze, może jakieś ciekawe notatki. Bazując na tym, jak wyglądały te pomieszczenia, mogę powiedzieć, że tam mieszkała więcej niż jedna, dwie osoby. To była duża przestrzeń. I teraz niech pan sobie wyobrazi, że my tam czasem wchodziliśmy nawet wtedy, kiedy te osoby były u siebie. Dobrze chociaż, że sam konsulat znajdował się w innym pionie. Ale paradoksalnie o wiele częściej wchodziliśmy do Amerykanów w Poznaniu, gdzie mieliśmy ich bezpośrednio nad głową i – tak jak mówił „Turysta” – mogli w sekundę zjawić się piętro niżej przed drzwiami, za którymi byliśmy my.

TURYSTA: Właśnie dlatego po wejściu do placówki tak ważne było błyskawiczne zamknięcie się od środka. No a potem zabieraliśmy się do roboty. Z włączaniem światła bywało różnie, to zależało od tego, na co wychodzą okna placówki i tak dalej. W tych pomieszczeniach, które w ogóle nie miały okien, można było sobie zaświecić, ale w pozostałych trzeba było rozważyć opcje. Tam, gdzie było to możliwe i mieliśmy czas, szczerze zakrywaliśmy okna folią przyniesioną specjalnie w tym celu. Po włączeniu światła osoba ewentualnie stojąca na zewnątrz nie widziała żadnej różnicy, było ciemno jak wcześniej. Ale pamiętam placówki, gdzie nie było możliwe zasłonięcie wszystkich okien. I tam pracowaliśmy po prostu z latareczkami w zębach.

FOTOGRAF: Nieraz przychodziło mi robić zdjęcia w ciemności. Tak, tak, jak najbardziej. Podczerwień stanowiła rozwiązanie problemu, tak było choćby u Hiszpanów. Na tym obiekcie w wielu pomieszczeniach był problem z włączeniem światła. Wieżowiec przy Starościńskiej miał sporo okien, trudno by było je tak szybko i szczerze pozakrywać, a wokół było mnóstwo budynków.

TURYSTA: No i w tym samym kompleksie były inne placówki.

FOTOGRAF: Właśnie. Więc kupiliśmy filmy „infraredy”, a z Biura „B”, w którym wcześniej pracowałem, pożyczałem specjalną lampę marki Sunpak. Całkiem niezłe wychodziły te zdjęcia robione w ciemności.

TURYSTA: Po wejściu do placówki często zrzucałem z siebie kurtkę, przy czym nie chodziło wyłącznie o kwestię temperatury, ale też o to, że chciałem zminimalizować liczbę rzeczy, które krępują mi ruchy i jednocześnie mogą o coś zahaczyć przy poruszaniu się po obiekcie.

BRODACZ: Stłuczenie byle wazonika stanowiłoby ogromny problem. Zasady były proste – chodzić jak duchy, niczego nie dotykać, nie gadać. Rozumieliśmy się prawie bez słów, a jak trzeba było coś powiedzieć, to człowiek oczywiście szeptał. No i zakładaliśmy takie „ciche buty”, filcowe.

ŁOWCA: Podobne do muzealnych kapci.

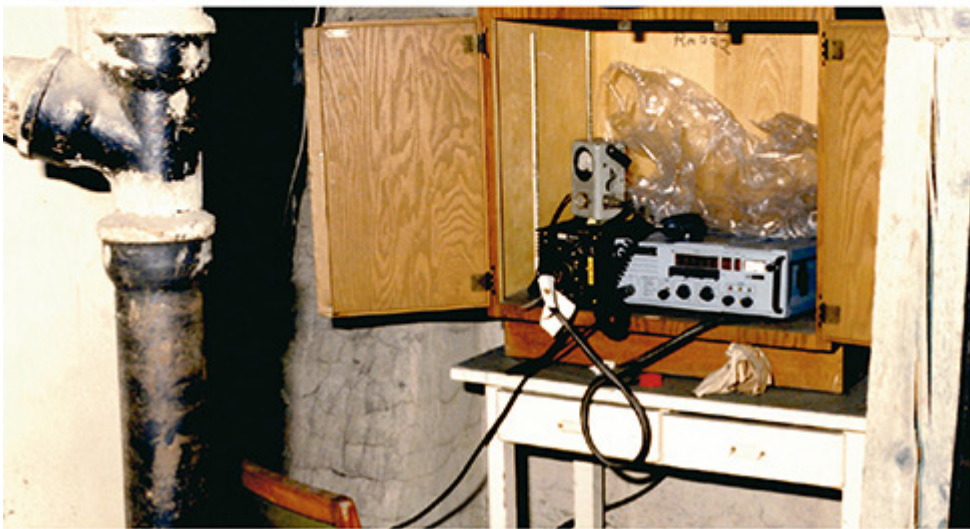
FOTOGRAF: A niekiedy człowiek po prostu w skarpetkach łąził. Kiedyś wchodziłem z kolegą na Foksal 11 tu, w Warszawie, gdzie mieścił się Włoski Instytut Kultury i można było też ciekawe dokumenty znaleźć. Na dworze brzydka pogoda, więc od razu

po wejściu zdjęliśmy buty, a nie mieliśmy żadnych kapci. Kolega poszedł na górę kombinować, a ja w tym czasie stwierdziłem, że zejść na dół, bo tam znajdowało się pomieszczenie, w którym można było sobie komfortowo rozstawić ten nasz kombajn do fotografowania materiałów. Nie wyjąłem nawet latarki, bo obiekt dobrze znam, schodzę schodami i nagle słyszę „chlup, chlup, chlup”. Czuję, że skarpetki i spodnie mam mokre. Wyjąłem latarkę, patrzę i widzę, że tam wszystko zalane, rura pękła. Nie chciałem nanieść błota na butach z zewnątrz, a teraz mam większy problem. Gdybym nie zdjął butów, to chlupanie usłyszałbym znacznie wcześniej i nie zamoczył spodni. Zdjąłbym po prostu buty, wrócił się na górę i tyle. A tak byłem w połowie mokry i musiałem się rozbierać. Dziś można się śmiać, ale to naprawdę był duży problem. Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby Włosi weszli tam rano, a od zalanej piwnicy leciałby po wykładzinie ślad do drzwi wejściowych?



Gabinet i otwarta przez funkcjonariuszy kasa pancerna ambasadora Hiszpanii. W zamku tkwi dorobiony klucz. Fotografie wykonano w ciemności, w technice

podczerwieni.



Pomieszczenia biurowe konsulatu USA w Krakowie i znaleziona na strychu radiostacja.

Podobną historię z zalaniem mieliśmy też w ambasadzie hiszpańskiej. Otworzyliśmy drzwi, robimy parę kroków i nagle słyszymy coś, tym razem „trach, trach, trach”. Świecimy sobie latarkami pod nogi i co się okazuje? Klepki podłogowe stają dęba. Też ich zalało i po prostu się wszystko podniosło. Zanim poszliśmy, to jakoś te klepki ułożyliśmy, ale oczywiście nie bawiliśmy się w ekipę remontową. Wie pan, co nas ratowało w takich sytuacjach? Fakt, że do placówek często przychodziły rano sprzątaczkі, jako pierwsze, i tu akurat też tak było. Gdyby nam klepki stanęły dęba w jednym z pomieszczeń, do których sprzątaczką nie miała wstępu, to faktycznie byłby problem. Ale w tym przypadku mowa była o miejscu zaraz za wejściem, gdzie ona też musiała stanąć. Wiedzieliśmy więc, że też się w to wchrzani i będzie przekonana, że narozrabiała jako pierwsza.



FOTOGRAF: Najbardziej trzeba było uważać wyciągając dokumenty. Wiadomo, żeby kartek nie pomylić albo nawet kurzu za bardzo nie naruszyć na sejfie.

BRODACZ: Często używaliśmy rękawiczek. Zanim czeokolwiek dotknęliśmy, robione były polaroidem zdjęcia, które potem pozwalały nam ułożyć wszystko w ten sam sposób, jak leżało na początku. Czasem, jeśli były podejrzenia, że jakiś pracownik placówki jest wyjątkowo pedantyczny, to człowiek tysięcy razy obejrzał każdy przedmiot, zanim w ogóle tknął go palcem.

TURYSTA: Głównym celem naszych działań było oczywiście przedostanie się do sejfów. W niektórych placówkach znajdowały się one po prostu w gabinetach, w innych mogły być schowane za jakąś kratą, a w przypadku konsulatów amerykańskich i ambasady szwedzkiej mieliśmy do czynienia z rzeczą najstraszniejszą, czyli tak zwanym bunkrem. Czasem mówiło się też „skarbiec”, „punkt szyfrowy”, „strefa chroniona”. Było to pomieszczenie, w którym lądowały najtajniejsze dokumenty całej placówki i sprzęt do łączności, czy też zapasowe klucze do wszystkich zamków i rezydencji dyplomatów, które mogliśmy od razu skopiować. No i jednocześnie było to najważniejsze miejsce z punktu widzenia oficerów służb wywiadowczych tych państw. CIA zadbała o to, żeby ich bunkry spełniały wszelkie normy przewidziane dla takiego miejsca, Szwedzi zresztą tak samo. Coś na kształt bunkra mieli też Portugalczycy, ale nie było to pomieszczenie aż tak bezpieczne. Najciężej było u Amerykanów i Szwedów, gdzie żeby w ogóle przedostać się przed wejście do bunkra, musieliśmy przejść przez cały labirynt zabezpieczeń wewnątrz placówki. Jedne, drugie, trzecie drzwi, zamki kluczowe, mechaniczne szyfrowe, a w Poznaniu był nawet jeden elektroniczny. Już samo przedostanie się do przedsionka takiego bunkra było nie lada sukcesem.

BRODACZ: A pamiętasz, jak któregoś razu żeśmy rekord świata pobili? Sytuacja była taka, że w Krakowie pozmieniali zamki w drzwiach pomiędzy pomieszczeniami. Przyrypali zamek kluczowy, yale’owski z siedmioma pinami, czyli taki, jaki wielu ludzi ma w domu, tylko dużo dłuższy i trudniejszy do otwarcia. W dodatku w tych samych drzwiach był jeszcze szyfrowy typu Simplex, w którym było parę przycisków i trzeba było je wcisnąć w konkretny sposób, przykładowo lewy, prawy, środkowy albo

dwa boczne jednocześnie, potem środkowy i tak dalej. Pamiętam, że tego dnia, gdy przyszliśmy otworzyć te zamki, był z nami naczelnik. Jak tylko przeszliśmy przez główne wejście do konsulatu, to szef od razu usiadł sobie w fotelu i mówi, że idzie spać na godzinę, bo przecież nam zajmie trochę czasu, żeby się z tymi zabezpieczeniami uporać.

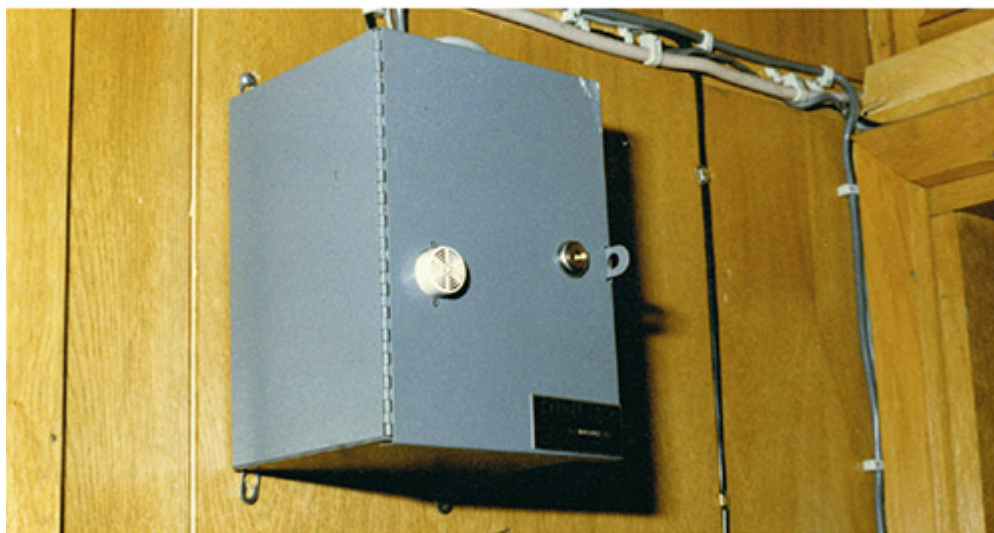
No dobra, to ja pierwszy biorę się za dłubanie w zamku kluczowym, wiem, że może nie być łatwo, więc mówię „Turyście”, że jak się zmęcę, to będzie zmiana. Trzydzieści sekund nie minęło, zamek „pyk”, otwarty. No akurat tak mi szybko poszło, dobry dzień. Naczelnik to zobaczył, to trochę stracił chęć do spania i wyprostował się w tym fotelu. No ale przed nami jeszcze walka z simplexem, a sposób na niego był po prostu taki, że mieliśmy listę wszystkich możliwych kombinacji i trzeba było próbować jedną po drugiej. Proszę pana, nad tym można było stać do usranej śmierci, perspektywa niewesoła. No ale zaczynamy – ja czytam, a „Turysta” wbija. Kombinacja nie działa, kolejna też nie. Czytając trzecią albo czwartą, pomyliłem się i źle podyktowałem. Po sekundzie się zorientowałem i poprawiłem, ale „Turysta” zdążył już wbić tę błędną. Cyk – drzwi otwarte. No szczęście takie.

Noc jeszcze młoda, to proponuję, że wyjmemy z drzwi ten wcześniejszy zamek kluczowy, rozłożymy go, pomierzymy, co trzeba, i zrobimy od razu kluczyk. „Turysta” się zgodził, więc podeszliśmy do biurka konsula, ręczniczek się położyło, na to poszło nasze podręczne imadełko i bach, bach, bach – pykamy na szybko kluczyk. Skończyliśmy, przychodzi szef, patrzy na to nasze dzieło sztuki i mówi, że po jego trupie włożymy to do zamka. No ale my przecież wiemy, co robimy, więc zaczynamy go przekonywać, że nic się nie stanie. W końcu pozwolił i wsuwamy klucz. I co? Chodzi jak masełeczko.

Więc widzi pan, raz robota szła szybko, a innym razem człowiek stał nad jakimś zamkiem godzinami i myślał, że już tam umrze. U Szwedów był na przykład taki jeden okropny, piekielnie skomplikowany zamek. Dosłownie parę nocy z rzędu przychodziło się w nim grzebać, a potem jeszcze człowiek się nastresował, jak musiał go zamknąć. Mieliśmy do tego takie szperaczki skręcane i niech pan sobie wyobrazi, że o ile przy otwieraniu wszystko było okej, o tyle przy zamykaniu one po prostu zaczynały się rozkręcać, bo nacisk sprężyn w środku był tak duży. Pamiętam sytuację, że na dworze już butelki z mlekiem brzęczały, zbliżała się godzina otwarcia placówki, a my jeszcze walczyliśmy, żeby te drzwi zamknąć za sobą. Stres nie miały.

TURYSTA: Człowiek niejednokrotnie ledwo przytomny wracał do domu, tak się namęczył. Ale efekty były, co tu dużo gadać. Wie pan, ja dziś nawet nie jestem w stanie wymienić wszystkich placówek, w których byłem. Tych akcji było tyle, że naprawdę nie sposób mi to z pamięci wyliczyć. Wydziały operacyjne dawały nam znać, skąd potrzebują dokumentów, i my tam wchodziliśmy. Nie tylko do Amerykanów, Hiszpanów, Włochów, Duńczyków, Szwedów i tak dalej. Byliśmy w najróżniejszych placówkach, pamiętam indyjską, argentyńską, meksykańską, portugalską. Dziś łapię się na tym, że pamiętam jakiś budynek, mam przed oczami drzwi, sejf, gabinet, ale trudno mi przypisać to do konkretnego kraju, bo po prostu była to placówka, gdzie dokumenty były mniej interesujące i wchodziło się tylko raz na jakiś czas. Bardziej niż flagi w pamięć zapadały mi chyba zamki. Pokonywaliśmy skomplikowane zabezpieczenia austriackiej firmy Evva, szwajcarskie zamki Kaba, niemieckie Kromer Novum, amerykańskie sargent, szwedzkie rosgrensens i koszmarne trudne do otwarcia FAS. Długo by można wymieniać. Przychodziliśmy, nie bawiliśmy się bez sensu

jak niektórzy w jakieś tam grzebanie na ośle, podchodziliśmy do tematu konkretnie.

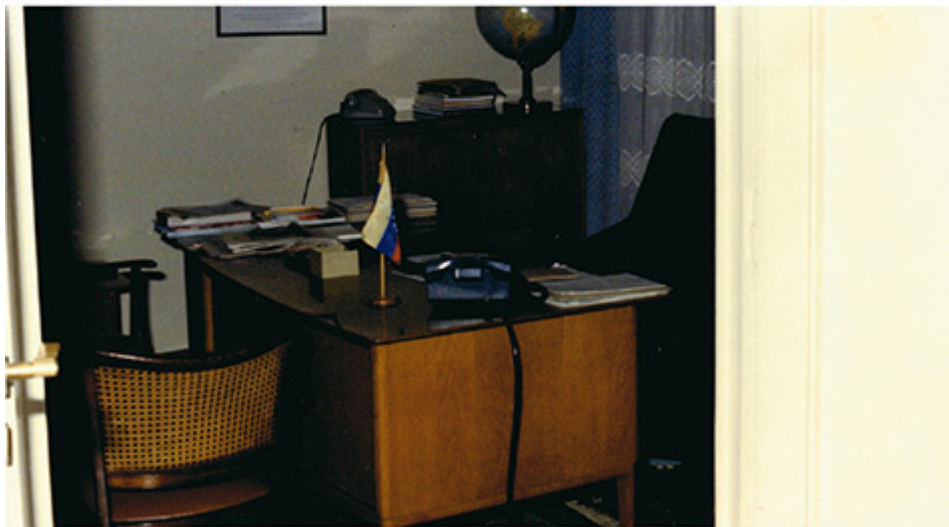


W konsulacie USA w Poznaniu funkcjonariusze natrafili na zamki elektroniczne. Fotografia przedstawia jeden z nich. Za widoczną na dwóch pierwszych zdjęciach

osłoną znajduje się klawiatura. Centralka na ostatnim zdjęciu zamocowana była za drzwiami.



Amerykanie w obu konsulatach (powyższą fotografię wykonano w Poznaniu) zastosowali także zamki typu Simplex, które otwierało się poprzez wciśnięcie paru przycisków w odpowiedniej kolejności (niekiedy więcej niż jednego równocześnie).



Wnętrze ambasady Wenezueli w Warszawie.

Więc teraz niech pan sobie wyobrazi, że te skomplikowane zamki i tak były niczym w porównaniu z wyzwaniem, które czekało na nas, gdy stawaliśmy przed bunkrem. Niech pan sobie wyobrazi najbezpieczniejsze pomieszczenie placówki, gdzieś w głębi budynku. Już? To teraz niech pan sobie znowu wyobrazi, że przyjeżdża specjalista z CIA i we wnętrzu tego już i tak bezpiecznego pokoju stawia grube, żelbetowe ściany, tworząc tym samym jeszcze kolejne pomieszczenie, po czym dzieła dopełnia, wstawiając w jego wejściu drzwi skarbcowe z mechanicznym zamkiem szyfrowym najwyższej klasy. Wie pan, jak Rosjanie nazywali to, co robiliśmy? „Tajnym przenikaniem”, a nie „tajnym wejściem”. Dlaczego akurat „przenikanie”? Bo „wejść” to można sobie do gabinetu ambasadora, grzebiąc w zamku szperakami. Ale przedostanie się do wnętrza takiego bunkra bez pozostawiania najmniejszych śladów zasługuje już na miano przenikania. Czary-mary, proszę pana.

INFORMACJA

dot. rezultatów działań specjalnych w obiekcie krypt. "DELOS"
/ambasada Portugali w Warszawie/

W ramach długofalowego programu działań operacyjno-technicznych wobec placówek dyplomatycznych państw NATO, w bieżącym roku realizowano kolejne przedsięwzięcia zmierzające do pokonania systemu zabezpieczenia i opanowania łączności szyfrowej ambasady Portugali w Warszawie.

Cykl działań agenturalno-technicznych i kombinacji operacyjnych zakończyła zrealizowana w godzinach wieczorowo-nocnych z 12 na 13 marca akcja, w trakcie której:

- dokonano wejścia do najbardziej chronionego pomieszczenia placówki, tj. pokoju szyfranta, pokonując zamek szyfrowy zabezpieczający "bunkier";
- pokonano zabezpieczenia zamków szafy metalowej należącej do szyfranta oraz znajdującej się w "bunkrze" kasy pancernej uzyskując dostęp do urządzeń i materiałów kryptograficznych placówki;
- przejęto i sfotografowano materiały kryptograficzne obiektu, w tym gamy szyfrowe placówki ważne na 1987 rok, wykorzystywane do obustronnej łączności placówka - centrala oraz łączności okólnej;
- dokonano pomiarów konfiguracji nowego 50-cio kontaktowego wtyku komutatorowego firmy "Sony" maszyny szyfrującej "Gretag TC-812", stanowiącego istotny element w systemie zabezpieczenia łączności szyfrowej.

Uzyskane rezultaty umożliwiają pełną kontrolę łączności szyfrowej placówki oraz łączności okólnej centrali do końca bieżącego roku.

Ponadto w trakcie akcji:

- dokonano pomiarów ujawnionego w toku działań nowego zamka szyfrowego typu "Sergent" posiadającego dodatkowe zabezpieczenie za pomocą specjalnego klucza;
- sporządzono około 1200 fotokopii dokumentów służbowych placówki i centrali, cechowanych klauzulą "tajne" bądź "poufne", dotyczących problematyki politycznej i gospodarczej PRL za okres od kwietnia 1986 do chwili obecnej.

Akcja przebiegała bez zakłóceń, nie stwierdzono oznak dekonspiracji prowadzonych działań.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Płk mgr inż. Janusz SEREDA

Opr. SM/BS

Funkcjonariusze zawsze starali się maksymalnie wykorzystać cenny czas spędzony na terenie placówki. Podczas jednego wejścia wykonywano niekiedy szereg

skomplikowanych zadań.

ROZDZIAŁ 7

BOMBA

TURYSTA: Na początku 1983 roku zabraliśmy nasze zabawki z gmachu na Rakowieckiej i przenieśliśmy się do innego budynku. To była ta sama dzielnica, ale w sumie dzieliły nas jakieś cztery kilometry – centrala MSW była na północnym skraju Mokotowa, a nasz wydział od teraz na południowym. W przeprowadzce chodziło przede wszystkim o stworzenie nam korzystniejszych i bezpieczniejszych warunków do pracy, ale też o zapewnienie jeszcze lepszej konspiracji. W gmachu MSW było zawsze pełno ludzi, a nas miał nikt nie kojarzyć i nie interesować się, co robimy. W nowym miejscu byliśmy już zupełnie odizolowani od świata. Budynek nie miał żadnych oznaczeń, mieliśmy ochroniarza, nikt do nas nie mógł wejść. Kiedy się tam przenieśliśmy, wszystko wyglądało jeszcze dość surowo, bo nawet nie mieliśmy ciepłej wody, ale dbaliśmy o budynek, pracowaliśmy nad nim i z czasem zrobiliśmy wszystko, co trzeba, z centralnym ogrzewaniem włącznie. Na piętrze mieliśmy swoje gabinety i taką świetlicę, którą traktowaliśmy jak dużą przestrzeń do pracy. Z kadr przytargaliśmy tam nawet stół do ping-ponga, na którym można było rozłożyć graty, jak ktoś potrzebował. Jedyne, czego nam brakowało, to może kuchnia. Chociaż z drugiej strony czasu na żadne gotowanie obiadu i tak nigdy nie mieliśmy, a miejsce, żeby zrobić kawę i herbatę, było, przy czym mieliśmy tak dużo pracy, że niektórzy bardzo nadużywali kofeiny. Na parterze tego budynku mieściły się

natomiast pracownie: fotograficzna, chemiczna, mechaniczna i tak dalej, a na końcu korytarza były jeszcze jedne drzwi, do tak zwanej pracowni „Z”. Tylko część pracowników wydziału miała tam wstęp. Bezpośrednio za tymi drzwiami był pokój socjalny, a dalej toaleta i prysznic, bo wymagały tego przepisy. Kolejne drzwi prowadziły do sterowni, a jeszcze kolejne do dużego pomieszczenia, gdzie pod sufitem była podwieszona suwnica z wyciągiem elektrycznym. Wisiała tam też kamera, z której obraz można było oglądać na monitorze w sterowni. Na podłodze natomiast widać było dużą płytę zrobioną z kształtek ołowianych, czyli takich odlewów, które można ze sobą połączyć. Po odciągnięciu tej płyty zajarzałyby pan w dziurę głębokości około 180 centymetrów, która cała była wyłożona stalą nierdzewną. Tam, na samym dole, w specjalnym ciężkim pojemniku znajdowały się izotopy kobaltu-60 i irydu-192 – podstawa naszej pracy i nasze największe przekleństwo. Kupowaliśmy je w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku, gdzie podawaliśmy się za wojsko. Pracownikom, którzy nam tam pomagali, płaciliśmy dodatkowo albo dawaliśmy prezenty. To było wynagrodzenie za to, że załadują nam to do naszych pojemników, których nie znali, które nie miały odpowiednich certyfikatów i nie spełniały zasad bezpieczeństwa.



INŻYNIER: Nowy budynek to był luksus. Wcześniej to człowiek znosił pojemnik z izotopem do schronu w budynku ministerstwa na Rakowieckiej, zamykał drzwi i do widzenia. Było powiedziane, że nikt ma tam nie wchodzić, i tyle.

FOTOGRAF: Ja się zawsze śmiałem, że ten izotop siedzi w piecu chlebowym, bo w tym schronie było wybudowane właśnie coś

na kształt takiego pieca. Kładło się tam ten pojemnik i nic więcej się nie dało zrobić. Siało to strasznie, ale nie mieliśmy lepszego miejsca, póki nie przenieśliśmy się do nowego budynku.

INŻYNIER: Kiedy się to wszystko w ogóle zaczęło? Jak ja przyszedłem do wydziału w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, to izotopy były już używane, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć, od ilu lat. Zdaje się, że nikt mi o tym nie opowiadał, ja też nie pytałem. A może nie pamiętam. Niestety.

TURYSTA: Promieniowanie potrzebne było przede wszystkim do pokonania zamków, które napotykalismy na drzwiach najważniejszych pomieszczeń i kas pancernych – mechanicznych zamków szyfrowych. Specjaliści od bezpieczeństwa je uwielbiają, bo są trudne do otwarcia i nie istnieje problem klucza, który można zgubić i który da się skopiować. Większości ludzi zamki szyfrowe kojarzą się z filmami typu *Vabank*, gdzie kasiarz podchodzi do kasy pancерnej, coś tam kręci, coś tam słucha i po chwili wszystko otwarte. Nie mówię, że to zupełna bujda, bo faktycznie, gdy się ma ogromną wprawę, to można, obracając niektóre takie zamki, usłyszeć pewne dźwięki ułatwiające określenie właściwego szyfru. Szczególnie jeśli człowiek sobie pomaga jakimś urządzeniem typu stetoskop lekarski. Ale oglądając *Vabank*, trzeba pamiętać o dwóch podstawowych problemach – po pierwsze, zajęłoby to o wiele, wiele więcej czasu niż w filmie. Po drugie, filmowy Kwinto działa w okresie międzywojennym, kiedy technologia była jednak o wiele mniej zaawansowana niż w naszych czasach. Owszem, otwierane przez nas zamki szyfrowe w przeważającej większości działały na tej samej zasadzie, ale były znacznie bardziej dopracowane i precyzyjne, a co za tym idzie – chodziły bezszelestnie. Trzeba pamiętać, że my tu rozmawiamy nawet o końcówce lat

osiemdziesiątych. My nie mieliśmy czasu na taką zabawę w Kwinta i siedzenie jak głupki ze stetoskopem, czekając na dźwięki, które może się pojawią, ale najpewniej nie, bo mechanizm jest po prostu zbyt wysokiej jakości. Istniały też różne inne metody otwierania zamków szyfrowych, ale były albo zbyt czasochłonne i niepewne, albo zbyt inwazyjne i pozostawiały ślady.

BRODACZ: No chwileczkę, istniała jeszcze jedna nieinwazyjna metoda ustalania szyfru. Wydział operacyjny sprawdzał daty urodzin dzieci, żon i kochanek szyfranta i najpierw się tego próbowało. Śmieje się pan? A to nie jest żart. Bywały takie sytuacje, że to zadziało. Najgorzej, że w naszych polskich placówkach było to samo.

TURYSTA: Osobiście widziałem w jednej naszej ambasadzie szafę z zamkiem szyfrowym zaklejonym taśmą klejącą. Pracownicy się bali, że ktoś przypadkiem poruszy pokręteł, zamknie ją, i wtedy już nikt tego nigdy nie otworzy. Centralki alarmów też były całe zakurzone. Niestety to nie my byliśmy odpowiedzialni za zabezpieczanie polskich ambasad. Od czasu do czasu proszono nas, żeby coś tam sprawdzić, ale zasadniczo zajmowały się tym MSZ, BOR i wywiad.

ŁOWCA: Pamiętam, jak raz pojechałem gdzieś za granicę i w jednej z naszych placówek facet mnie pytał, czy mogę mu podać uniwersalny szyfr do otwierania zamka. Spytałem go, po co mu w ogóle ten zamek w kasie, skoro według niego każdy producent ma awaryjną kombinację. Masakra.

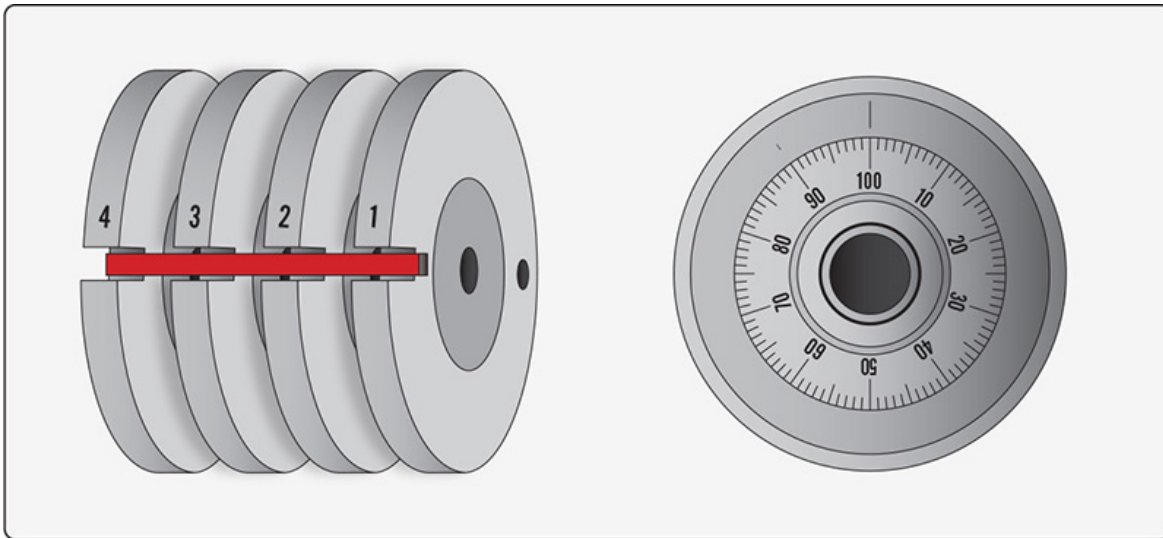
TURYSTA: Ale nawet pracownicy najlepiej zabezpieczonych placówek zachodnich miewali wpadki. Szwedzi szyfry do zamków

brali ze stojącego na regale obok bunkra, grubego na kilkaset stron katalogu artykułów przemysłowych. Każdy produkt miał tam kilkucyfrowy kod potrzebny przy składaniu zamówienia. Strona często otwierana odróżniała się od pozostałych, więc wiedzieliśmy, że któraś ze znajdujących się tam liczb może być szyfrem. Takie przypadki zdarzały się jednak tylko raz na milion lat. U Szwedów też nie zawsze udawało się znaleźć szyfry w katalogu, więc pozostawało nam użycie promieniowania gamma.

BRODACZ: Zanim przejdziemy do konkretów, trzeba powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Chociaż te wydarzenia miały miejsce ponad trzydzieści lat temu i dzisiaj wiedza na temat skutków promieniowania jest o wiele większa, to chciałbym, żeby nie było wątpliwości: my nie byliśmy głupi. To, co robiliśmy, robiliśmy z pełną świadomością zagrożeń, które z tej pracy wynikały.



INŻYNIER: Najważniejszym elementem zamka szyfrowego są tarcze z wycięciami na brzegach. Zwykle mamy trzy, czasem cztery takie tarcze. Do ich obracania służy pokrętło na drzwiach. Jeśli ma ono podziałkę z liczbami od 0 do 99, to liczba kombinacji może przyprawić o zawrót głowy. Ale zasada działania jest dość prosta: kiedy wycięcia w tarczach ustawią się w jednej linii, to wchodzi w nie podłużny element, zakończony tzw. „pieskiem”, który to odciąga rygiel zamka.



Uproszczony schemat czterotarczowego zamka szyfrowego w pozycji otwartej. Widoczny jest podłużny element (kolor czerwony), który wpadł w prześwit powstały dzięki ustawieniu za pomocą pokrętki wszystkich wycięć w tarczach w jednej linii.



Tył zamka szyfrowego (strona przeciwną w stosunku do pokrętki) w pozycji zamkniętej. Widoczny na górze haczyk nazywany przez funkcjonariuszy „pieskiem” (przypomina głowę psa) jest zespolony ze znajdującą się za nim podłużną belką (oznaczoną kolorem czerwonym na schemacie na poprzedniej stronie). Po ustawieniu tarcz w odpowiedniej pozycji belka wpadnie w prześwit w tarczach, doprowadzając tym samym do opuszczenia „pieska”. Ten haczyk wówczas o wycięcie w widocznym na fotografii kole (oznaczone 1). „Piesek” połączony jest z rygłem zamka i dalszy ruch pokrętką doprowadzi do otwarcia mechanizmu.

TURYSTA: Istniały dwie metody ustalania szyfru przy użyciu promieniowania. Pierwszą nazywaliśmy gammagraficzną i polegała ona na użyciu promieniowania, zazwyczaj wytworzonego przez kobalt-60 lub ewentualnie iryd-192 do prześwietlenia mechanizmu zamka. Dzięki temu uzyskiwaliśmy jego zdjęcie, podobne do zdjęcia rentgenowskiego, które dostajemy w szpitalu, kiedy złamiemy nogę. Ponieważ metal zatrzymuje część promieniowania, to na zdjęciu było widać wycięcia w tarczach. To pozwalało wnioskować, jakie ruchy pokrętle trzeba wykonać, żeby ustawić te tarcze w odpowiedniej pozycji i tym samym otworzyć zamek. Analiza fotografii wymagała oczywiście dużego doświadczenia, ale dzięki niej mogliśmy zawęzić liczbę możliwych kombinacji do jakichś dwudziestu. To, że zamek szyfrowy można prześwietlić, wiadano na całym świecie. Nikt jednak nie sądził, że znajdzie się grupka ludzi, którzy na teren placówki dyplomatycznej wniosą we własnych rękach tak silny izotop, by w ciągu jednej nocy wykonać wystarczająco wyraźne zdjęcie takiego mechanizmu.

INŻYNIER: Na drzwiach do bunkrów w konsulatach amerykańskich w Polsce, od wewnętrznej strony, znajdowała się plakietka, na której producent, słynna firma Mosler, zapewniał, że drzwi wytrzymają dwadzieścia godzin naświetlania. I mówimy tu o ciągłym naświetlaniu, bo tego przecież nie robiło się na raty. Nie można było przez tydzień przychodzić z tą samą kliszą i naświetlać jej powolutku, bo człowiek w życiu nie dałby rady wszystkiego ustawić idealnie tak samo, a oni też między naszymi wizytami kręciliby zamkiem, zmieniając położenie różnych elementów, i zdjęcie byłoby przecież niewyraźne. Klisze naświetlało się raz a dobrze, tylko takie rozwiązanie wchodziło w grę.

TURYSTA: To niech pan sobie teraz wyobrazi, jak silne było to promieniowanie, skoro oni dawali gwarancję wytrzymałości dwudziestu godzin, a my to robiliśmy w ciągu półtorej, dwóch. Naprawdę nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś przyniesie ze sobą taką „bombę”. Mimo to w pewnym momencie producenci zamków szyfrowych wymyślili, że zamiast stosować metalowe tarcze wsadzą do środka po prostu plastikowe i tym samym w łatwy sposób uniemożliwią wykonanie zdjęcia mechanizmu. Przez plastik promieniowanie przechodziło jak przez masło i na zdjęciu nic nie było widać.

Druga metoda, zwana gammametryczną, stanowiła rozwiązanie przede wszystkim właśnie tego problemu. Trik, który pozwolił przechytrzyć producentów tarcz plastikowych, był taki, że wąską wiązkę promieniowania z irydu-192, charakteryzującego się mniejszą przenikliwością niż kobalt, puszczało się przez zamek dokładnie w tym miejscu, w którym w danym modelu powinien pojawić się pas, czyli to wycięcie w tarczach. Następnie kręciło się zamkiem i mierzyło się siłę promieniowania po drugiej stronie przy użyciu tak zwanych sond scyntylicyjnych, które były tak czułe, że wychwytywały, czy wiązka leci przez przeszkodę w postaci plastiku, czy nie. Jeśli podczas kręcenia podskoczył nam odczyt, był to znak, że właśnie w tym miejscu może być na danej tarczy ten prześwit. Skoki odczytu mogły być spowodowane też przez inne przesuwające się elementy, ale wszystko się zapisywało, robiło wykres i w końcu otrzymywaliśmy krótką listę możliwych kombinacji.

Metoda gammametryczna przydawała się też do otwierania zamków o innej konstrukcji niż standardowe zamki tarczowe. Na przykład u Hiszpanów była właśnie taka nietypowa kasa. Teoretycznie można by ją otworzyć metodą gammagraficzną,

wykonując kilka zdjęć, jednak nie zdążylibyśmy tego zrobić w ciągu jednej nocy. Gammametria w tym konkretnym przypadku pozwalała skrócić potrzebny czas nawet do kilku lub kilkunastu minut.

Kolejnym zastosowaniem metody gammametrycznej było otwieranie zamków z tarczami metalowymi – wtedy, gdy umiejscowienie sejfu nie pozwalało wykonać fotografii. Można było wtedy użyć kobaltu, a sondy scyntylicyjne wykrywały przejście przez zamek choćby małej ilości promieniowania, co my sobie oczywiście zapisywaliśmy i analizowaliśmy.

Z takimi izotopami da się pracować bez zagrożeń. W budynku naszego wydziału mieliśmy przecież tę pracownię izotopową, zwaną pracownią „Z”, gdzie były warunki, żeby wiele czynności wykonać zgodnie ze standardami bezpieczeństwa. Znajdowały się tam też normalne aparaty rentgenowskie, na których można było prześwietlić jakiś mały przedmiot, przykładowo kłódeczkę. Ale problem stanowiło to, że nasza praca nie polegała na prowadzeniu badań w komfortowych warunkach laboratorium, za specjalną ochronną osłoną. My działaliśmy w pełnej konspiracji, zazwyczaj pomiędzy jedenastą w nocy a czwartą nad ranem, nieraz tylko przy latarkach i siedząc w ciasnych pomieszczeniach, gdzie nie było nawet jak się schować przed tym promieniowaniem. Te szczególne warunki wymagały od nas wyrzeczeń już podczas transportu źródła promieniowania do placówki. Gdybyśmy chcieli przestrzegać wszelkich zasad bezpieczeństwa, to na całym tym etapie, od momentu wyjęcia izotopu z dziury w naszej pracowni aż po moment wniesienia go do interesującego nas obiektu, musiałby on być w bardzo, bardzo ciężkim pojemniku, który nie przepuszcza promieniowania. Na to jednak nie mogliśmy sobie pozwolić, bo liczyła się mobilność. W jaki sposób przytachalibyśmy

na górę taki kocioł? Musieliśmy mieć coś o wiele lżejszego. Najmroczniejszą kartą historii naszego wydziału jest stary rosyjski pojemnik na izotopy o nazwie Berenika, który był na wyposażeniu, gdy z „Brodaczem” przyszliśmy do pracy na początku lat osiemdziesiątych. Szczęśliwie jakiś czas później to wszystko poszło w diabły, na złom. Ledwie pamiętam, jak to wyglądało, chyba to było zrobione z ołowiu. Nie chcieliśmy z tego korzystać. Kiedy mierzyliśmy promieniowanie wokół tego pojemnika, okazywało się, że przekracza ono normę nawet paręset razy. No ale był mobilny, była potrzeba, więc go noszono i wykorzystywano między innymi do ustalania szyfrów metodą, którą nazywaliśmy „zetką”. Należała ona do grupy metod gammagraficznych, czyli prowadzących do uzyskania fotografii zamka. Z nas wszystkich o „zetce” najwięcej może powiedzieć „Inżynier”.

INŻYNIER: Tak, bo ja przyszedłem do pracy parę lat wcześniej, kiedy tę metodę intensywniej wykorzystywano, więc się napatrzyłem. Ale zanim opowiem, czym była „zetka”, powiedzmy sobie o podstawowym problemie, z którym się borykaliśmy, używając metody gammagraficznej. Polega ona na tym, że z jednej strony przedmiotu umieszcza się kliszę, a z drugiej źródło promieniowania. W przypadku nieprzykręconej kasy pancernej nie sprawiało to szczególnych trudności: można było ją odsunąć od ściany i na plecach kasy umieścić źródło, a przed zamkiem kliszę. Natomiast w przypadku takiego bunkra w amerykańskim konsulacie był kłopot. Nie mogliśmy po prostu przełożyć izotopu na drugą stronę, bo nie mieliśmy tam dostępu. Owszem, teoretycznie można było mocne źródło promieniowania umieścić za bunkrem i pozwolić wiązce przebić się przez tylną ścianę i drzwi, ale szansa, że na takiej fotografii coś się da zobaczyć, była raczej

marna – za duża odległość, za grube ściany. Amerykanie się przed tym dobrze zabezpieczyli, konstrukcja bunkra była przemyślana.

Pan Zenek, weteran wydziału, wpadł na pewien pomysł, a mianowicie, że w futrynie pod drzwiami bunkra w poznańskim konsulacie amerykańskim wywierci się delikatnie dziurę, na wylot. Dostał na to zgodę naczelnika i tak zrobił. Ten otwór był niewidoczny gołym okiem. W środku był gwint i wykonano do niego specjalne korki, którymi kamuflowało się wszystko po skończonej robocie, malując jeszcze precyzyjnie farbą. Przez ten otwór przekładało się do wnętrza bunkra źródło promieniowania. Jak? Izotopy kobaltu, które wykorzystywaliśmy w wydziale, wyglądały jak sześciomilimetrowej długości kawałeczki grafitu z ołówka. Maleństwo, ale moc miało ogromną i to właśnie cała magia promieniowania. Taki izotop, z różnych względów, między innymi czysto praktycznych, zamykało się w malutkiej metalowej kapsułeczce. Pan Zenek wymyślił więc sobie, że tę kapsułkę będzie po prostu nakręcał na pręt – początkowo taki powyginany, i właśnie dlatego metodę nazwano „zetką”, a później w kształcie litery „c”. Ten pręt przepychało się przez otwór na drugą stronę i ustawiało kawałek za zamkiem, a po naszej stronie, przed zamkiem, była klisza. Po jakimś czasie miało się zdjęcie.

TURYSTA: No dobrze, a teraz przeanalizujmy to, co powiedział „Inżynier”, od strony zdrowotnej, BHP i tak dalej. Bardzo dobrze pamiętam i na pewno nigdy nie zapomnę pierwszego razu, jak to zobaczyłem. Najpierw nasz przełożony pan Bohdan, jeszcze w pomieszczeniach wydziału, otworzył pojemnik i po prostu kombinerkami wyciągnął z niego izotop w kapsułce z gwintem, którą nakręcił na pręt.

INŻYNIER: Szkoda Bohdana. Fajny, porządny facet.

TURYSTA: Zrobiło mi się słabo, jak to zobaczyłem. Potem wsunęliśmy ten cały pręt do takiej ołowianej „cegły” i przewieźliśmy do placówki, przy czym akurat wówczas nie był to Poznań, tylko któraś ambasada na Pradze, jeśli dobrze pamiętam – Portugalii. Przy promieniowaniu oczywiście bardzo ważne jest zachowanie bezpiecznej odległości, a my staliśmy wtedy w takim małym pomieszczeniu i nawet nie było gdzie się odsunąć, a twórca tej metody, pan Zenek, przepychał ten izotop przez rurkę elektryczną do wnętrza pomieszczenia, które miało stalowe drzwi z zamkiem szyfrowym, i ustawiał to źródło w taki sposób, żeby klisza się poprawnie naświetliła. I ta metoda była stosowana latami, ale głównie w konsulacie amerykańskim w Poznaniu.



Zabezpieczone zamkiem elektronicznym drzwi prowadzące do przedsionka bunkra w konsulacie USA w Poznaniu.



Drzwi skarbcowe słynnej amerykańskiej firmy Mosler zabezpieczające wejście do bunkra w konsulacie USA w Poznaniu. W futrynie wywiercony był otwór, przez który funkcjonariusze przepychali nakręcony na pręt izotop. To umożliwiło uzyskanie obrazu tarcz zamka szyfrowego. Na drzwiach znajdowała się tabliczka z informacją, że do prześwietlenia potrzeba minimum 20 godzin, tymczasem izotopy używane w Wydziale IX pozwalały na osiągnięcie celu nawet w ciągu półtorej godziny.

INŻYNIER: Pan Zenek wymyślił jeszcze jedną metodę ustalania szyfru z wykorzystaniem pręta, tym razem całkowicie nieszkodliwą. Co oczywiste, większość zamków szyfrowych ma możliwość zmiany ciągu liczb potrzebnych do otwarcia. W tym celu z tyłu zamka wkłada się specjalny klucz do przeszyfrowania. Pan Zenek stwierdził więc, że może przeprowadzić na drugą stronę zamkniętych drzwi pręt z końcówką w kształcie tego klucza i wprowadzić go do otworu.

TURYSTA: Pan Zenek miał rewelacyjne pomysły. Nadal z nami chodził na akcje, mimo że w rzeczywistości był już na emeryturze od jakiegoś czasu. W konsulacie amerykańskim w Poznaniu szczególnie się przydawała ta jego metoda z kluczem do przeszyfrowania, ale nie w drzwiach bunkra, tylko innych. Amerykanie zainstalowali w nich zamek szyfrowy, a poniżej niego znajdował się zamek zamykany na sporej wielkości klucz, taki jak w furtce. Dziurka była więc też dość spora. Pan Zenek przekładał przez nią pręt z końcówką w kształcie klucza do przeszyfrowania tego zamka powyżej i wprowadzał go, gdzie trzeba. Ale niech pan nie myśli, że Amerykanie byli głupi. Wprowadzenie takiego klucza serwisowego nie powoduje przecież automatycznego zresetowania szyfru i otwarcia zamka. Ba, nawet gdyby powodowało, to my też nie bylibyśmy głupi i oczywiście byśmy się do tego nie posunęli, bo rano Amerykanie by przyszli, wprowadzili swoją kombinację, nie zadziałałaby i wszystko by się wydało. Myk był inny.

Przeszyfrowania dokonuje się na zamku otwartym i klucza serwisowego nie da się całkowicie wcisnąć do tej dziurki z tyłu przy zamku zamkniętym. Pan Zenek wsuwał więc klucz tylko minimalnie, tyle, ile mógł, po czym zaczynał kręcić od swojej strony pokrętkiem do ustawiania szyfru. W momencie gdy trafił na odpowiednią liczbę na ostatniej tarczy, czyli pierwszej od tej strony, gdzie wsunął klucz do przeszyfrowania, to czuł, że ten klucz wsunął się minimalnie głębiej. Niestety z kolejnymi tarczami to już była męczarnia, bo musiał za każdym razem wycofywać klucz z tarczy, którą już ustalił. To wynika z konstrukcji zamka szyfrowego. Ustalenie szyfru z wykorzystaniem tej metody było więc piekielnie czasochłonne i możliwe tylko w bardzo sprzyjających warunkach, gdy człowiek miał którądy przełożyć pręt. Do sejfów nie było przecież możliwości włożenia czegoś takiego, a jeśli chodzi o bunkier w Poznaniu – tam, gdzie powstał odpowiedni otwór w futrynie – metoda z kluczem do przeszyfrowania nic by nie dała, bo otwór do wsunięcia takowego od strony wewnętrznej zasłaniała specjalna metalowa płytką. Trzeba było używać metod radiologicznych, tyle że żaden z nas nie palił się do manipulowania izotopem nakręconym na pręt.



Pan Zenon skonstruował specjalny zestaw ułatwiający ustalenie kombinacji przy pomocy pręta stanowiącego jednocześnie klucz do przeszyfrowania. Widoczna

na górnym zdjęciu rączka pozwalała mu wygodnie wkładać i wyjmować go z otworu w tyle zamka, który widoczny jest na dolnej fotografii.

Cały czas pracowaliśmy nad sposobami, żeby chociaż minimalnie ograniczyć dawki, które przyjmowaliśmy. Jednym z pierwszych kroków w tym kierunku było najpierw częściowe, a potem całkowite zaprzestanie pracy ze wspomnianym przeklętym pojemnikiem Berenika i przełożenie do innego pojemnika tego izotopu przystosowanego do nakręcania na pręt. Berenika przez lata przed naszym przyjściem służyła w wydziale właściwie do wszystkiego. Na dobrą sprawę służyła zresztą nie tylko jako pojemnik, ale też urządzenie, z którego bezpośrednio można było puścić wiązkę. Po prostu ustawiano ją w odpowiednim miejscu, przykładowo po jednej stronie kasy, odsłaniano znajdujący się w niej otwór i leciała wiązka. Problem tylko w tym, że nawet jak otwór się zamknęło, to Berenika siała na wszystkie strony. To było zabójstwo, więc jakiś czas po tym, gdy ja i „Brodacz” pojawiliśmy się w wydziale, czyli gdzieś na początku lat osiemdziesiątych, zaszła ważna zmiana. Pojawił się bowiem bardzo dobry, trochę bezpieczniejszy zestaw składający się z trzech elementów: pojemnika, tak zwanego defektoskopu i kolimatora.

Urządzenie	Dawka dopuszczalna wg. PN-76/J-80050	Dawka zmierzona	Krotność przekroczenia
Opakowanie transportowe	200 mR	14.000 mR	70
Pojemnik roboczy na powierzchni	200 mR	70.000 mR	350
Pojemnik roboczy w odległości 50 mm.	50 mR	25.000 mR	500
Pojemnik roboczy w odległości 1 m.	2 mR	220 mR	110

Tabela przedstawia wyniki pomiarów dawek promieniowania, które wykonano przy pojemniku Berenika, wykorzystywanym latami w Wydziale IX. W odległości 50 mm przewidziana prawem norma przekroczona była 500 razy.

BRODACZ: No, to ja opowiem najpierw o pojemniku. Jego zaletą było to, że tłumił promieniowanie o wiele lepiej niż Berenika, a jednocześnie ważył tyle, że we dwie osoby można go było prznosić. Dało się w każdym razie wnieść na piętro. Ten pojemnik nazywaliśmy trójkątem, bo miał trzy gniazda, czyli mogły się tam pomieścić trzy izotopy – czasem tego samego rodzaju, ale o różnej aktywności, czyli mówiąc w uproszczeniu: sile promieniowania.

TURYSTA: Nasza pracownia izotopowa w wydziale miała bramę, przez którą wjeżdżało się autem – nysą albo żukiem – i tam można było bezpośrednio i względnie szybko załadować trójkąt na tył samochodu.

BRODACZ: Na okres przejazdu ładował on w takiej dużej bece, która dodatkowo tłumiła promieniowanie. Ta to już miała wagę konkretną.

TURYSTA: We dwie osoby się ją jakoś podnosiło. Stał, w środku wszystko wyłożone drewnem i potem jeszcze kolejna powłoka metalu. No i w naszych autach były jeszcze wokół tego pojemnika stelaże drewniane, w które wkładało się pięćdziesięciokilogramowe ołowiane płyty.

ŁOWCA: Tylną oś mieliśmy nieraz tak dociążoną, że była nadsterowność. Przednie koła prawie szły do góry.

TURYSTA: Za plecami kierowcy była taka ołowiana płyta, żeby nie biło po plecach. A i tak biło, na urządzeniach do pomiaru było wyraźnie widać. Więc po drodze do takiego Krakowa, Poznania czy w inne zakątki Polski należało się zamieniać. Jeździliśmy zazwyczaj na dwa albo trzy samochody. Z izotopem była tylko jedna osoba, a pozostali jechali jakimiś polonezami albo fiatami. Co jakiś czas się zatrzymywaliśmy i była przesiadka, żeby jeden człowiek nie przyjął zbyt dużej dawki.

LISTONOSZ: Pamiętam, jak któregoś razu żuk złapał nam gumę, w środku lasu. Ciemno było, pozostałe dwa auta stanęły po przeciwnych stronach, żeby oświetlić to popsute koło. Postanowiliśmy na czas wymieniania koła wynieść trójkąt do lasu, żeby źródło było jak najdalej od nas. Po chwili przejeżdża akurat jakiś samochód, kierowca zwalnia, otwiera szybę i tak patrzy na nas. Chłopaki akurat dźwigali już ten pojemnik między drzewa, ale było strasznie ciemno i ten facet nie widział, co oni tam niosą. Nagle jeden z moich kolegów krzyknął: „Dalej od drogi z tym ciałem!”. Nie wiem, czy facet się nabrał, czy nie, ale fakt faktem, że w moment go nie było.



TURYSTA: Po dojechaniu na miejsce wyjmowaliśmy trójkąt z kotła, nie było innego wyjścia. Człowiek musiał go po prostu nieść z kolegą przy sobie.

BRODACZ: No a już na obiekcie w pewnym momencie musieliśmy wyjąć izotop, bo przecież trójkąt był wyłącznie pojemnikiem do przechowywania. Nie było możliwości naświetlania zamka bezpośrednio z niego.

TURYSTA: Tylko jak wyjąć? Przecież jeśli zrobimy to kombinerkami, to wyjdzie na to, że wróciliśmy do punktu wyjścia, czyli takiego samego stopnia narażenia jak przy tym niebezpiecznym pojemniku Berenika i metodzie prętowej zwanej „zetką”. A przecież nie tędy droga.

BRODACZ: Droga prowadziła więc przez gumowo-metalowy wąż. Po prostu przeciągaliśmy przez niego izotop.

TURYSTA: Niech pan sobie wyobrazi łańcuszek złożony nie z ogniw, tylko z koralików, jak przy korku w wannie. W tym trójkącie był mały otwór, kanalik powiedzmy, i w jego wnętrzu właśnie taki łańcuszek, tylko trochę grubszy, o długości około piętnastu centymetrów. Jednym z koralików tego łańcuszka, tym ostatnim, znajdującym się najgłębiej w pojemniku, była właśnie kapsułka z izotopem. Pozostałe koraliki służyły natomiast za korki, które zamykały wylot z pojemnika – tak, żeby z trójkąta wydostawało się jak najmniej promieniowania. Kiedy byliśmy gotowi do pracy, to podchodziliśmy do tego trójkąta, trzymając gumowo-metalowy wąż długości około pięciu metrów. Na jego

końcu było szybkozłącze, czyli taki zatrzask, który podpinało się do pierwszego koralika w trójkącie i rozpoczynało się wyciąganie izotopu do wnętrza węża za ten łańcuszek. Mieliśmy do tego zdalne sterowanie, taką korbę, która pozwalała nam na odsunięcie się na odległość paru metrów, podczas gdy izotop wędrował na drugi koniec węża, gdzie znajdował się drugi element tego zestawu, tak zwany gammarid. Był to defektoskop, czyli urządzenie służące między innymi do wykrywania wad w metalu, chociażby w jakiejś rurze.

Mimo że było to urządzenie produkowane komercyjnie, trzeba było się trochę nagimnastykować, żeby je kupić. Takie rzeczy są regulowane przez międzynarodowe umowy, prawo atomowe i tak dalej, wiadomo. Poza tym my jako kontrwywiad oczywiście nie mogliśmy tego kupić, ale sprawa została załatwiona pod legendą, czyli zakupu dokonała podstawiona firma. O ile dobrze pamiętam, była to Centrala Handlu Zagranicznego „Metronex”, która oczywiście też nie wiedziała, po co i dla kogo to kupuje. Gammarid ważył jakieś dwadzieścia kilogramów – był zrobiony z wysokiej jakości metali w znacznym stopniu tłumiących promieniowanie, miał może z pół metra długości i jakieś czterdzieści centymetrów średnicy. Jak to zobaczyliśmy, to zaczęliśmy żartować, że kształtem przypomina małego prosiaka i tak już zostało – mówiło się „wąż prosiaka” i każdy wiedział, o co chodzi. Mimo że defektoskop służy zasadniczo do prześwietlania różnych rzeczy, nam „prosiak” służył de facto za mobilny pojemnik, wykorzystywany podczas pracy na obiekcie. Miał dwie zalety. Po pierwsze, źródło wciągało się do niego i wyciągało z niego bardzo sprawnie, a po drugie wyposażono go we wskaźnik pokazujący, czy izotop jest w środku i czy podejście do urządzenia jest w miarę bezpieczne. W momencie gdy nasze źródło promieniowania trafiło już z trójkąta

do gammaridu i się tam schowało, odłączaliśmy wąż od trójkąta i podłączaliśmy do trzeciego elementu tego zestawu – kolimatora, czyli narzędzia skupiającego wiązkę promieniowania w tym miejscu, które nas interesowało. W uproszczeniu – była to tuleja z małym otworkiem średnicy milimetra, półtora.

INŻYNIER: Zasada jest prosta i oczywista: im dłuższy i węższy otwór, tym większe skupienie wiązki.

TURYSTA: Tak, kolimatory mieliśmy różne, zależnie od potrzeb, i do tego cały zestaw taśm, obejm i magnesów, które pozwalały nam umieścić ten kolimator w odpowiedniej pozycji, przykładowo na plecach kasy pancерnej albo na ścianie w kolejnym pomieszczeniu – tak, żeby wiązka przechodziła przez oś zamka, przed którą ustawiało się kliszę, gdy stosowaliśmy metodę gammagraficzną. Niestety ani sam kolimator, ani prawa fizyki nie pozwalały na to, aby całe promieniowanie poleciało w to jedno miejsce. To siało na boki. Gdybyśmy chcieli to wszystko zrobić zgodnie z zasadami bezpieczeństwa, to powinniśmy na czas naświetlania pójść sobie w ogóle do domu. A tymczasem my co najwyżej odsuwaliśmy się gdzieś za ścianę, a bywały sytuacje, gdy w ogóle nie mogliśmy nigdzie uciec i staliśmy przez cały czas w takim małym pomieszczeniu. Czasem trzeba było źródło cofnąć do gammaridu, przestawiać, kombinować, jak coś się zacięło. A raz, pamiętam, zacięło się porządnie.

BRODACZ: Byliśmy wtedy na obiekcie razem z „Turystą”. To było u Amerykanów w Krakowie. Przeciągaliśmy źródło z pojemnika do gammaridu i nagle coś się zablokowało. Na tym gammaridzie wskaźnik pokazuje, że źródło nie doszło tam, gdzie trzeba, a my nie wiemy, co się dzieje. Wąż, którym leciał izotop, był zbrojony

metalem i istniała zasada, że nie można go zwijać po mniejszym okręgu niż ileś tam centymetrów, żeby nic się nie zgięło w środku. Jak nam się zacięło to źródło, to zaczęliśmy się obawiać, że jednak ścisnęliśmy go kiedyś za mocno i się zdeformował. No więc co tu zrobić? Stoimy i ruszamy tą naszą korbą w prawo i lewo, mając nadzieję, że się odblokuje. Efekt zerowy. Teoretycznie możemy to wszystko wziąć, włączyć do samochodu i pruć do Warszawy, ale problem w tym, że izotop w węźle to tak naprawdę izotop na wierzchu. Ten wąż nie daje nam żadnej ochrony, a nawet jeśli go ciasno zwiniemy, to w życiu nie zmieści się nam do pojemnika. Będziemy musieli wieźć materiał promieniotwórczy luzem. Zanim to przeniesiemy w rękach, upchniemy w bagażniku, przejedziemy paręset kilometrów do naszego wydziału i tam włożymy do tej naszej dziury, to przyjmujemy takie dawki, że się nam wszystkiego odechce. W samym Krakowie też nie za bardzo mieliśmy gdzie pojechać. Gdzie? Do lasu? I co dalej? Tak więc plan zwinięcia interesu nie wchodził w grę. Postanowiliśmy pogrzebać przy tym węźle i sprawdzić, gdzie ten izotop dokładnie jest, może coś się odblokuje. No więc tak lataliśmy na zmianę – jeden poruszał, potem drugi i tak w kółko. W pewnym momencie dozymetry, czyli takie urządzenia do zliczania przyjętej dawki promieniowania, które mieliśmy ze sobą, dobiły nam do maksimum.

TURYSTA: Tej nocy otrzymaliśmy dawkę dwu- albo trzykrotnie większą niż ludzie pracujący z promieniowaniem w jakichś zakładach mogą według prawa otrzymać w rok. W rok! Radiometr wył takim dźwiękiem jak przy cofaniu ciężarówki, dobrze to pamiętam. No ale naprawdę nie było wyjścia, jak tylko latać i tam grzebać. W końcu doszliśmy do tego, co się stało. Ten izotop zaklinował się nie gdzieś tam w przewodzie, tylko na wlocie do naszego gammaridu. Ta cała wiązka koralików była dłuższa niż

otwór i się nie zmieściła. Czyj błąd? Naszego szefa. Wie pan, nie wymieniamy tu już nazwiska, bo nie chcę obgadywać. Ale jedno trzeba powiedzieć – mieliśmy szefów, którzy wiedzieli, co robią, i mieliśmy takich, którzy przyszli tylko poszefować i nie mieli pojęcia o tej pracy. W tamtym okresie takiego właśnie mieliśmy naczelnika: bez doświadczenia i wiedzy. Co innego ten mężczyzna, który był szefem, w momencie gdy przyszliśmy do wydziału z „Brodaczem”. To był fachowiec. On wywodził się z tego wydziału, znał tę robotę, sam robił to, co my.

BRODACZ: Jedną miał tylko wadę – że kierowca z niego był marny. Gdziekolwiek pojechał, to w coś przypierdzielił. Ale to była postać nie byle jaka. On żył tą robotą placówkową. No i dążył do unowocześnienia, był otwarty na nowe technologie. Szkoda, że odszedł z wydziału. Zaproponowali mu awans, to przyjął – takie życie.

TURYSTA: A po nim zdarzali się właśnie tacy, którzy nie mieli pojęcia o naszych działaniach. Nie chodzili na akcje, nie czuli tego. No i właśnie przyszedł kiedyś taki jeden, a zrobili go naczelnikiem za jakieś tam zasługi w innym wydziale. Uważał, że jak jest szefem, to on będzie decydował. Nie chciał się nas poradzić, sam wybierał pewne elementy do naszego wyposażenia i w pewnym momencie kupił nie to, co trzeba, do tych naszych koralików. Z wiadomym skutkiem. Tak więc ta awaria, my to tak nazywamy, nie była akurat winą samego sprzętu, tylko błędem ludzkim. Sprzęt był dobry, dobrze nam się z nim pracowało. Chociaż moim faworytem pozostaje urządzenie, które skombinował od Rosjan jakiś czas po naszym przyjeździe pan naczelnik – ten, który wiedział, co robi. Nazywało się to ptacha. Mieliśmy takie dwie – jedną z kobaltem, drugą z irydem. To była walizka, którą wносиło się

na obiekt, z niej wyciągało się taki walec z kolimatorem, wieszalo, gdzie trzeba, i już. Oczywiście coś za coś, bo była ona dość lekka i przez to zapewniała mniejszą ochronę przed promieniowaniem niż „trójkąt”, no ale i tak było lepiej niż w przypadku przeklętej bereniki.

INŻYNIER: Tylko z ptachą trzeba było uważać, bo jedna strona to było wyłożone materiałem chłonnym denko, a druga – słabo zabezpieczone wieczko. Jak się niosło w ręce, to oczywiście od strony nogi musiało być denko.

TURYSTA: Mobilność tego urządzenia była właściwie nie do przebiccia.

BRODACZ: O, to ja opowiem historię z Norwegami. Zbieraliśmy się do wejścia do nich do ambasady i w dyżurce był tam taki fajny zameczek Trioving, do którego chcieliśmy zrobić klucz. Wydział operacyjny zwerbował do współpracy Polkę, która w tej dyżurce siedziała. Ona nie miała klucza, tylko Norwedzy jej otwierali, ale stwierdziliśmy, że jeśli ta dziewczyna umożliwi mi jakoś wejście do środka, to wykonam zdjęcie tego zamka, bo zamki kluczowe też się czasem „świeciło”, jak to mieliśmy w zwyczaju mówić. Zostało więc z nią ustalone, że przyjdę w odwiedzinie jako kuzyn ze wsi. Chciałem wnieść ptachę, więc nie mogłem być miejscowy – chodziło o to, żeby nikt się nie dziwił, dlaczego mam tyle tobołów. No więc założyłem kapotę, taką w jodełkę, kiełbasy się kupiło służbowo i poleciałem do tej mojej niby kuzynki. Ptacha siała, więc filmy, które włożyłem sobie do osobnej torby, musiałem obłożyć ołowiem, żeby mi się po drodze nie zaświetliły. Przeszedłem tam, oczywiście nic tej dziewczynie nie tłumaczyłem, tylko kazałem

gdzieś tam sobie pójść na chwilę i wówczas powiesiłem sprzęt i kliszę gdzie trzeba.

TURYSTA: I gównem z tego zdjęcia wyszło.

BRODACZ: No gównem. Było widać akurat nie ten element, który nas interesował.

TURYSTA: Ale i tak sobie w końcu radę daliśmy z tym zamkiem.

BRODACZ: A jakżeby inaczej. Wie pan, kiedy się robiło takie zdjęcie, to nie było przecież podglądu w czasie rzeczywistym. Nieraz człowiek parę zdjęć musiał zrobić, zanim wyszło, jak powinno.

INŻYNIER: Od miliona czynników to zależało: czy wszystko w odpowiedniej pozycji ustawione, czy wystarczająco długo naświetlane, a nawet czy klisza jest taka, jak powinna być. Ruscy mówili mi przykładowo, że walą wszystkie kasy na kliszach firmy Agfa-Geavert. Pamiętam nawet dokładnie model: D7. To był dość drogi produkt, więc poszedłem do naczelnika i mówię, że super, niech im będzie, że D7 jest najlepsza, ale może poprobujemy na trochę tańszych. Szef się zgodził, to zamówiłem różne amerykańskie ilfordy i trochę polskich fotonów. Do wykonywania fotografii zamka klisze umieszczano się w takiej specjalnej kasecie, a że było tam sporo miejsca, to potem, jak robiliśmy sejf, to wkładałem po prostu agfa-geavert D7 z przodu, a z tyłu inne, te tańsze. Różnie wychodziło, człowiek to sobie wszystko przeanalizował i okazało się, że warto do różnych typów kas pancernych i izotopów o różnej aktywności stosować różne klisze, zamiast wszędzie pchać jeden rodzaj, w dodatku najdroższy.

FOTOGRAF: A wie pan, że te klisze nieraz wywoływało się jeszcze na obiekcie? Nam szkoda było marnować wejście na to, żeby sobie odpuścić, pojechać do wydziału, wywołać i wrócić innego dnia. Skoro już weszliśmy, to chcieliśmy załatwić jak najwięcej. Miałem ze sobą w butelkach, takich plastikowych kanisterkach zakręcanych, pojemności mniej więcej dwóch litrów, może półtora, gotowe roztwory. Do tego trzy kuwety takiej wielkości jak ta klisza, której używaliśmy – wszystko, co trzeba. Czasem jeszcze brało się taką ciemnozieloną lub bardzo ciemnoczerwoną żarówkę, którą gdzieś tam wkręcaliśmy, żeby można było sobie coś podejrzeć. Rozstawialiśmy się najchętniej w łazience. Po pierwsze dlatego, że często nie miały w ogóle okien lub tylko jakieś malutkie i łatwe do zasłonięcia i przez to była gwarancja zupełnej ciemności. Po drugie, jak mieli tam jakąś terakotę, to nie musieliśmy się aż tak martwić o zachłapanie czegoś. Jeśli nawet chlapnęło, to starliśmy i po sprawie. A wie pan, bywały obiekty, gdzie w łazience się nie dało i trzeba było przykładowo robić w korytarzu, gdzie na podłodze była wykładzina. Katastrofa. W naszym zestawie obiektowym mieliśmy więc też zawsze takie wielkie arkusze bibuły, które można było sobie podłożyć na czas pracy. W każdym razie, jak koledzy skończyli naświetlać kliszę, to cała kasetą lądowała u mnie. Ja wkładałem kliszę do wywoływacza, który był w jednej kuwecie. W drugiej mieliśmy wodę, chociaż czasem korzystaliśmy po prostu z umywalki, a nawet wanny, żeby to wszystko ładnie spłukać. Potem kolejna kuweta, z utrwalaczem. Po utrwaleniu znowu wypłukanie, suszenie i zdjęcie trafiało do kolegów do analizy. Aha, czasem zdarzało się, że obraz na kliszy był większej gęstości, taki mało kontrastowy, bardzo ciemny i co za tym idzie, mało czytelny. Na to też mieliśmy sposób. Klisza rentgenowska miała emulsję po obu stronach, więc zdrapywaliśmy ją z jednej strony, póki

jeszcze była mokra. Oczywiście robiło się to bardzo ostrożnie, żeby nie powstały zadrapania, które potem by przeszkadzały, ale w każdym razie było to możliwe. Gotowe zdjęcie trafiało na czytnik z matówką, bo mieliśmy taki mały, formatu A4, który zabieraliśmy ze sobą na obiekt.

TURYSTA: Trzeba jednak pamiętać, że nawet kiedy nam już wyszło zdjęcie, które my nazywaliśmy „dobrym”, to przecież nie było tak, że mieliśmy szyfr jak na tacy. Byliśmy naprawdę niezli w te klocki, a przecież i nam zajmowało trochę czasu, żeby z takiej fotografii cokolwiek wychwycić. Przecież promieniowanie leciało przez oś zamka, tarcze były jedna za drugą, wszystko się zlewało, nakładały się różne inne elementy zamka i tak dalej. Kosmos.

BRODACZ: To jest trochę tak jak z badaniem USG. Zwykły człowiek dostrzega tylko jakieś plamy, a lekarz na tym samym obrazie dokładnie wie, gdzie jest który narząd. Jako początkujący niewiele widzieliśmy na tych naszych zdjęciach zamków, ale z czasem się człowiek wyszkolił i wszystko było jasne. Poza tym była w naszym wydziale ostra rywalizacja: kto pierwszy doszedł do właściwego szyfru, ten wygrywał.

TURYSTA: Najlepszy był kolega Czesio. Po naświetleniu kliszy aż chodził w kółko z niecierpliwości i popędzał, żeby wywołać zdjęcie. A kiedy już było wywołane, to pierwszy łapał i pędził podświetlić na czytniku. No i naprawdę był w tym rewelacyjny. Oprócz wiedzy, którą nabywaliśmy z czasem, on miał też jakiś taki autentyczny dar. Lepiej niż my wszyscy widział cienie, szybciej identyfikował te elementy, co trzeba, i zazwyczaj jako pierwszy trafiał na właściwy szyfr.

BRODACZ: Ja i „Turysta” czasem z nim rywalizowaliśmy. Też robiliśmy sobie analizę fotografii, spisywaliśmy swoje typy i nieraz się udało go pokonać. A on ambitny człowiek był i za każdym razem mocno tę naszą wygraną przeżywał. Nie ukrywam, że miałem satysfakcję, jak Czesia udało się zostawić w blokach startowych. Ale to było bardzo zdrowe współzawodnictwo, które polepszało wyniki wydziału. Czesia szkoda, dobry był z niego chłopak i dobry kolega.



TURYSTA: Metoda gammagraficzna, czyli ta z kliszą, w niektórych miejscach zupełnie nie zdawała egzaminu. Przede wszystkim ze względu na te stosowane od pewnego momentu plastikowe tarcze, które przepuszczają promieniowanie i na zdjęciu ich po prostu nie widać. Poza tym bawienie się w metodę z kliszą nie miało sensu, gdy nie mogliśmy znaleźć sensownego miejsca na ulokowanie izotopu. Weźmy za przykład sejf wmurowany w grubą ścianę, za nią jest jeszcze jakieś pomieszczenie, my do niego nie mamy dostępu, potem kolejna ściana i dopiero pokój, do którego udało nam się dostać. Jest to więc najbliższe plecom sejfu miejsce, w którym możemy się ustawić z naszym izotopem w kolimatorze. Jeśli z tego pomieszczenia puścimy wiązkę w kierunku sejfu, to po przeleceniu przez te wszystkie mury promieniowanie może być zbyt słabe, by podczas kilku krótkich godzin, którymi dysponuje się podczas akcji, zrobić zadowalającej jakości zdjęcie zamka. Ktoś mógłby więc powiedzieć, że wystarczy wziąć silniejszy izotop i będzie po kłopotach. Ale przecież już to, co mieliśmy, rujnowało nam zdrowie, więc proszę sobie wyobrazić,

co by było, gdybyśmy natykając się na coraz grubsze mury, brali coraz mocniejsze źródła promieniowania. To nie wchodziło w grę.

Z pomocą nie po raz pierwszy przyszli fachowcy rosyjscy. Nasi poprzednicy, nie mam pewności, ile lat wcześniej, zaczęli w ogóle wykorzystywać promieniowanie do otwierania zamków dlatego, że nauczyli się tego od KGB. Czy mamy mieć z tego powodu kompleksy? Nie, bo Rosjanie nie prowadzili nas za rękę. Owszem, przyjeżdżali do nas co jakiś czas, prezentowali swoje nowe pomysły i sprzęt, niejednokrotnie coś nam też dawali. Ale nie siedzieli u nas non stop. Dawali nam podstawową wiedzę, a my sami ją sobie uzupełnialiśmy i nawet projektowaliśmy wiele urządzeń do tych metod izotopowych. To często były urządzenia, które Rosjanie mieli i pewnie mogliby nam sprzedać, ale my nawet ich o to nie prosiliśmy, bo dążyliśmy do usamodzielnienia. Sami udoskonalaliśmy metody, sami załatwialiśmy sobie od pewnego momentu izotopy i sami przeprowadzaliśmy większość akcji.

BRODACZ: Ba, przyszedł taki moment, że nawet jak oni chcieli gdzieś z nami iść, to pisało się, że wejścia w ogóle nie będzie, bo „nie ma możliwości operacyjnych”. Wciskaliśmy im taką bajeczkę, a naprawdę wchodziliśmy sami.

TURYSTA: Ale kiedy faktycznie pojawiał się jakiś problem do rozwiązania, to zawsze my, a mówiąc ściślej, nasze kierownictwo, mieliśmy do Rosjan telefon. Oni chcieli opowiadać, a my bardzo chętnie przygarnialiśmy ich wiedzę. Zresztą bardzo dobrze wspominam tę współpracę, tak samo jak i kontakty z Amerykanami po 1990 roku, bo przecież cała nasza służba miała już wówczas z nimi bliską relację. Tyle że nie mogę powiedzieć, na czym polegała moja praca po 1990 roku i po co się widywałem z Amerykanami.

BRODACZ: Dla Amerykanów nie ma takiego pojęcia jak stały wróg. Są interesy. Trzeba podsłuchać Angelę Merkel? To będą podsłuchiwać. Dla nich nie miało po dziewięćdziesiątym roku znaczenia, czy my u nich coś dłubaliśmy, czy nie. Ważne było, że mogą wynieść coś pozytywnego ze współpracy z nami. Też dobrze wspominam te kontakty.

TURYSTA: No ale wróćmy do PRL i naszej współpracy z Rosjanami. Problemem, przy którym na pewno potrzebowaliśmy pomocy Rosjan, było otwarcie drzwi bunkra w konsulacie amerykańskim w Krakowie. Z Poznaniem radziliśmy sobie zawsze sami, ale w Krakowie KGB musiało nam pomagać z ustaleniem szyfru. Tam były po prostu wyjątkowo grube mury, które tłumili promieniowanie. Kiedy już mieliśmy kombinację, to wchodziliśmy sami aż do momentu jej zmiany. Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych zaczęliśmy w Krakowie kombinować coś zupełnie na własną rękę. O absolutnie pierwszym wejściu do krakowskiego bunkra może panu więcej opowiedzieć „Inżynier”, bo mnie wówczas nie było jeszcze w wydziale.

INŻYNIER: Tak, bo mówimy tu jeszcze o latach siedemdziesiątych. Przyjechał do nas oficer KGB, najlepszy specjalista od tych metod izotopowych w całym Układzie Warszawskim. Na imię miał Lonia. Jak Rusczy przyjeżdżali do Polski, czy to w latach siedemdziesiątych, czy osiemdziesiątych, to zawsze był on, więc każdy z nas go dobrze zna.

TURYSTA: Tylko ja nie mam pewności, czy on się naprawdę nazywał Lonia. Tak się przedstawiał i pamiętam też nazwisko, które podawał. Ale równie dobrze mógł się nazywać zupełnie inaczej.

BRODACZ: Lońka był dobry zawodnik, fachura. Wie pan, telewizja wciąż utrwała w nas stereotypowy obraz głupich Rosjan, a ja ponad trzydzieści lat temu widziałem u nich urządzenia, które ze znacznej odległości potrafiły wykryć, co ktoś dłubie przy jakimś Atari. Tak, to prawda, że niektóre rzeczy produkują toporne. Ale to wszystko działa – tak jak chociażby nasz kombajn. Amerykanie, bardzo mądrze, wcale nie lekceważą Rosjan, mimo że czasem mogą sprawiać takie wrażenie.

ŁOWCA: Lonia miał doświadczenie, niewątpliwie. Jak go poznałem w latach osiemdziesiątych, to miał tak na oko trochę ponad pięćdziesiąt lat. Nam wtedy wydawał się starszym.

BRODACZ: Według mnie on wówczas miał nawet ponad sześćdziesiąt. Dziś miałby grubo ponad dziewięćdziesiąt, prawie setkę.

ŁOWCA: Już nie żyje na pewno. Przecież ile on dawek tego promieniowania przyjął!

BRODACZ: Kto to wie, syberyjski chłopak, może gdzieś tam siedzi zakonserwowany! Lubilem go.

TURYSTA: Wiedzę miał niesamowitą, swoje lata też i mimo że mógł siedzieć i tylko wydawać rozkazy, to wszędzie rwał się do roboty – nosił, ustawiał, wkręcał, wykręcał.

INŻYNIER: Lubiliśmy go, chociaż on był straszliwie poważny. Grupa nieraz świętowała, była wódka, wszyscy popijali, a on siedział z tyłu z założonymi rękami i obserwował, sięgając tylko nieraz po szklankę z wodą mineralną albo po jakąś kawę. Pamiętam, jak raz byliśmy na obiekcie i staliśmy w jednym

z gabinetów: ja, on i jakiś tam jego młodszy pomocnik, którego przywiózł ze swoich stron. Trzeba było podłączyć zasilacz do któregoś urządzenia i ten młodszy Rosjanin wziął i podłączył go źle. Urządzenie pierdyknęło, poszedł dym i nigdy nie zapomnę miny, którą Lonia zrobił, patrząc na tego swojego człowieka. Normalnie chłopakowi krew z twarzy odpłynęła.

BRODACZ: Któregoś razu jesteśmy w Krakowie z Lońką i jakimiś jego ludźmi. Lońka mówi, że chce po sklepach z futrami połązić. No więc idziemy do jednego, do drugiego, do trzeciego i tak żeśmy dosłownie z dziesięć odwiedzili. Przed nami robota nocna, a nam już nogi odpadają, bo żeśmy całe miasto zesзли. Jakby tego było mało – Lońka cholernik nic nie kupił, nic mu się nie podobało. Wróciliśmy do hotelu, więc poszedłem się położyć, zebrać trochę sił na akcję. Nawet zmrużyć jednego oka nie zdążyłem, a już słyszę pukanie. Otwieram – Lońka. Pół godziny dosłownie zostało do wyjazdu na robotę, a on mówi, że idziemy do tego i tego sklepu po futro. On sobie po prostu wypatrzył takie, co to kupi u nas i sprzeda u siebie drożej, tylko nie chciał w obecności tych pozostałych oficerów KGB kupować!



INŻYNIER: No więc gdy Lonia przyjechał wtedy, gdzieś w latach siedemdziesiątych, rozwiązać problem Krakowa, to przywiózł ze sobą dwie ważne rzeczy. Pierwszą był strasznie mocny izotop kobaltu, jeszcze o wiele mocniejszy niż te, których my używaliśmy. Drugą była zrobiona przez nich specjalna sonda scyntylicyjna – bardzo precyzyjne urządzenie do pomiaru ilości cząstek emitowanych przez ten izotop. Wyglądała nieco inaczej niż takie zwykłe, a mianowicie jak komputer, z ciekłokrystalicznym

wyświetlaczem. Ważyło to strasznie dużo, trzeba było na spoleńić. Właśnie tego dnia poznałem wymyśloną przez KGB metodę odczytywania szyfru zwaną gammametryczną, o której już wspominał krótko „Turysta”. Przed zamkiem ustawiliśmy „bombę” w kolimatorze, wiązka przechodziła przez miejsce, w którym powinien pojawić się ten poszukiwany przez nas prześwit w tarczach, i lądowała w mieszkaniu znajdującym się poza konsulem. Tam byli ustawieni z sondą koledzy, którzy wyłapywali wiązkę. My kręciliśmy zamkiem, a tamci czekali, kiedy pomiar na sondzie skoczy do góry.

TURYSTA: Ale niestety skok odczytu sondy scyntylicyjnej nie musiał wcale oznaczać od razu, że zlokalizowaliśmy wycięcie w jednej z tarcz. Proszę pamiętać, że w zamku są różne elementy, które się ruszają, więc uzyskane wyniki trzeba było dopiero przeanalizować. To wszystko trwało też dość długo, bo odczyt nie skakał tak od razu, tylko z pewnym opóźnieniem. Obracaliśmy więc pokrętko zwykle o dwie podziałki, czyli o dwa numery, po czym następowała przerwa, powiedzmy: sto sekund. Tyle trzeba było, żeby stwierdzić, czy wahnięcie odczytu nie jest przypadkowe.

Czemu obracaliśmy o dwie podziałki, a nie jedną? Bo to wycięcie zajmowało relatywnie dużą część obwodu tarczy, więc nasza cieniutka wiązka promieniowania mogła przechodzić przez otwór zarówno na ustawieniu 5, jak i 7. Element, który musiał wpaść w tę szczelinę, aby zamek się otworzył, był oczywiście tylko minimalnie węższy niż szczelina, więc szyfr trzeba było znać dokładnie, co do jednej podziałki, natomiast przy pracy z sondą wystarczyło nam obracanie o dwie podziałki. Kiedy odnotowaliśmy skok odczytu, to oznaczało, że gdzieś w okolicy zapewne znajduje się właściwa liczba. Dzięki temu oszczędzaliśmy cenny czas. Wszystkie uzyskane wyniki się zapisywało, robiło wykresy na papierze

milimetrowym i finalnie powstawała krótka lista typowanych kombinacji. „Inżynier” był z Rosjanami przy pierwszym użyciu tej metody, ale potem, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, wykorzystywaliśmy ją już samodzielnie – przede wszystkim tam, gdzie lokalizacja zamka lub plastikowe tarcze nie pozwalały na zrobienie zdjęcia. W tym drugim przypadku najlepiej było użyć nie kobaltu, tylko irydu, który miał nieco mniejszą przenikliwość.

W gammametrii bardzo dużo zrobiliśmy na własną rękę, mieliśmy mnóstwo swoich urządzeń, a nie od KGB. Chcieliśmy tę metodę opanować jak najlepiej, więc na Politechnice Łódzkiej zleciliśmy jej analizę. Oczywiście nie wspominaliśmy o zamkach szyfrowych, powiedzieliśmy, że chodzi o badanie uszkodzeń w metalu. W Akademii Górniczo-Hutniczej poprosiliśmy o złożenie różnych sond scyntylicyjnych. W Polonie, takim zjednoczeniu zajmującym się między innymi produkcją urządzeń pomiarowych, zamówiłem osobiście jeszcze inne sondy, zasilacze, liczniki – bardzo nowoczesny i bardzo czuły układ. Nie mogliśmy powiedzieć wprost, o co chodzi, więc pracujący tam inżynierowie dowiadawali się od nas, że potrzebujemy zbadać niejednorodny materiał umiejscowiony za niejednorodną przeszkodą i że w różnych miejscach badanego przedmiotu znajdują się przestrzenie powietrzne. Do tego był jeszcze odbiornik zliczający dane z sondy. Miał wielkość dużego pudełka na buty, bardzo ciężki, z różnymi wyświetlaczami. Polon dostarczył nam też na dyskietkach oprogramowanie, które wgrywaliśmy na ten odbiornik przy użyciu komputera.

Warszawa, dnia 23 lipca 1981 r. 15

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

Egz. nr 1

I N F O R M A C J A

Wydział I Departamentu II MSW realizował w bieżącym roku działania specjalne w obiektach krypt. "ARETE" i "AJAS". Do 23 lipca br. zrealizowano łącznie w obydwu obiektach 32 przedsięwzięcia specjalne, w wyniku których uzyskano 3.120 str. dokumentów klasyfikowanych o wartości politycznej i operacyjnej. W zdecydowanej większości były to dokumenty tajne i poufne /około 2.300 str./. Większość tych przedsięwzięć przeprowadzono w obiekcie krypt. "ARETE" /25/.

W roku 1980 w obydwu obiektach zrealizowano 57 przedsięwzięć specjalnych uzyskując 5.180 str. dokumentów klasyfikowanych, w tym 3.520 str. dokumentów tajnych i poufnych. Większość działań zrealizowano w obiekcie krypt. "ARETE" /45/.

Spośród zdobytych dokumentów na szczególną uwagę zasługują:

- nowe bloczki szyfrowe do specjalnej łączności obydwu obiektów z Departamentem Stanu /na wypadek sytuacji nadzwyczajnej/;
- informacje dot. zainteresowań wywiadowczych USA, w tym również plan działań wywiadowczych rezydentury placówkowej związany z aktualną sytuacją wewnętrzną w Polsce;
- opracowania Departamentu Stanu i ambasady USA w Warszawie dot. celów i zadań polityki USA w Polsce;

Przez pierwsze siedem miesięcy 1981 roku grupa obiektowa Wydziału IX odwiedziła konsulat USA w Poznaniu („Arete”) oraz konsulat USA w Krakowie

(„Ajas”) ponad 30 razy. W roku poprzednim przeprowadzono łącznie prawie 60 takich akcji. Pismo sporządzono w Wydziale I Departamentu II zajmującym się zwalczaniem działalności amerykańskich służb specjalnych.

- dwieście kilkadziesiąt kompleksowych opracowań ambasady USA dot. sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej w Polsce oraz działalności wrogich grup opozycyjnych;
- opinie i wytyczne Departamentu Stanu dot. kierunków polityki amerykańskiej wobec Polski i innych krajów socjalistycznych;
- notatki z rozmów przeprowadzonych przez dyplomatów USA z obywatelami polskimi - w większości tzw. źródła chronione - dot. najważniejszych wydarzeń w sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej.

W latach 1980/81 w przeciwieństwie do lat poprzednich przedsięwzięcia specjalne realizowano w szczególnie trudnych warunkach operacyjnych - prawie zawsze podczas obecności figurantów zamieszkujących w obiektach. Mimo tych trudności we wszystkich przypadkach zapewniono całkowitą konspirację działań. Na podkreślenie zasługuje również fakt, że przedstawione wyżej dokumenty zdobywano dosłownie na bieżąco, często następnego dnia po nadejściu poczty kurierskiej.

We wspomnianym okresie miało miejsce stałe doskonalenie przez przeciwnika zabezpieczenia technicznego obiektów. Napotykanne przeszkody jak i rutynowe zmiany kombinacje szyfrowe były szybko pokonywane w przeważającej części własnymi siłami /np. obiekt krypt. "ARETE".

NACZELNIK WYDZ. I DEF. II MSW

/ PLK ZB. TWARD /

Autor pisma zwraca uwagę na to, że działania prowadzono podczas obecności zamieszkujących placówkę Amerykanów. Ostatnie zdanie dokumentu odnosi się

do ustalania szyfru w drzwiach bunkra w konsulacie USA w Poznaniu przy użyciu metody prętowej, bez pomocy KGB.

Co prawda metoda z kliszą towarzyszyła nam cały czas, bo w wielu miejscach było nam wygodniej ją zastosować, ale właśnie w gammametrii rozwijaliśmy się najintensywniej. Wie pan, ja widziałem w tej metodzie szansę na polepszenie naszych warunków pracy. Chciałem zwiększać nasze możliwości nie poprzez zakup coraz mocniejszych izotopów, ale poprzez budowę coraz czulszych sond scyntylicyjnych. Niestety, jeden z moich szefów nie przy wszystkich obiektach podzielał ten pogląd. Problemem pozostawały grube mury konsulatu USA w Krakowie, gdzie potrzebowaliśmy pomocy Rosjan. Ja myślałem o jakichś supersondach, które wyłapią wiązkę z izotopu o rozsądnej aktywności, natomiast mój szef, człowiek mający zerowe doświadczenie w tych wejściach, wywierał presję, aby po prostu zakupić strasznie mocny izotop – taki, jak mieli Rosjanie. My nie mieliśmy do tego pojemnika, więc został takowy skonstruowany dla nas, też w Polonie. Żeby go wykonać, zespół zatrudniony do tego zadania musiał opanować nową technologię. Pojemnik został zrobiony z uranu, a był to materiał, którego obróbka wymagała nowych, niewdrożonych w tym zakładzie metod. Wyposażono go ponadto w mechaniczne sterowanie pozwalające naprowadzić izotop na otwór, na którym mocowano kolimatory na czas wykonywania ekspozycji. Zaprojektowano również statyw, który umożliwiał ustawianie pojemnika w różnych płaszczyznach. Cały zestaw był strasznie ciężki, więc używaliśmy go tylko sporadycznie.

ŁOWCA: Ten izotop, który wykorzystywaliśmy z Rosjanami w Krakowie, był silny jak diabli. Pamiętam dokładnie: od źródła

promieniowania do sondy w tym mieszkaniu poza konsulem była odległość siedemnastu metrów. A Lońka z tym materiałem latał normalnym samolotem rejsowym: Aerofłotem z Moskwy do Warszawy. Miał pojemnik wyglądający jak walizka i brał go normalnie jako bagaż podręczny. Leciał, a to waliło. Pamiętam, jak kiedyś na lotnisku wyszedł z tą walizką do nas i postawił ją obok siebie, żeby się przywitać. Po Okęciu kręcili się wówczas tragarze, którzy na głowie stawali, żeby im tylko przyjezdni pozwolili bagaż ponieść. No i pamiętam, że jeden z tych chłopaków podbiegł, złapał za tę walizkę i po prostu został w miejscu, bo ona nawet nie drgnęła – taka była ciężka. Gabarytowo wyglądała na zwykłą, ale miała powzmocniane te rączki i ważyła parędziesiąt kilogramów, bo w środku był pojemnik z „bombą”

INŻYNIER: Jak przyszedłem do wydziału w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, to krążyła tam taka historia, że w Warszawie, w jednym z instytutów podległych państwu NATO, stoi taka kasa, której jeszcze nikomu nie udało się otworzyć. No i faktycznie, plotka okazała się prawdą. Problem polegał na tym, że przy zamku była założona gruba kasetka wypełniona śrutem, a to utrudniało prześwietlenie. No więc gdy przyjechał do nas Lońka z tą „bombą”, to spytałem go, czy mi na trochę nie pożyczy tego izotopu. Powiedział, żebym sobie go brał, jeśli chcę. Razem z naczelnikiem pojechaliśmy więc do tego instytutu, powiesiłem izotop za tą kasą, a z przodu kliszę, stanąłem przed zamkiem i mierzę radiometrem, jak wygląda sytuacja. Na to naczelnik, który stał za sejfem, mówi do mnie, żebym się natychmiast odsunął, bo tak mi wali po jajach, że już na pewno nie będę miał dzieci. Poszedłem więc z tym radiometrem za kolimator, mierzę i okazuje się, że to właśnie tam, po stronie, po której stał naczelnik, promieniowanie było największe. No więc widzi pan, jaka potężna

była taka kasa. Ale i tak nie oparła się „bombie” Lońki, bo otworzyłem ten zamek wtedy bez problemu. Izotop był tak silny, że jak Rusczy z nim lądowali na Okęciu, to w Szwecji pewnie podnoszono już alarm, że był jakiś wybuch jądrowy w tej części Europy.

My Rosjanom też czasem pomagaliśmy. Któregoś razu powiedzieli nam, że mają problem z dostaniem się do kodów używanych przez Meksykanów w Moskwie. Kniha z tymi samymi kodami znajdowała się też w Warszawie, więc spytali, czy bylibyśmy w stanie wykonać dla nich jej zdjęcie. Zgodziliśmy się. Przygotowania poszły gładko, nie był to obiekt trudny, angielską kasę pancerną, która tam stała, też otworzyliśmy bez problemu. Potem pojawił się jednak kłopot, bo ta kniga była taka wielka, że nijak nie mieściła się nam na kombajnie. Nie mieliśmy czasu ani warunków, żeby kopiować ją inaczej, więc stwierdziliśmy, że przez dzień coś wymyślimy, a następnej nocy zjawimy się w ambasadzie przygotowani. Rano wyruszyłem na rajd po księgarniach, nakupowałem starych ruskich albumów dużego formatu, wróciłem do nas do wydziału i z kolegami cały dzień ćwiczyliśmy przesuwanie takiej dużej książki po kombajnie tak, żeby to miało ręce i nogi. Tym razem poszło już jak z płatką.



BRODACZ: Jak wspominaliśmy, metoda gammametryczna wymagała kręcenia zamkiem. Nikt raczej nie chciał stać obok izotopu i obracać pokrętła, bo przecież to oznaczało przyjęcie gigantycznych dawek. Dlatego na nasze zamówienie powstał silnik krokowy z zespołem kół zębatach i zdalnym sterowaniem, który to obracał ten zamek sam o konkretną wartość, podczas gdy my

mogliśmy stać w pewnej odległości. Niestety nie wszystkie zamki współpracowały z tym cudem.

TURYSTA: U Szwedów w drzwiach do bunkra nie było żadnej możliwości, żeby z tego skorzystać. Oni tam mieli zamek szyfrowy, który nie dość, że wymagał włożenia klucza przed rozpoczęciem ustawiania kombinacji, to jeszcze nie był to taki zwykły zamek, w którym wykonywało się obroty na prawo i lewo. Tam trzeba było kręcić, wciskać, różne manewry wykonywać, których ten nasz silnik nie potrafił. U Hiszpanów też był taki jeden zamek, przy którym trzeba było stać podczas ustalania szyfru. Więc widzi pan, z jednej strony metoda gammametryczna dawała jakąś nadzieję na polepszenie naszej sytuacji, bo używaliśmy źródła o mniejszej przenikliwości niż przy gammagrafii, a z drugiej strony były takie chwile, w których wymuszała na nas zachowania nawet bardziej ryzykowne niż przy metodzie gammagraficznej.



Szwedzi najważniejsze pomieszczenie swojej placówki zabezpieczyli drzwiami skarbcowymi wyposażonymi w zamek szyfrowy, którego pokrętko blokował dodatkowo mechanizm uzależniony od znajdującego się poniżej zamka kluczowego. Szyfr ustalano przy pomocy metody gammametrycznej, natomiast blokadę zwalniano przy użyciu dorobionego klucza. W bunkrze poza tajnymi dokumentami znaleźć można było m.in. klucze do wszystkich pomieszczeń placówki oraz rezydencji dyplomatów. Dolna prawa fotografia przedstawia punkt szyfrowy ambasady.

BRODACZ: Musieliśmy przy tym szwedzkim zamku robić zmiany. Najpierw jeden kręcił, potem drugi, potem trzeci i od nowa – tak, żeby jak najmniejsze dawki nałapać.

TURYSTA: A paręnaście metrów dalej promieniowanie wyłapywała sonda ustawiona przez nas w kuchni mieszkania ambasadora, który wyjechał na wakacje. Akurat tam nam pasowało.



INŻYNIER: Nie powiem, to fajnie uczucie, kiedy w końcu się uda. Pamiętam, jak po raz pierwszy weszliśmy do bunkra u Amerykanów w Krakowie. Ten dzień był przyjemny zwłaszcza dla mnie, bo to ja podałem właściwy szyfr. Kiedy koledzy robili analizę odczytów z sondy, to ja zapisałem sobie na karteczce mój typ, inny od tej głównej listy stworzonej przez grupę. Nie chciałem się wygłupić, wychodząc przed szereg, więc na początku siedziałem cicho. Stanęliśmy z Lońką przed zamkiem i zaczęliśmy sprawdzać, czy któraś z kombinacji z listy jest poprawna. Pan musi zrozumieć – to była ważna chwila. Mieliśmy przed sobą bardzo istotne dla naszych działań pomieszczenie, Rosjanie testowali nową technologię, była w to zaangażowana cała rzesza ludzi. Ja dyktowałem Loni liczby z listy, a on kręcił. Doszliśmy do ostatniego, on spróbował i co? Pudło. Mówi więc do mnie, żebym powiedział przez radio, że na tę noc to już koniec i się zwijamy. Minę oczywiście ma przy tym średnią. Na to ja mówię, że jeszcze moment, wyciągam z kieszeni karteczkę i dyktuję mu moją kombinację. On kręci, ja mam wrażenie, że czas się zatrzymał w miejscu, i nagle słyszę „trach”. Zamek otwarty. Proszę pana, Lonia, największy sztywniak Układu Warszawskiego, podskoczył i mnie wyczałował. Do końca życia nie zapomnę jego miny, taki był szczęśliwy. Potem zawsze, ale to zawsze, przyjeżdżając do Polski, zaznaczał, że chce, abym przy akcjach ja był obecny.

To była wielka chwila, gdy po raz pierwszy uchyliliśmy drzwi bunkra. Z kolegami byliśmy bardzo podekscytowani, więc ostrożnie, ale jednak dość energicznym krokiem wkroczyliśmy do środka. Jako jedyny zatrzymał się w progu właśnie nasz towarzysz radziecki, jak to się mówiło. Patrzymy, a Lońka stoi w drzwiach, trzyma palec

wskazujący w górze i w sumie dość spokojnym głosem mówi: „*Wot szciotczik!*”, „*A tu jest licznik!*”. My spojrzeliśmy na framugę i zamarliśmy. Przykręcone było tam takie małe urządzonek z dźwigienką, zliczające otwarcia drzwi. Wewnątrz wisiała lista, na którą wpisywali się wchodzący tam pracownicy. Przy każdym nazwisku widniał oczywiście stan licznika. Co zrobić? Amerykanie doskonale się zabezpieczyli przed wszelkimi próbami cofania odczytu. Ten licznik był zatopiony w żywicy, wystawała tylko ta dźwigienka, która powodowała przy ruchu drzwiami zmianę liczby. Jednym słowem – był on nierozbieralny. Jakby tego było mało, Amerykanie dobrze pomyśleli, co zrobić, żeby ktoś nie mógł po prostu kupić sobie takiego samego modelu, zalać go żywicą i podmienić. Mianowicie w środku w tej żywicy widoczne były takie różnokolorowe wstążki, paseczki, farbki powpuszczane w ten interes podczas procesu zalewania. Zrobione to zostało oczywiście losowo, rzecz nie do odtworzenia. Na koniec Amerykanie sobie to na pewno bardzo dokładnie obfotografowali i potem co jakiś czas mogli porównywać licznik ze zdjęciami, żeby sprawdzić, czy nie jest podrobiony. Pomysł – genialny.



Do futryny drzwi bunkra w konsulacie USA w Krakowie Amerykanie przykręcili licznik otwarcia – widoczny w lewym górnym rogu (fot. u góry). Na tyle drzwi (po prawej) widoczna jest tabliczka z informacją, że producent gwarantuje 20 godzin odporności na próby ustalenia szyfru metodami radiologicznymi – podobnie jak w przypadku bunkra w Poznaniu. Zdjęcia poniżej przedstawiają wnętrze pomieszczenia. Najważniejsze dokumenty znajdowały się w kartotekowym sejfie, którego szuflady zabezpieczone były kolejnym zamkiem szyfrowym.

Zaczęliśmy się zastanawiać, co zrobić. Oczywiście takim licznikiem można było teoretycznie przelecieć przez cały zakres i zatrzymać na poprzedniej liczbie, ale tam było tyle cyfr, ten zakres był tak duży, że potrzebny byłby silnik – człowiek to by nie dał rady tak nastukać w jedną noc. Poza tym istniała naprawdę duża szansa, że licznik po tylu setkach tysięcy naciśnieć po prostu się popsuje, a nawet jeśli nie, to w środku mogą się odłożyć jakieś opiłki wynikające ze zużycia. Wówczas jeśli Amerykanom przyjdzie do głowy sprawdzić, czy aby na pewno licznik nie jest przekreślony, to po zajrzeniu do środka zauważą, że coś jest nie tak. Przy pierwszym wejściu po prostu zostawiliśmy zarówno licznik, jak i listę z nazwiskami w spokoju – nie mieliśmy innej możliwości. Ale zrobienie takiego numeru nie oznaczało, że od razu będzie alarm i afera. Jeśli ktoś tam w ogóle zauważył, że coś się nie zgadza, a różnie to bywa w życiu, to najpewniej pomyślał, że on sam albo kolega się pomylił i nie zapisał albo drzwiami dwa razy trzasnął, i dlatego wskazanie licznika jest inne niż zapisane na kartce. To jest samo życie i pracownicy, widząc coś takiego, nieraz właśnie nic nie robią, bo się boją, że będą mieli problemy u przełożonego. Problemem byłoby natomiast, gdyby taka sytuacja się powtarzała.

BRODACZ: Zanim znalazło się inne rozwiązanie, a znalazło się dopiero jakiś czas później, już po tym jak ja przyszedłem do Wydziału IX, problem tej listy rozwiązywał nasz kolega z Departamentu Techniki MSW. Ten człowiek potrafił podrobić każdy podpis.

ŁOWCA: To był wrodzony talent. On nawet jakoś zbyt nie przy tym nie spinał, po prostu patrzył sekundę na oryginalny podpis i zaraz na kartce obok przepisywał identycznie. Niesamowite.

BRODACZ: No więc przychodził z nami na obiekt, rozsiadał się przy biurku, miał ze sobą z pięćdziesiąt różnych długopisów i przepisywał ostatnie dwie strony listy, robiąc odpowiednie, jak to ładnie ująć, modyfikacje.

TURYSTA: Ale oczywiście było to tylko rozwiązanie tymczasowe. Po pierwsze, przy głębszej analizie ktoś mógł się dopatrzeć nieprawidłowości. Po drugie, ci ludzie podpisywali się różnymi długopisami. Trudno było tyle różnych atramentów zbadać i określić, czy któryś z nich nie jest wyjątkowy. A co, jeśli ktoś miał atrament o jakichś nietypowych właściwościach i co pewien czas wpisy analizowano pod tym kątem? Każda placówka ochronę punktu szyfrowego traktowała bardzo, bardzo poważnie i istniała obawa, że mogą się zabezpieczać nawet w taki sposób.

INŻYNIER: Już wtedy, przy pierwszym wejściu, licznik został odkręcony od framugi, dokładnie obejrzany i sfotografowany. Osobiście go pomierzyłem, zrobiłem dokładne rysunki. Tę politechnikę jednak skończyłem, co nieco o rysowaniu wiem i nawet odwzorowałem te wszystkie kolorowe paski w środku. Muszę jednak przyznać, że żaden z nas nie sądził wówczas, że to jest możliwe do podrobienia. Niby nie było dla nas rzeczy niemożliwych, cuda robiliśmy, no ale przez dłuższy czas wydawało nam się, że to jest już granica. Jeszcze raz powtarzam – mówimy tu o jakichś paseczkach i farbkach, które zostały na chybił trafił wpuszczone w żywicę! Ale my, jak to my – zabraliśmy się do roboty. Do pracy nad próbami podrobienia tego licznika wyznaczony został kolega, który od teraz zajmował się wyłącznie tym.

TURYSTA: Zakupiono za granicą takie same liczniki, to akurat nie był wielki problem. Tylko teraz jak to zalać i otrzymać dokładnie takie same wzorki w środku? Nasz kolega Zbyszek siedział sobie w osobnym pokoju i walczył. W końcu się udało, zrobił to w wodnej pompie próżniowej.

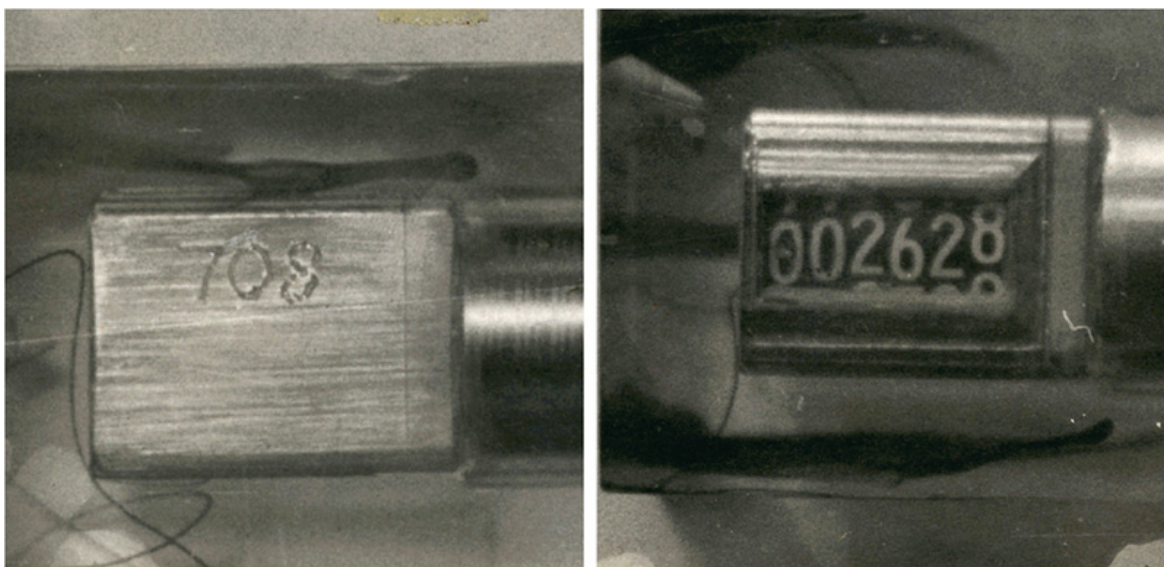
BRODACZ: Odwzorował te wszystkie nitki i póki to nie zastygło, trzymał całość w tej pompie, żeby się nie przesunęło i żeby pęcherzyki powietrza tam się nie pozatrzymywały. No i udało się. To, co powstało, było dziełem sztuki. Naprawdę, nie da się tego inaczej określić.

INŻYNIER: Podczas tych prac, a trwały one bardzo długo, przychodził do nas taki generał, a może wówczas jeszcze pułkownik, Stanisław Groniecki, z kierownictwa kontrwywiadu. Pamiętam jak dziś: mówił, że prędzej mu kaktus na dłoni wyrośnie, niż ktokolwiek da radę podrobić taki licznik. Kiedy już był gotowy, to pamiętam, że do niego podchodziliśmy i prosiliśmy, żeby pokazał rękę. Byliśmy dużo niżsi rangą od niego, ale nie było problemu z takim żartem – też był szczęśliwy, że się udało.

TURYSTA: A tak w ogóle, to zrobiliśmy więcej niż jeden taki licznik. Mieliśmy w użyciu co najmniej dwa, które pamiętam. To była komfortowa sytuacja, bo był luz, w razie gdyby doszło do jakiejś pomyłki na obiekcie.

BRODACZ: Chodziło o to, że kiedy wchodziliśmy do bunkra, to nasz licznik miał oczywiście za każdym razem znacznie niższe wskazanie. Powiedzmy, że jeśli akurat nas nie było tam dwa tygodnie, to Amerykanie przez ten czas zdążyli już te drzwi otworzyć i zamknąć mnóstwo razy. Jeden z nas miał zawsze za zadanie usiąść i dokręcić

nasz licznik do liczby o jeden mniejszej niż ta, którą wskazywał licznik nad drzwiami. Czasem trzeba było się napykać trochę tą dźwigienką! To się nie zdarzało, ale teoretycznie, gdyby ta osoba się zagapiła i przeleciała przez właściwy numer, to mieliśmy zawsze jeszcze jeden licznik w zapasie. Tak samo gdybyśmy zamknęli drzwi i potem z jakiegoś powodu chcieli je jeszcze raz otworzyć tej samej nocy, to też można by użyć tego zapasowego licznika.



Amerykański licznik lub jedna z jego kopii wykonanych w pomieszczeniach Wydziału IX. Na zdjęciu wyraźnie widać smugi farby i nitki wpuszczone w żywicę.

TURYSTA: Zasada była taka, że staraliśmy się jak najkrócej trzymać u siebie oryginał. Jeśli mieliśmy taką sytuację, że wchodziliśmy i na framudze wisiała akurat nasza podróbka, a w ręku mieliśmy oryginał i naszą drugą podróbkę, to oczywiście podmienialiśmy licznik na ten oryginalny. Były identyczne, ale jednak lepiej było dmuchać na zimne. No i to trwało latami.



BRODACZ: Na szafę nie można się ot tak rzucić, nawet jeśli zna się szyfr. Tu mamy do czynienia z prostą zasadą: nie kręcić na wariata. Przed przystąpieniem do roboty sprawdzało się przede wszystkim, na jakim numerze jest zostawione pokrętło. Jeśli było na 21, to po skończeniu pracy musiało wrócić na 21. Poza tym zawsze trochę trzeba było poruszyć w prawo i w lewo. Jeśli opór był z lewej, to oznacza, że zawodnik kręcił ostatni raz w lewo. Jeśli z prawej, to oznacza, że ostatni raz leciał zgodnie ze wskazówkami zegara. Tak też musiało być przy naszym wyjściu.



Wydział IX wykonał też idealną kopię licznika zainstalowanego w jednym z sejfów w ambasadzie Hiszpanii.

INŻYNIER: Po otwarciu sejfu dokładnie oglądaliśmy wnętrze, jeszcze zanim cokolwiek wzięliśmy do ręki. Zamykając potem kasę, wszystko musieliśmy zostawić dokładnie na tym samym miejscu – każdą kartkę, każdy długopisik, każdą flaszkę, którą tam sobie szyfrant wcisnął na czarną godzinę.

TURYSTA: Tu też robiliśmy polaroidem zdjęcia, które nam potem bardzo pomagały. Gdy wszystko było już obfotografowane, sięgaliśmy po dokumenty. Zawsze był z nami oficer z wydziału operacyjnego i to on nam mówił, które materiały są ciekawe i mają zostać sfotografowane na kombajnie, a których nie ruszamy. Jeśli dokumenty były elegancko powkładane w segregatory, to oficer wydziału operacyjnego obecny z nami na obiekcie mógł sobie je sam wyciągać. Każdy z nich miał doświadczenie, nie robił tego w pośpiechu, spokojnie wyciągał jeden dokument po drugim, nic się nie mieszało. Problem pojawiał się natomiast, jeśli mieliśmy przykładowo do czynienia z jakąś stertą kartek. W tym przypadku odradzaliśmy naszym kolegom z wydziału operacyjnego dotykanie jej i sami załatwialiśmy sprawę. Wyciągaliśmy kartkę, kolega patrzył, decydował, czy chce mieć jej kopię, i my już dalej działaliśmy sami. Liczba stron skopiowanych na naszym kombajnie szła nieraz w tysiące. Na jedną kasetę potrafiliśmy nawinąć pięćset klatek, a podczas wejścia na obiekt zdarzało nam się wykorzystać nawet kilka takich kaset!

INŻYNIER: No i bywało tak, że jeśli mieliśmy robotę za miastem, to my jeszcze nie zdążyliśmy po robocie do hotelu dojechać, a jeden samochód już zapierniczał do Warszawy z filmami. Czasem nawet wysyłano je samolotem.



Główna kasa pancerna wewnątrz bunkra ambasady Szwecji. Pokrętko zamka szyfrowego, podobnie jak w drzwiach bunkra, blokował mechanizm zwalniany

przy użyciu klucza. Klucz udało się dorobić w siedzibie wydziału, natomiast szyfr funkcjonariusze ustalali stosując metodę gammametryczną.

TURYSTA: Dochodziło do sytuacji, w których ambasador obcego kraju dopiero zapoznawał się z jakimiś dokumentami skierowanymi do niego, a pion analityczny naszej służby już dawno miał gotową ich dokładną analizę. To wszystko odbywało się w niesamowitym tempie. W placówkach bardzo często otwieraliśmy przychodzącą pocztę dyplomatyczną, która nie została skontrolowana na lotnisku, a także pocztę wychodzącą z placówki, jeszcze przed spakowaniem do wysyłki. Mieliśmy od wydziałów operacyjnych informacje o ruchu poczty dyplomatycznej i jeśli dostawaliśmy sygnał, że worki przysły, to na akcję jechali z nami członkowie grupy lotniskowej i albo wchodzili do placówki, albo te worki im się wynosiło, zwłaszcza jeśli potrzebowali jakiejś śmierdzącej chemii do otwarcia.

LISTONOSZ: Ludzie pracujący na co dzień na lotnisku, tacy jak ja, jeździli też otwierać bloczki szyfrowe w placówkach. Niech pan sobie wyobrazi notes z posklejanymi po bokach kartkami, takimi wyrywanymi. My musieliśmy cały ten bloczek rozkleić, nie pozostawiając widocznych śladów, więc po prostu ścinaliśmy precyzyjnie tę warstwę kleju – tak że kartki właściwie nie zmieniały wymiarów.

ŁOWCA: Był do tego specjalny przyrząd. Bloczek wkładało się w taką jak gdyby prasę, która ścinała rant, dosłownie jedną dziesiątą milimetra.

LISTONOSZ: A potem trzy albo cztery grzbiety tego bloczka pokrywaliśmy na nowo klejem, oczywiście sprowadzonym z zagranicy, identycznym z oryginałem. Powiem szczerze – to takie

niby superzabezpieczenie klejem nie stanowiło dla mnie żadnej przeszkody.

ŁOWCA: Mówiąc o tamtych latach, trzeba jeszcze pamiętać, że spotykaliśmy się już z komputerami, z dyskietkami. Najpierw były pięciocalowe, potem trzyipółcalowe. Niby nowa technologia, ale dyskietki naprawdę stanowiły dla nas najmniejszy problem. Mieliśmy takie urządzenie z dwiema kieszeniami, w jedną wkładało się dyskietkę do skopiowania, w drugą leciała czysta, wciskało się przycisk, było takie „bzzzyt, bzzzyt, bzzzyt” i sprawa załatwiona. Potem trzeba tylko było uważać, żeby w pośpiechu nie zostawić im naszej dyskietki i nie zabrać tej ich oryginalnej.

TURYSTA: Skoro już jesteśmy przy elektronice: podczas akcji niejednokrotnie robiliśmy jeszcze jedną rzecz. Kluczowym elementem maszyny szyfrującej była płytką drukowana z elementami elektronicznymi. My wykonywaliśmy zdjęcia rentgenowskie tych płytek, a potem przekazywaliśmy do Biura „A”, czyli biura szyfrów. Wydział dekryptażu wykorzystywał to przy pracach nad wykonaniem kopii takiej maszyny.



Maszyna szyfrująca w walizce Samsonite sfotografowana na terenie ambasady Wenezueli w Warszawie.

MINISTERSTWO
SPRAW WEWNĘTRZNYCH

DEPARTAMENT II

L. dz. ODS _____

1987-11-24
WARSZAWA, dnia _____ 19__ r.

T A J N E
SPEC. ZNACZENIA

INFORMACJA

dotyczy: działań specjalnych wobec ambasady Hiszpanii w Warszawie

20.11.87
hiszpański; protokół

Kontynuowane w ostatnich latach liczne działania operacyjno-techniczne wobec ambasady Hiszpanii w Warszawie doprowadziły do opanowania łączności szyfrowej, pozwalającej na pełną kontrolę całej bieżącej tajnej korespondencji, wysyłanej i otrzymywanej przez tę placówkę.

Zapewniono jednocześnie dopływ najbardziej tajnych i często wyprzedzających informacji o planach NATO, a także ocenach państw Paktu odnośnie naszej sytuacji społeczno-politycznej i gospodarczej.

W związku z zaostrzeniem reżimu bezpieczeństwa i wprowadzonymi przez przeciwnika zmianami w technicznym zabezpieczeniu placówki koniecznym było w ostatnich kilku miesiącach podjęcie złożonych działań w celu utrzymania i rozszerzenia posiadanych pozycji operacyjnych. Zmiany te polegały na:

- dodatkowym zabezpieczeniu strefy specjalnej placówki i pomieszczeń szyfranta/system zamków elektromagnetycznych/;
- wprowadzeniu nowych specjalnie opracowanych dla potrzeb hiszpańskiej służby zagranicznej kas pancernych typu "Soler";
- zabezpieczeniu kas szyfranta przez nieznane nam dotychczas zamki/szyfrowy i zapadkowy/, a także licznik otwarć.

W toku czterech kolejnych przedsięwzięć operacyjno-technicznych, po pokonaniu dodatkowych zabezpieczeń strefy specjalnej placówki i uzyskaniu wejścia do pomieszczeń szyfranta, technicznie opracowano metodę otwarć kasy "Soler"/zamki szyfrowy i zapadkowy/. Rozpracowany został system zapewniający przyszłe

konspiracyjne otwieranie kasy szyfranta, pomimo zainstalowanego w niej licznika otwarć/przygotowany został jego duplikat/. Stwierdzono, że placówka przygotowuje się do zmiany w technice szyfrowania depesz, planując wprowadzenie urządzeń nowej generacji. Ponadto zdobyto bloki szyfrowe, które będą wprowadzone do eksploatacji przez placówkę w 1988 roku. Umożliwi to nam pełną kontrolę działalności ambasady.

Równolegle rozpracowano wprowadzone w lipcu br. -specjalnie dla ambasadora - urządzenie służące do kodowania rozmów telefonicznych o charakterze tajnym. Jest to specjalny aparat z przystawką "Gretacoder-103" /firmy szwajcarsko - zachodnioniemieckiej "Gretag"/. Uzyskano instrukcję jego obsługi, wykaz stosowanych kluczy szyfrowych oraz spis abonentów. Rozpoznano sposób przygotowania urządzenia do pracy i metodę wprowadzania kluczy szyfrowych.

Ogół przedsięwzięć przeprowadzono bez zakłóceń. Nie stwierdzono oznak dekonspiracji.

DYREKTOR DEPARTAMENTU

Gen. bryg. Janusz S E R E D A

Oprac. RS

JS/87

W ramach współpracy z Biurem „A” funkcjonariusze Wydziału IX badali każde nowe urządzenie, które pojawiło się w placówce – w tym przypadku przystawkę

do telefonu ambasadora Hiszpanii. Bloczki szyfrowe i informacje o nadchodzących zmianach w systemach łączności uzyskiwano z wyprzedzeniem.

Warszawa, dnia 1986.12.19

T A J N E spec. znaczenia

Egz. pojedynczy

N O T A T K A

ze wstępnego opracowania urządzeń szyfrowych uzyskanych w wyniku akcji specjalnej Departamentu II MSW na obiekcie "METYS" w dniu 1986.12.17.

W wyniku akcji specjalnej w dniu 1986.12.12 uzyskano instrukcję obsługi oraz zestawy kluczy szyfrowych do urządzeń Gretacoder 505 i Hagelin 550. Po przeanalizowaniu tych materiałów stwierdzono, iż:

1. Szyfrator Gretakoder posiada następujące zabezpieczenia przed ingerencją z zewnątrz:
 - hermentyczna obudowa,
 - zamek urządzenia typu KESO otwierany przy pomocy kluczyka i śruby, przekręcanych w odpowiedniej kolejności,
 - układy elektroniczne wykrywające + zanik zasilania zewnętrznego i kasujące dzienny klucz szyfranta zapisany w pamięci RAM.
2. Szyfrator Hagelin 550 posiada identyczne zabezpieczenia jak znane egzemplarze. Z analizy korespondencji wynika, że szyfrator ten nie jest używany i jest urządzeniem rezerwowym.
3. Moduły elektroniczne zawierające klucze szyfrujące nie posiadają własnych zabezpieczeń i są chronione w szafie pancerniej.
4. Urządzenia powyższe po odłączeniu i przewiezieniu będą stanowiły wartościowy materiał do odtworzenia konstrukcji i prac dekryptażowych.
5. Zabezpieczenia urządzeń umożliwiają powrót do stanu pierwotnego bez natychmiastowej dekonspiracji.

W trakcie akcji specjalnej w dniu 1986.12.17 wykonano następujące czynności:

1. Odłączono szyfratory z sieci, wyjęto z obudowy płytę Hagelina 550, wyjęto z kasy moduły elektroniczne zawierające klucze szyfrowe, dla kierunku polskiego i dookólny oraz przewieziono powyższe urządzenia do Wydziału IX Dep.II MSW.
2. Wykonano dokumentację urządzeń przed demontażem, zdemontowano obudowy i wykonano dokumentację fotograficzną całych zespołów.
3. Rozmontowano urządzenia do poszczególnych podzespołów elektronicznych - płytek drukowanych.
4. Wykonano dokumentację fotograficzną i rentgenowską płytek drukowanych oraz umieszczonych na nich elementów elektronicznych.
5. Wyjęto umieszczone na podstawkach trzy pamięci typu PROM urządzenia Gretakoder 505 i skopiowano do dalszej analizy ich zawartość /algorytm szyfratora/. Skopiowano bez wylutowywania pamięci typu PROM kluczy elektronicznych /szt. 2/. Pamięci typu PROM /szt.4/ szyfratora Hagelin 550 były wlutowane do obwodu drukowanego. Zrezygnowano z kopiowania ich ze względu na to, iż posiadamy już kopie ich zawartości z innego egzemplarza tego szyfratora, pakiet elektroniczny posiada własne zasilanie z akumulatora /wbudowanego/, obciążenie kopiarki pamięci PROM wszystkimi elementami pakietu elektronicznego mogłoby spowodować uszkodzenie jej zasilacza.
6. Po zakończeniu powyższych prac zamontowano urządzenia i sprawdzono ich zachowanie po włączeniu do sieci. Stwierdzono, iż urządzenie Gretakoder 505 po włączeniu chwilę oczekuje na wczytanie hasła identyfikacyjnego, a następnie samodzielnie wczytuje go z wmontowanego modułu z kluczami i przechodzi w stan czuwania - zapalona lampka PLEIN. Stan ten nie sygnalizuje, że dokonywane było rozłączenie urządzenia i jego demontaż.
7. Urządzenia przewieziono ponownie do obiektu i zainstalowano zgodnie ze stanem pierwotnym. Stwierdzono, że urządzenie Gretakoder 505 po podłączeniu nie włącza co 16 minut silnika dalekopisu, co obserwowano przed rozłączeniem.

8. Operacji legendujących zmianę zachowania szyfratora nie wykonywano. Szyfrator jest podłączony bezpośrednio do sieci, bez zewnętrznego zasilania rezerwowego. Po zwykłym zaniku napięcia w sieci występującym czasami bez naszej ingerencji, urządzenie także zmieniłoby swoje zachowanie.

NACZELNIK WYDZIAŁU IX, DEP. II MSW

MJR/MGR J. TENGLI

Wyk. 1 egz.
Oprac. kpt. R. Ostrihansky
Druk. MD.

Niektóre maszyny szyfrujące przewożono nocą do pomieszczeń Wydziału IX, gdzie można było przeanalizować ich konstrukcję, wykonać zdjęcia

rentgenowskie i skopiować dane. Tu funkcjonariusze pochylają się nad maszyną
wyniesioną z ambasady Argentyny w Warszawie.

ROZDZIAŁ 8

ŁOWCY TAJEMNIC

GENERAŁ ANDRZEJ KAPKOWSKI^[4]: Interesuje pana sprawa Węgrów, którzy weszli u siebie do jednej z ambasad i już nie wyszli? To nie plotka. Z Węgrami mieliśmy dobry kontakt, dobrą współpracę, wysoki poziom wzajemnego zaufania i oni nam taką informację przesłali. Nie mam wątpliwości, że mieli na to zgodę Rosjan, ale fakt pozostaje faktem – informacja przyszła. I to też pokazuje, że tę sprawę traktowano poważnie. Proszę pana, musi pan mieć świadomość, że pisze pan o działaniach absolutnie wyjątkowych na skalę światową. To było wariactwo, ale wariactwo, które dostarczało nam materiałów na wagę złota. Zapotrzebowanie było, kolegom z Wydziału IX fantazji nie brakowało, no to się chodziło. A nieraz wiedzieliśmy, że w Krakowie podczas naszego wejścia są w budynku nie tylko ci Amerykanie, którzy tam mieszkają na stałe, ale też, na tak zwanej jaskółce, siedzą wojskowi, którzy akurat byli w podróży po kraju. Mogli mieć broń, a my nie wiedzieliśmy, co zrobią, jeśli nas nakryją. W dodatku wiedzieliśmy o sprawie z Węgrami. Wszystko musiało być związane na ostatni guzik. To jest coś, co w zasadzie trudno opisać. Ja wiem, jakie to uczucie, moi koledzy wiedzą. Ale to trzeba przeżyć, żeby poczuć. Trzeba wejść do takiego miejsca i na czworakach iść po trzeszczących schodach, mając świadomość, że parędziesiąt centymetrów od ciebie jest gospodarz. W moim wydziale wiedziały o tym może trzy osoby. Znikało się i tyle, nikt

z pozostałych kolegów i koleżanek w wydziale nie wiedział, dokąd pojechaliśmy. I przez tyle lat trzymaliśmy to w tajemnicy.



GENERAŁ KAPKOWSKI: Mimo całego stresu wiążącego się z takim wejściem nigdy nie miałem w nocy koszmarów nocnych. A powiem panu, że teraz, po latach, gdzieś tak raz na rok mam sen o tych działaniach. I mimo że w rzeczywistości nigdy taka sytuacja się nie zdarzyła, we śnie zawsze jest to samo – wpadamy w ręce Amerykanów.

FOTOGRAF: Wie pan, że ten wydział nazywano „Wydziałem Straceńców”? Wychodziliśmy na akcję i nigdy nie było wiadomo, czy wrócimy. Gdybyśmy nie wrócili – najpewniej nikt by się nie dowiedział, co się z nami stało. Nawet rodzina.

ŁOWCA: Zastępca szefa kontrwywiadu pułkownik Feliks Solarski raporty z naszych akcji zawsze podpisywał swoim szczęśliwym ołówkiem. Z jednej strony wiedział, że udaje nam się robić to, co robimy, dzięki umiejętnościom, a nie dzięki fartowi. Z drugiej strony były to działania tak ryzykowne, że nawet gdy pod koniec lat osiemdziesiątych ołówek był już krótki jak zapalniczka, to szef i tak niezmiennie czekał nocą na nasz powrót właśnie z nim w ręku. Tak na wszelki wypadek.

BRODACZ: Jaki był plan na wypadek wpadki? Nie było konkretnego, bo to zależało przecież od okoliczności, od konkretnej placówki. Była za to jedna wytyczna: nie dać się złapać. Gdybym w placówce stanął oko w oko z jakimś człowiekiem, to uderzyłbym

go, z całą pewnością. Nic osobistego, ale nie byłoby innego wyjścia. Sprzęt cały pod pachę i w nogi.

ŁOWCA: Ja myślę, że przy okazji zrobiłbym tam na obiekcie bałagan i zwinął parę rzeczy, żeby wyglądało to na zwykłe włamanie. Oddałoby się na cele charytatywne.

BRODACZ: My w życiu nawet jednego centa, ani jednej rzeczy nie zabraliśmy z żadnej placówki. A czasem trudno było uwierzyć w to, co widzieliśmy. Pamiętacie, jak któregoś razu otworzyliśmy u Szwedów kasę i w środku były trzy półki pełne dolarów? Pan sobie wyobraża, ile to było na tamte czasy pieniędzy? I nawet człowiekowi do głowy nie przyszło, żeby to choćby palcem tknąć.

TURYSTA: Nieraz złoto mieli, mnóstwo talonów na benzynę. Prywatne rzeczy też się zdarzały. O, flaszka przykładowo.

LISTONOSZ: Pewnego razu zjawiliśmy się u Szwedów przed jakimś świętem. W korytarzu stały tam takie wielkie kosze z prezentami, a wśród nich leżały najpiękniejsze pomarańcze i banany, jakie w życiu widziałem. Pamiętam, że w tym samym czasie u nas były puste półki. Patrzyliśmy na to, patrzyliśmy, ale żaden z nas nawet nie tknął. A przecież nikt by się w życiu nie zorientował, gdybyśmy po jednym bananie sobie wzięli.

BRODACZ: To przykre, ale ja nigdy nie zapomnę zapachu tej konkretnej ambasady. U nas był głęboki socjalizm, myśliśmy się jakimś tam mydełkiem For You albo innym szarym badziewiem, a tam się wchodziło i czuć było te zachodnie środki czystości. Porządek był idealny, podłogi się świeciły i pachniały jakąś cytrynką, w łazience było mydełko takie, mydełko siakie.

ŁOWCA: Na pewno niektóre z tych rzeczy mogłyby zniknąć i nikt by nie zauważył. Szczerze mówiąc, to nawet gdyby coś cennego zabrać i by się kapnęli, to poszłoby raczej na któregoś z pracowników placówki. Tyle że my byliśmy z kontrwywiadu i kopiowaliśmy dokumenty, nie byliśmy złodziejami. Może to zabrzmieć wyniośle, ale w naszej grupie naprawdę istniała taka bardzo mocno zakorzeniona uczciwość. Tylko tacy ludzie nadawali się do tej roboty.

BRODACZ: My byliśmy tam po to, żeby im zabrać „hemligi”, jak to nazywali Szwedzi. Czyli tajne materiały.



GENERAŁ KAPKOWSKI: To wszystko ładnie współgrało. Koledzy z Wydziału IX zajmowali się problemami technicznymi, ja w tym czasie oglądałem zawartość szaf. Więc: tak – wiem, co w nich było. Mało który kontrwywiad może się pochwalić, że ma w ręku plan zapotrzebowań wywiadowczych obcych służb na terenie swojego kraju, a my to mieliśmy. Wspomniała rzecz, prawda? Jeśli chodzi o CIA, to pełnej listy źródeł agenturalnych trzeba by szukać w ambasadzie w Warszawie, gdzie wejście było już niemożliwe ze względu na liczbę przebywających tam ludzi, ale w konsulatach amerykańskich w innych miastach trafialiśmy na ślady obecności oferentów, czyli osób, które przyszły do Amerykanów z propozycją zostania ich agentami. I proszę mi wierzyć, takie sprawy miały swój dalszy ciąg. Do tego, co robili Amerykanie, trzeba podchodzić z ogromnym szacunkiem, bo robili to bardzo umiejętnie – zarówno ci, którzy byli oficerami wywiadu, jak i ci spoza niego. Dzięki szerokim kontaktom wśród Polaków mieli bardzo, bardzo głęboki przegląd opinii. Wiele na pozór zwykłych rozmów realizowali

według pytajnika wywiadowczego, czyli prowadzili de facto działalność penetracyjną w białych rękawiczkach. To byli ludzie szkoleni, wiedzieli, jak rozmawiać z Polakami, aby uzyskać maksymalną liczbę informacji, które tak samo interesowały kierownictwo naszego państwa.



Sejf i szafka w bunkrze konsulatu USA w Poznaniu, w których Amerykanie przechowywali najważniejsze dokumenty placówki. W tym pierwszym regularnie pojawiały się m.in. tajne materiały CIA. Jako że sejf nie był do niczego przymocowany, można było odchylić go od ściany, umieścić z tyłu izotop, uzyskać zdjęcie zamka i dzięki temu ustalić szyfr.

Bardzo ciekawe były niektóre materiały, przy których widniała adnotacja „źródło chronić”. To oznaczało, że rozmówca nie był źródłem agenturalnym w klasycznym rozumieniu tego słowa, tylko zwykłym gadułą, z którym warto było utrzymywać bliską relację. Niestety wielu Polaków przy różnych okazjach towarzyskich nie miało żadnych oporów przed rozmową. Jestem przekonany, że ci

ludzie nie chcieliby, żeby to się teraz przedostało do wiadomości publicznej. Wiedzieliśmy, czego Amerykanie się od nich dowiedzieli, a ponadto wiedzieliśmy, co o tym myślą. Z tego wszystkiego sporządzane były analizy dla nas, dla wywiadu, dla kierownictwa państwa. A kierownictwo dzięki nam znało oceny, prognozy, nawet plany Amerykanów i innych państw wobec Polski, bo przecież te dokumenty dotyczyły nie tylko polityki Stanów Zjednoczonych.

Skąd pewność, że nie mieliśmy do czynienia z dezinformacją, fałszywymi materiałami celowo podsuwanymi nam przez Amerykanów? Stąd, że zakres tych zdobytych przez nas informacji był bardzo duży. Dezinformację można prowadzić w jednym wąskim kanale, ale nie w tak szerokim, i to przez tyle lat. Wiadomości z tych dokumentów się potwierdzały, mieliśmy wszystko na tacy. Wyobraża pan sobie, jak cenna była ta wiedza? W jaki sposób ją spożytkował rząd, to już trudno mi określić. Faktem pozostaje, że dzięki nam dysponował informacjami bezcennymi, które po scaleniu prowadziły do bardzo ważnych wniosków. Jak często się zdarza, aby politycy wiedzieli tak dużo o planach innego państwa wobec swojego kraju?



TURYSTA: Niektórym może być trudno w to uwierzyć, ale my naprawdę nie wiedzieliśmy, co dokładnie wyciągamy z sejfów w tych wszystkich placówkach. Generał Kapkowski wiedział, my nie. Nasza rola polegała na złamaniu zabezpieczeń, wykonaniu kopii i koniec. Wszystko przekazywaliśmy wydziałom operacyjnym i pionowi analitycznemu – a one robiły z tego użytek. Gdybyśmy chcieli to wszystko czytać, już na nic innego nie starczyłoby nam

czasu. Wie pan, ile to było stron dokumentów rocznie? My w wydziale mieliśmy kopie tych wszystkich zdobytych materiałów i w pewnym momencie zgromadziło się tego tak dużo, że jedna ze ścian cała była zastawiona kartonami pełnymi dokumentów. Kopiowaliśmy parędziesiąt tysięcy stron rocznie i tak naprawdę dopiero dziś dowiadujemy się, co to było. Jakiś czas temu w mediach pojawiła się informacja, że w Instytucie Pamięci Narodowej znajdują się pojedyncze dokumenty dotyczące przejęcia przez Polaków archiwum hiszpańskiego wywiadu. Oczywiście chodziło o efekt naszych operacji. W internecie opublikowano mnóstwo artykułów i komentarzy na ten temat, ponieważ okazało się, że w dokumentach figuruje nazwisko ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza, który w latach osiemdziesiątych został przez Hiszpanów zarejestrowany jako źródło informacji. Z artykułów jasno wynika, że chodziło o dane zapisane na dyskietkach. Czytelnicy pisali więc w komentarzach, że to bujda, że niemożliwe, że polskie służby to nawet nie miały w tamtych czasach komputera. Widzi pan? Mówiłem, że ludzie z Zachodu w tamtych czasach nie wierzyli w nasze możliwości pokonania ich zabezpieczeń. A trzydzieści parę lat później nie wierzą w to nawet nasi rodacy. Do momentu przeczytania wspomnianych artykułów nie miałem pojęcia, co zawierały te dyskietki, mimo że byłem członkiem grupy, która tamtej nocy weszła na obiekt.

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

W Y K A Z

dokumentów specjalnych przekazanych z Wydziału VIII Dep. II do Wydziału I Dep. II MSW w okresie I kwartału 1980 roku

- I. Wykaz z "Arete" 21. 12. 1979r.
 - 1. Tajny dokument CIA z 01. 10. 1979r. omawiający zasady zbierania informacji przez rezydenturę pracowników ambasady USA w Warszawie, które służą do opracowywania wywiadowczych prognoz sytuacji polityczno-społecznej i gospodarczej Polski. - 6 stron
 - 2. Tajny dokument CIA z 13. 11. 1979r. zawierający wykaz większych zakładów przemysłowych w Polsce, przesłany w celu interesowania się nimi przez rezydenturę wywiadu amerykańskiego w ambasadzie USA w Warszawie. - 8 stron
 - 3. Poufna informacja ambasady USA w Warszawie do Dep. Stanu z 4. 12. 1979r. dot. polskich planów zorganizowania pożyczki konsorcyjnej przy udziale banków amerykańskich. - 3 strony
 - 4. Poufna informacja ambasady USA w Warszawie do Dep. Stanu z 13. 11. 1979r. dotycząca importu ropy naftowej przez Polskę. - 3 strony
 - 5. Poufna informacja amb. USA w Warszawie do Dep. Stanu z 7. 02. 1979r. dot. polsko-zachodnioniemieckich wizyt na wysokim szczeblu w związku z sytuacją ekonomiczną PRL. - 1 strona
 - 6. Poufna inf. amb. USA w Warszawie do Dep. Stanu z 26. 10. 1979r. dot. nowych koncepcji rozwiązania trudności ekonomicznej Polski /na podstawie rozmowy z doradcą I Sekretarza, KC, P. Bożykiem/. - 8 stron

Fragment wykazu dokumentów zdobytych w konsulacie USA w Poznaniu, w nocy z 21 na 22 grudnia 1979 roku. Wspomniany w nagłówku Wydział VIII

Departamentu II to komórka analityczna, pośrednik między zdobywającym materiały Wydziałem IX a odbiorcą, czyli Wydziałem I.

FO-1690

Warszawa, dnia 6 lutego 1982 r.

52

TAJNE SPEC.ZNACZENIA

W Y K A Z

dokumentów uzyskanych w wyniku realizacji przedsięwzięć specjalnych w obiekcie krypt. "ARETE" w dn. 5-6. 02. 1982r.

- | | | | |
|----------------------|-----|--|-----------|
| <i>Areua</i>
82-1 | 1. | Poufna informacja delegacji USA przy NATO z 3. 02. 82r. dot. poszerzonego posiedzenia Rady NATO w sprawie Polski w dniu 3. bm. | - str. 15 |
| | 2. | Poufna inf. delegacji USA przy NATO z 2. 02. 82r. dot. kompendium sankcji państw NATO wobec Polski i ZSRR. | - str. 20 |
| <i>Atewa</i>
82-1 | 3. | Tajna inf. Dep. Stanu z 29. 01. 82r. dot. stanowiska USA na posiedzenie Rady NATO w dniu 3. 02. br. | - str. 12 |
| <i>Gama</i>
81-29 | 4. | Tajna inf. ambasady USA w Bonn z 1. 02. 82r. dot. przygotowań RFN do Rady NATO w dniu 3. 02. br. | - str. 2 |
| | 5. | Tajna inf. amb. USA w Bonn z 29. 01. 82 r. dot. przygotowań RFN do Rady NATO w dniu 3. 02. br. | - str. 3 |
| <i>DION</i>
8-10 | 6. | Tajna inform. amb. USA w Rzymie z 1. 02. 82r. dot. przygotowań Włoch do Rady NATO w dn. 3. 02. br. | - str. 1 |
| | 7. | Poufną inform. ambasady USA w Rzymie z 29. 01. 82r. dot. przygotowań Włoch do Rady NATO w dn. 3. 02. 82r. | - str. 2 |
| <i>DELOS</i>
81-1 | 8. | Tajna informacja amb. USA w Lizbonie z 3. 01. 82r. dot. przygotowań Portugalii do Rady NATO w dn. 3. 02. br. | - str. 2 |
| <i>DELFA</i>
81-2 | 9. | Tajna inf. amb. USA w Ankarze z 29. 01. 82r. dot. przygotowań Turcji do Rady NATO w dn. 3. 02. 82r. | - str. 1 |
| | 10. | Tajna inf. amb. USA w Luksemburgu z 1. 02. 82r. dot. przygotowań Luksemburga do Rady NATO w dn. 3. 02. 82r. | - str. 2 |

Fragment wykazu dokumentów zdobytych w konsulacie USA w Poznaniu
w lutym 1982 roku.

Warszawa,

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH

GEN. BRONI CZ. KISZCZAK

R A P O R T

Melduje, że w dniach 28/29.04.br skutecznie wykonano działanie specjalne wobec rezydentury wywiadu *hiszpańskiego* w ambasadzie w Warszawie.

W ich wyniku skopiowano archiwum rezydentury w postaci zabezpieczonych dyskiepek komputerowych oraz dokumenty sporządzone na podstawie informacji zebranych od agentów w Polsce.

Uzyskano istotny postęp w opanowaniu środków bezpieczeństwa stosowanych przez rezydenturę do ochrony pomieszczeń szyfrowych, środków łączności z centralą wywiadu w *Madrycie* oraz sejfów wykorzystywanych do ochrony danych. W szczególności:

- opracowano system kontroli kasy pancерnej rezydenta zabezpieczonej zegarowym mechanizmem tzw. "timerem". Zapewniono pełny wgląd w zawartości kasy w zależności od potrzeb kontrwywiadu.
- uzyskano szczegółową dokumentację elektronicznego szyfratora nowej generacji *MX*...tj. systemu wprowadzonego ostatnio na wyposażenie wywiadów NATO.

- 2 -

Uzyskany w wyniku działań specjalnych bogaty materiał operacyjny zostanie wykorzystany w poszczególnych rozpracowaniach szpiegowskich oraz w dalszych pracach technicznych umierzających do rozpracowania środków łączności i bezpieczeństwa przeciwnika.

DYREKTOR DEPARTAMENTU II MSW

GEN. BRYG. J. S E R E D A

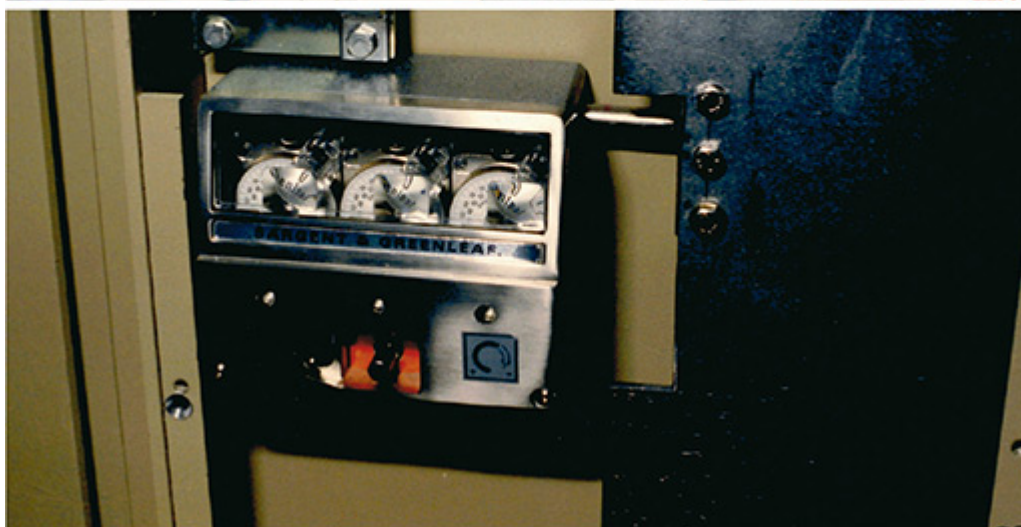
Raport dotyczący przejęcia archiwum wywiadu hiszpańskiego.

BRODACZ: Wie pan, „Turysta” taki skromny, a on nie tylko był na obiekcie tego dnia, ale nawet osobiście opracował metodę otwarcia sejfu, w którym leżały te dyskietki. To był sejf wyjątkowy, bo w środku Hiszpanie zamontowali sobie ten cały timer, urządzenie zegarowe uniemożliwiające otwarcie sejfu przez jakiś tam czas. Oficer ich wywiadu, wychodząc z placówki, ustawiał timer tak, żeby puścić dopiero następnego dnia, jak Hiszpanie wrócą do pracy. Krótka mówiąc, w nocy kasa była niemożliwa do otwarcia nawet dla właściciela. No a my ją otworzyliśmy dzięki rozwiązaniu, które wymyślił „Turysta”. Wyższa szkoła jazdy, naprawdę.

TURYSTA: Ale na tym temat zegara zakończmy. Myślę, że paru specjalistów od zabezpieczeń na świecie po przeczytaniu tego będzie się drapało w głowę, w jaki sposób Polacy sobie poradzili z takim mechanizmem. Nie psujmy im zabawy.



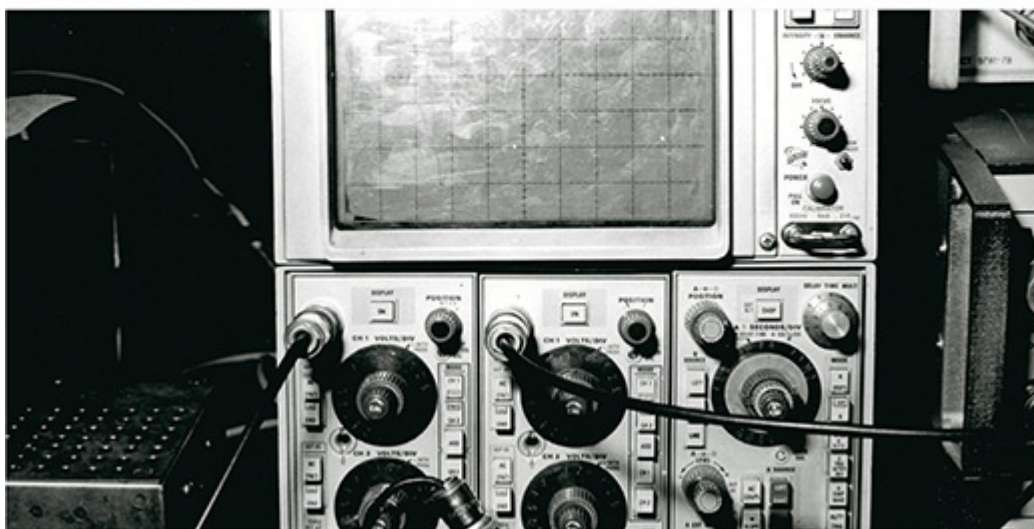
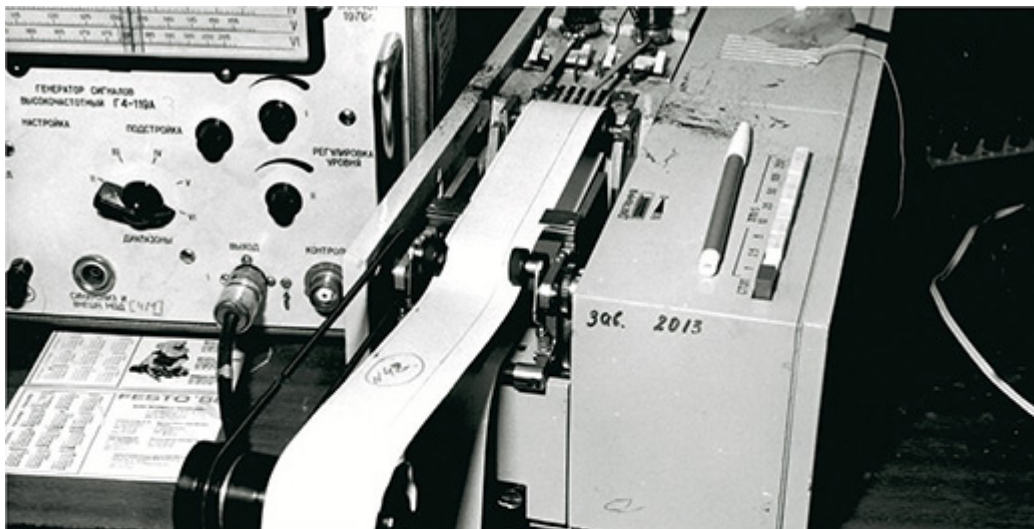
ŁOWCA: Jakby mało było tego, co kopiowaliśmy na kombajnie, to jeszcze w latach osiemdziesiątych wspólnie z Rosjanami prowadziliśmy specjalne operacje na obiektach „Tales” i „Dion”, czyli w ambasadach szwedzkiej i włoskiej w Warszawie. W tej pierwszej został zamieniony w dalekopisie układ scalony. Od tego momentu urządzenie promieniowało do sieci energetycznej. Jak Szwed siadał tam do pisania tajnej wiadomości i stukał, to u nas normalnie wysuwała się taśma perforacyjna z niezaszyfrowanym tekstem.



Sejf, z którego funkcjonariusze Wydziału IX wyjęli w 1988 roku dyskietki zawierające materiały hiszpańskiego wywiadu. Na ostatniej fotografii wyraźnie

widać zainstalowany w kasie timer, który uniemożliwiał jej otwarcie poza godzinami pracy placówki. Metodę pokonania zabezpieczenia opracował „Turysta”

TURYSTA: Natomiast do lokalu znajdującego się ściana w ścianę z pomieszczeniami ambasady włoskiej zostało zwiezione tyle sprzętu, że ledwo to wszystko weszło do furgonetki. W momencie kiedy Włoch stukał w klawiaturę u siebie, to jego urządzenia mimowolnie emitowały sygnał, że tak powiem, w powietrze. To był tak zwany ulot. Sprzęt przywieziony przez Rosjan potrafił to wykryć i dzięki temu miało się tekst, jeszcze zanim on poleciał kablami do zaszyfrowania. Byliśmy obecni przy wielu tych działaniach, ale nie mogliśmy poświęcić całego naszego czasu na obsługę tych urządzeń. Mieliśmy za dużo naszej własnej pracy, czyli samych wejść do placówek. Właśnie dlatego w latach osiemdziesiątych sprowadzono do nas sporą grupę funkcjonariuszy, którzy mimo że pracowali z nami w wydziale, nie do końca wiedzieli, czym się zajmujemy. To właśnie byli ludzie, którzy przyszli zajmować się elektroniczną kontrolą łączności szyfrowej tych dwóch ambasad. Szykowano się do pełnego przejęcia tych urządzeń od Rosjan, ale potem przyszedł rok 1989, 1990, KGB zdemontowało cały sprzęt i wywiozło z Polski.



Niektóre elementy systemu zainstalowanego w latach 80. przez KGB w pomieszczeniach sąsiadujących z obiektem „Dion”, czyli ambasadą Włoch

w Warszawie. Sprzęt umożliwiał zdalne przechwytywanie wiadomości wysyłanych z placówki.



BRODACZ: Byliśmy fajna paka, mnóstwo było śmiechu, fajna atmosferka. Jest co wspominać. Pamiętam, jak któregoś razu wchodziłem z kolegą Kapkowskim do jednej z rezydencji amerykańskich na terenie Poznania, takiej willi niedaleko konsulatu. Wokół tego miejsca kręciło się mnóstwo ludzi, nawet nocą, więc jak dostaliśmy przez radio sygnał, że jest zielone światło i możemy wychodzić, no to poleciliśmy ile sił w nogach. Był listopad, spadł dosłownie milimetr śnieżku, a my biegliliśmy po murku z lastriko. No i, proszę pana, Kapkowszczyk wywinął niezłego orła, przydzwonił żebrami, koniec świata. Z niego był dobry fachura, to nie ma nic do rzeczy. Ale wyrznął niezłe, później trzy tygodnie nikt go nie widział w „firmie”

GENERAŁ KAPKOWSKI: Co mogę powiedzieć? No bolało, bolało.

FOTOGRAF: Każdy miał jakieś przygody.

INŻYNIER: Pamiętam taką sytuację, że jeden kolega zostawił na obiekcie coś, czego nie powinien. Wróciliśmy po akcji do wydziału, liczymy, czy na pewno nie brakuje nam nic ze sprzętu, i nagle okazuje się, że nie ma jednej radiostacji. Doszliśmy, do kogo ona należała, i dzwoniemy do faceta do domu, bo już pojechał spać. Odbiera, pytamy, gdzie jego radiostacja, a on na to: „Kurwa, zostawiłem na kasie”. Naczelnikowi nic nie powiedzieliśmy, została jeszcze chwila do otwarcia placówki, moi koledzy popędzili tam i udało im się w ostatniej chwili tę radiostację odzyskać. A muszę powiedzieć, że ten, co to zrobił, to był niezły skurczybyk, bo my mu

pomogliśmy, a on jeszcze potem kablował na kolegów w różnych głupich sprawach typu spóźnienia. Taki był wdzięczny.

FOTOGRAF: Kiedyś byłem z kolegą we Włoskim Instytucie Kultury. Ja stałem na pięterku, a on na dole. W pewnym momencie zaczął coś tam do mnie mówić, no ale wiadomo, szeptem, i nie za bardzo go słyszałem. Więc stanąłem na schodach i chciałem się wychylić do niego, a tam była taka gigantyczna szyba, jak wystawowa. Wokół ciemność, nie zauważyłem i wyrznąłem w nią łbem tak, że aż mi się gorąco zrobiło – i z bólu, i z nerwów, bo jak to by się stłukło, to przecież całe miasto by się na równe nogi zerwało. No i raczej byśmy tego do rana nie naprawili. Nasz wydział był pierwsza klasa, ale to nie oznacza, że masę śmiechu przy tym wszystkim nie było.

BRODACZ: Nasze sukcesy były natychmiastowe, bardzo wymierne. Co tu dużo mówić – praca miała przez to charakter wręcz narkotyczny. Wiedzieliśmy, że odwalamy dobrą robotę. Nadzorujący nas pułkownik Solarski, jak się dowiadywał, ile tajnych dokumentów przynieśliśmy danego dnia, to mówił nam od razu, że mamy wałnąć kukiełkę – tak nazywaliśmy ładne albumy dla kierownictwa. W środku były zdjęcia najważniejszych dokumentów zdobytych podczas danej akcji. No więc jak szef mówił, że mamy robić kukiełkę, to wszystkim już się pozytywnie gorąco robiło, bo to oznaczało, że materiały pójdą na biurko dyrektora, ministra albo i jeszcze wyżej. A skoro tak, to i będą premie. No więc kukiełeczkę się robiło z przyjemnością, jasna sprawa.

TURYSTA: Ale tak z drugiej strony nasza anonimowość powodowała jednak, że nie byliśmy tak doceniani, jak

powinniśmy. Premia była, ale dla anonimowych ludzi. Doceniane były dokumenty i doceniane było nieanonimowe kierownictwo – jak to zazwyczaj w życiu bywa. Nas nie było, nie istnieliśmy, większość polityków nie wiedziała nawet, skąd te wszystkie informacje się biorą, bo dostawali je nie w formie kukiełki, tylko w formie już opracowanej analizy. Pierwszy sekretarz KC na pewno wiedział, ale pozostali już nie, więc gratulowali służbom w ogóle, niekiedy może nawet myśleli, że to wszystko zasługa wywiadu. Przecież my zdobywaliśmy więcej informacji wywiadowczych niż sam wywiad, tylko ludziom to nawet nie przychodziło do głowy. Kontrwywiad nie był wiązany z taką działalnością.

INŻYNIER: Jak w latach siedemdziesiątych wychodziłem z placówki, to wiedziałem, że parę godzin później taki Gierek będzie siedział u siebie w gabinecie i oglądał album ze sfotografowanymi przeze mnie dokumentami. Po lewej zdjęcia oryginału, po prawej już zrobione tłumaczenie, pośrodku kawka. Tak szybko to działało.

TURYSTA: Błyskawicznie. Od języka angielskiego mieliśmy przykładowo taką panią, oczywiście funkcjonariuszkę, mieszkała na Ursynowie. Ściągało się ją o nieprzyzwoitych porach, nieraz nawet człowiek po nią pojechał pod dom. Ona zerkała na te odbitki, decydowała, czym w pierwszej kolejności się trzeba zająć, i w niesamowitym tempie przekładała. To była machina.

GENERAŁ KAPKOWSKI: Osobiście jeździłem tylko do Amerykanów, a i tak latami miałem ciężko. Nic nie można było zaplanować, na wakacje nie wiedziałem, kiedy się wybrać. Był telefon, że trzeba jechać do konsulatu, to się jechało.

FOTOGRAF: Nieraz ręce już z kierownicy spadały. Kiedyś pojechałem do Krakowa, potem zaraz do Warszawy, zatankowałem i od razu kazali mi dołączyć do kogoś w Gdańsku. Dojechałem na miejsce, to okazało się, że mnie wprowadzili w błąd, bo mówili, że będzie akcja bez większej ilości sprzętu, a tymczasem potrzebne było wszystko, co mieliśmy. Więc musiałem wracać do Warszawy po rzeczy. Zastanawiałem się, czy dojadę, bo i ja zmęczony, i samochód tak samo. Mieliśmy wtedy akurat mercedesa, tyle że zupełnego trupa, więc nie było pewności, czy da radę.

TURYSTA: Pamiętam, jak ja pojechałem z rodziną na wakacje. Nacieszyłem się pięć minut, zlokalizowali mnie, wydzwonili. Musiałem wracać.

INŻYNIER: Był rok, w którym na obiektach spędziłem równo 180 nocy. Akurat wiele osób poszło na zwolnienia lekarskie, nie mieliśmy rąk do pracy. Było zapotrzebowanie, to musieli być też ludzie, którzy pójdą na akcje. Nie było rotacji pracowników, bo po pierwsze, dużo czasu zajmowało, zanim nowy pracownik stał się zupełnie samodzielny, a po drugie, nie można było wtajemniczać w te działania zbyt wielu ludzi. Nasza grupa była mała i miała taka pozostać. Dlatego gdy brakowało rąk do pracy, to rodzina mnie właściwie nie widywała. Byłem w jednej wielkiej wiecznej delegacji.

45

Ważniejsze
[Signature]

TAJNE SPEC.ZNACZENIA

ZESTAWIENIE

Przedsięwzięć specjalnych w obiektach kontrolowanych przez Dep. II MSW w okresie 1. 01. 1980 - 30. 06. 1980r.

Obiekt	Ilość akcji	Ilość stron dokumentów	Ilość ważniejszych dokumentów
Arete+Ajas <i>USA</i>	17	2915	421
Bella <i>Aust.</i>	5	410	9
Gamma <i>RFN</i>	51	7330	471
Dike <i>Fr.</i>	4	695	42
Demeter <i>Belgia</i>	1	197	6
Delta <i>Jania</i>	8	4267	530
Delos <i>Portug.</i>	1	105	5
Dion <i>Niocy</i>	1	573	50
Parnas <i>India</i>	14	916	49
Minos <i>Hiszp.</i>	4	1907	84
Pireus <i>Jap.</i>	1	249	16
Pitagoras <i>Pakist.</i>	2	128	2
Hellada <i>Alg.</i>	1	22	4
Czołówka	57	14855	408
Ra zem:	167	34569	2097

Tabela przedstawia liczbę tajnych wejść do poszczególnych placówek w pierwszym półroczu 1980 roku oraz rezultaty przeszukań. Wyjątkiem jest

wiersz zatytułowany „Czołówka” – dotyczący akcji w hotelach.

14

TAJNE SPEC. ZNACZENIA

Z E S T A W I E N I E

przedsięwzięć specjalnych w obiektach kontrolowanych
przez Departament II MSW w okresie 1. 01. 1982 r. do
31. 12. 1982 r.

Obiekt	Ilość akcji	Ilość stron dokum.	Ilość ważniejszych dokumentów	Uwagi:
ARETE AJAS	44	19158	2591	
BASTION	2	980	9	
CZOŁOWKA	14	3132	63	
DEMOS	10	814	67	
DELOS	7	2137	42	
DIKE	4	3374	59	
DION	1	195	1	
GAMMA	24	2514	56	
MINOS	10	2803	206	
MUZA	1	489	7	
PITAGORAS	2	162	20	
TALES	4	1823	174	
	123	37581	3295	

Wykaz tajnych przeszukań w 1982 roku.

TAJNE SPEC .ZNACZENIAZESTAWIENIEZESTAWIENIE

zdołanych informacji szyfrowych w obiektach
kontrolowanych przez Dep. II MSW w okresie
1. 01. 1980-30. 06. 1980r.

Delfa	Turcja	- 1556
Pireus	Jap.	- 701
Demeter	Belg.	- 143
Parys	Indonezja	- 133
Delos	Port.	- 84
Herodot	Tuniza	- 64
Mit	Wenezuela	- 48
Hera	Nipenii	- 37
Muza	Argent.	- 33
Minos	Hiszp.	- 29
Dion	Włochy	- 21
Melon	Meksyk	- 17
Homer	Mancho	- 10
Atena	USA	- 3
Diadem	Fr.	- 2
R a z e m :		- 2881

Wykaz przedstawia liczbę przechwyconych zdalnie informacji szyfrowych w pierwszym półroczu 1980 roku. Działania te były możliwe m.in. dzięki pracy

funkcjonariuszy Wydziału IX, którzy kopiowali bloczki szyfrowe i badali konstrukcję maszyn szyfrujących na zlecenie Biura „A”. Obiekt „Atena” to ambasada USA w Warszawie.

GENERAŁ KAPKOWSKI: Któregoś razu wracaliśmy z akcji w Krakowie i na wjeździe do Warszawy, na Okęciu, zepsuł nam się samochód. Było chyba minus 25 stopni, śnieg, straszna zima i auto najzwyczajniej odmówiło posłuszeństwa. Z pułkownikiem Solarskim wsiadłem więc po prostu w jakiś autobus. Dojechaliśmy na Rakowiecką i zaraz okazało się, że trzeba natychmiast jechać do Poznania. Spojrzałem na tego biednego, chyba ponadsześćdziesięcioletniego pułkownika Solarskiego i poszedłem do dyrektora Departamentu II spytać, czy Feli mógłby już zostać w Warszawie. Kolejna nocna akcja, ten mróz, może by mu już odpuścić. No i co? Dyrektor się nie ugiął i zaraz jechaliśmy z Solarskim do Poznania. Tak było latami – ciężko, intensywnie, no ale to działało. Aż w końcu coś się zmieniło.

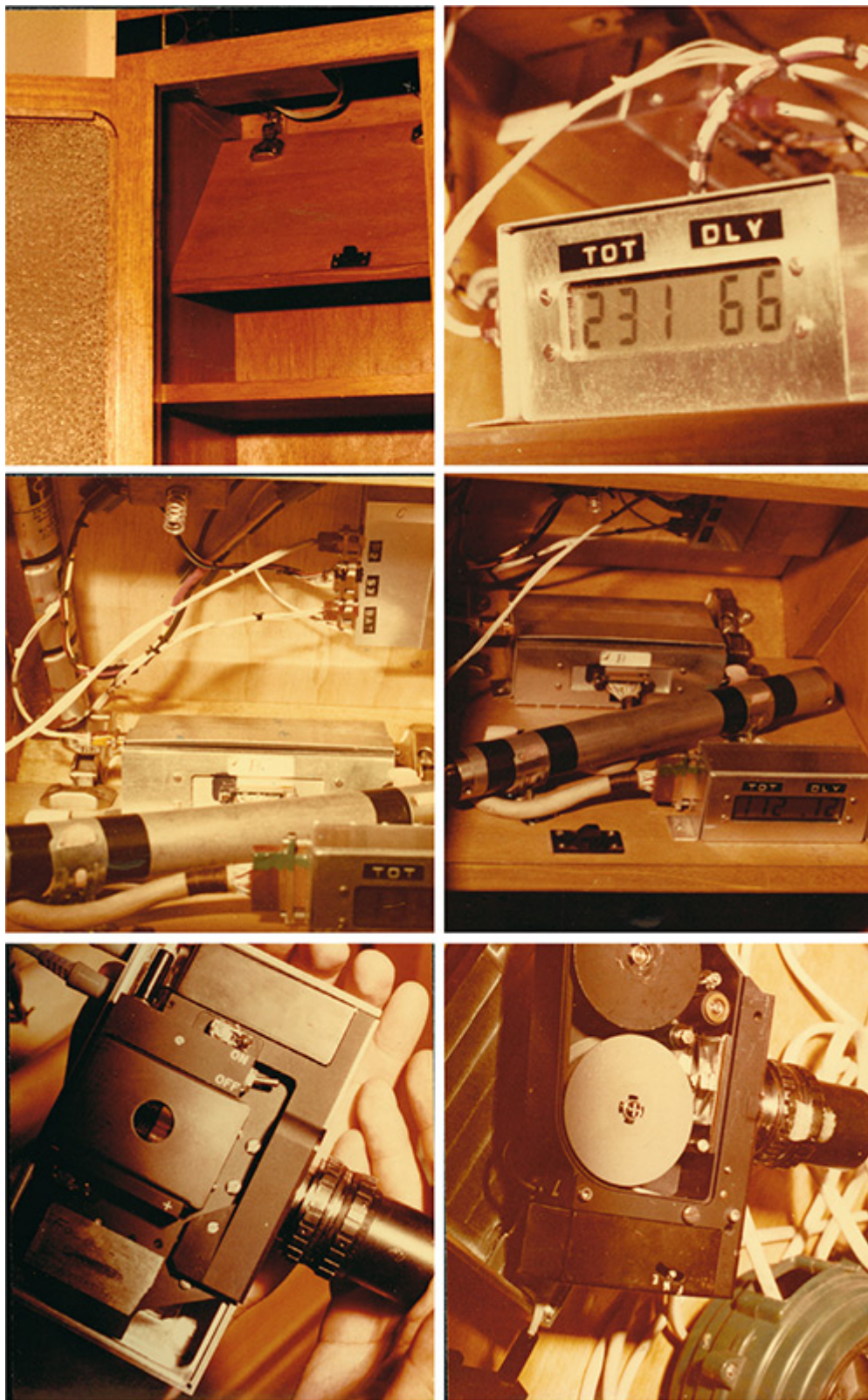
BRODACZ: Uratował nas Czesio. Miał dar, świetny słuch, jak Paganini. Stojąc przy bunkrze, usłyszał szmer.

FOTOGRAF: Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie Czesio, świętej pamięci. Szmer wydobywał się ze stojącego obok regału. Ten mebel zwrócił zresztą jego uwagę nie tylko dlatego, że leciutko szumiał, ale też dlatego, że był po prostu nowy i nawet nie do końca tam pasował. W środku była kamera, a właściwie urządzenie z czujnikiem ruchu, które wykonywało co jakiś czas fotografię. Tego dnia mnie tam nie było, a że zamontowane tam urządzenie nie było zwykłym aparacikiem, to postanowili tego nie dotykać. To było za duże ryzyko, woleli wrócić ze mną kolejnego dnia. Nie mogli przecież tego tak po prostu wyrwać, a i nie było

powodu. Sama obecność urządzenia wcale nie oznaczała jeszcze, że zostaliśmy zdekonspirowani.

TURYSTA: Dokładnie, nie było żadnych dowodów na to, że ta kamera została tam założona jako pułapka na nas. Z tego, co pamiętam, nieco przed tym wydarzeniem została w Poznaniu zarejestrowana obecność amerykańskiego technika od spraw bezpieczeństwa. Wydział operacyjny kontrolował bardzo solidnie takie rzeczy. Ten człowiek wyjechał, więc podejrzewaliśmy, że tej kamery, która była dość skomplikowana i niezłe schowana, nikt nie będzie dotykał potencjalnie nawet do momentu powrotu tego człowieka.

FOTOGRAF: Urządzenie miało czujnik ruchu, więc to nie było tak, że po dwóch godzinach filmowania gołej ściany należało zmienić film. Jedna rolka filmu mogła tam siedzieć bardzo długo. To był weekend i nic się nie działo w ciągu dnia, więc kiedy następnej nocy zjawiliśmy się w konsulacie, to przede wszystkim spojrzałem na licznik klatek. Nie nastukało tam nic, więc na szczęście wszystko wskazywało na to, że jest to ta sama taśma co dzień wcześniej. Odetchnęliśmy z ulgą. Potem to wszystko wyciągnąłem i wykonałem dokumentację fotograficzną. Na boczku tego regału, tam, gdzie znajdował się otwór na obiektyw, naklejono taką niby zwykłą naklejkę, która w rzeczywistości pełniła funkcję lustra weneckiego. Kamera działała w podczerwieni i miała wspomniany czujnik ruchu, więc trochę sobie przy tym pogrzebałem, żeby wiedzieć, z czym to się je – tak na wszelki wypadek, na przyszłość. No i przede wszystkim wyjąłem z niej film, uciąłem dosłownie mikroskopijny kawałeczek do badań, a resztę dokładnie zaświetliłem. Kierownictwo chyba z pięć razy mnie potem pytało, czy na pewno starannie to zrobiłem – tak, starannie ^[5].



Kamera była schowana pod półką w regale stojącym obok drzwi do bunkra w konsulacie USA w Poznaniu. Urządzenie z wyświetlaczem to licznik kłatek,

a podłużny element przypominający tuleję – czujnik ruchu aktywujący kamerę.

TURYSTA: Po tym wydarzeniu z naturalnych przyczyn zawiesiliśmy nasze działania wobec konsulatów amerykańskich – zarówno w Poznaniu, jak i, na wszelki wypadek, także w Krakowie. Ryzyko było zbyt duże, należało poczekać i przede wszystkim spróbować ustalić, dlaczego ta kamera w ogóle się tam pojawiła. Czy było to rutynowe działanie? A jeśli nie, to czy celem Amerykanów byliśmy my, czy może podejrzewano kogoś wewnątrz placówki? Wszystko wskazywało, że to drugie. Dlaczego? Wygląda na to, że ktoś wyżej, może w Komitecie Centralnym, wykorzystał zdobyte przez nas materiały w nieodpowiedni sposób. Ktoś gdzieś powiedział w rozmowie minimalnie za dużo i Amerykanie się zorientowali, że Polacy mają informacje pochodzące z konsulatu w Poznaniu. Zaczęli podejrzewać, że mają u siebie kreta. Nadal nie dopuszczali myśli, że mógł to być ktoś z zewnątrz. Kamera była tam po to, żeby zobaczyć, który z pracowników placówki tam świdruje. Nie mieliśmy żadnych sygnałów, że Amerykanie wiedzą o naszych wejściach, i po dłuższej przerwie do nich wróciliśmy, z sukcesami.

ŁOWCA: Oczywiście, że wróciliśmy. A jakżeby inaczej! Pamiętam, że jak przyszliśmy znów do konsulatu w Poznaniu, to oglądaliśmy nawet ten mebel, w którym była kamera. Stał już w innym miejscu, rozłożony^[6].

BRODACZ: Wcześniej chodziliśmy bez kominiarek, ale w momencie powrotu do Amerykanów zaczęliśmy się zasłaniać w obawie, że nadal mogą tam być jakieś urządzenia rejestrujące. Naszym priorytetem było początkowo właśnie ustalenie, czy są jakieś kamery, czy ich nie ma. Poszukiwania dały rezultat negatywny,

było bezpiecznie. Oczywiście na tyle bezpiecznie, na ile może być, gdy człowiek wchodzi nocą do obcej placówki.

*stwierdzone
w raporcie z
wizyty spec. dozwolone
12.01.87*

INFORMACJA

dotyczy: wypracowania możliwości kontroli tajnych dokumentów
konsulatu USA w Krakowie

W działaniach prowadzonych od 1983 roku wobec konsulatu USA w Krakowie wypracowano możliwość kontroli całego budynku poza bunkrem, gdzie Amerykanie do połowy 1986 roku wykorzystywali aparaturę do tajnej rejestracji nieupoważnionego wejścia.

W toku kolejnych akcji przy użyciu sprzętu do wykrywania promieniowania podczerwonego, ultradźwięków i mikrofal wyeliminowano możliwość istnienia takich urządzeń. W tej sytuacji w dniach 18-23 grudnia 1986 roku podjęto działania wobec szyfrowego zamknięcia skarbca, gdzie:

- pokonano wszystkie zabezpieczenia skarbca i szaf pancernych, opanowano system zamków szyfrowych, zapewniając możliwość kolejnych tajnych wejść i dotarcia do klasyfikowanych dokumentów;
- sfotografowano 865 stron różnych dokumentów, w tym tajnych i poufnych, dotyczących problematyki politycznej oraz mających znaczenie operacyjne /instrukcja o trybie przyjmowania oferentów, naprowadzenia na działania obywateli-PRL godzące w interesy państwa/;
- uzyskano, przez opanowanie szyfrowych systemów zamków oraz kluczy, możliwość wejścia do innych pomieszczeń placówki;
- stwierdzono, że placówka wyposażona została w wielostanowiskowy system informatyczny firmy "Wang" wykorzystywany m. in. do przechowywania informacji.

Funkcjonariusze wrócili do amerykańskich bunkrów w 1986 roku. Wspomniane w pierwszym zdaniu „działania prowadzone od 1983 roku” to oczywiście próby

ponownego, a nie pierwszego wejścia do skarbcza.

- 2 -

39

Ustalono, że system bezpieczeństwa skarbcza po wielu udoskonaleniach /wymiana zamków na specjalnie opracowane konstrukcje, przebudowa pomieszczeń/ nadal oparty jest o licznik otwarcia drzwi pancernych i można go zamienić - co też wykonano.

Wszystkie przedsięwzięcia przebiegały bez zakłóceń. Dekonspiracji nie stwierdzono.

W związku z powyższym planuje się przeprowadzenie kolejnych działań specjalnych wobec obiektu, ze zwróceniem uwagi na:

- zsynchronizowanie ich terminów z kursami poczty dyplomatycznej na linii ambasada-konsulat - ambasada /uwzględniając przepisy obiegu dokumentów tajnych w placówce/;
- techniczno-operacyjne opanowanie komputerowych zbiorów informacji i urządzeń do ich zapisu;
- rozpoznanie i opracowanie elektronicznych maszyn do pisania, wykorzystywanych do informacji klasyfikowanych.

DYREKTOR DEPARTAMENTU
Płk mgr inż. Janusz SEREDA

Oprac. JK
JS/87

Dokument podpisany został przez funkcjonariusza, z którym niestety nie udało mi się porozmawiać. Z niewiadomych przyczyn w piśmie mowa jest o „aparaturze do tajnej rejestracji nieupoważnionego wejścia” zamontowanej w konsulacie w Krakowie. Moi rozmówcy podkreślają, że napotkali takową wyłącznie w Poznaniu, a z wejść na teren przedstawicielstwa w Krakowie zrezygnowali jedynie profilaktycznie.



TURYSTA: Działania naszego wydziału zostały zdekonspirowane tylko w jednym miejscu. Szczęśliwie nie chodziło o placówki, tylko o pocztę dyplomatyczną przechodzącą przez Okęcie. Tu też źródłem problemu było wykorzystanie materiałów przez KC. Mianowicie dokumenty wyjęte z zachodnioniemieckiej kasety Depka-75, o której panu opowiadaliśmy, trafiły do KC w nieodpowiedniej formie. Wszystko wskazuje na to, że ktoś ważny z MSW chciał się pochwalić i po prostu zaniósł większemu gronu polityków PZPR album ze zdjęciami tych materiałów, zamiast zbiorczej analizy na piśmie. Ktoś zobaczył te zdjęcia i, jak sądzę, doniósł, gdzie trzeba. Chodziła nawet taka plotka, który z polityków mógł to być. Nie oszukujmy się, w KC musiał być niejeden zachodni szpieg – cudów nie ma. Dlatego właśnie zasada była taka, że informacje przez nas zdobyte trafiały tam przemieszane z innymi i politycy nie mieli pojęcia, skąd które pochodzą.

LISTONOSZ: Depka przestała chodzić z dnia na dzień. U nas, u Rosjan, we wszystkich demoludach. Szkoda.

ROZDZIAŁ 9

WYDZIAŁ STRACENĆCÓW

BRODACZ: Pamiętam, jak umierał Czesio. W pewnym momencie już ledwo chodził, trzeba go było wozić na terapię. Ironia losu, bo leczyli go tym samym, co go zabiło. Odbierałem go ze szpitala parę dni przed śmiercią. Zawsze był bardzo szczupły, ale wtedy było to już nie do opisanego. Wsiadł do samochodu, podwiozłem go pod dom. Miałem już jechać do siebie, ale Czesio namawiał mnie na kawę. Widać było, że brakuje mu kontaktu z drugim człowiekiem, rozmowy. Wszedłem. Usiedliśmy przy stole, gadamy. W pewnym momencie mówi do mnie, żebym za nim poszedł, bo chce mi pokazać, co kupił. Weszliśmy do łazienki, a tam na podłodze leżały takie modne kafelki. Wie pan, na tamte czasy taki zakup to było wydarzenie. Patrzyłem, jak Czesio otwiera pudełko, wyjmując te kafelki i mówi, że ten to będzie tu, a ten to tam i że on sobie sam to wszystko położy. Za tydzień, za dwa. Jak się już lepiej poczuje.



INŻYNIER: W pewnym momencie kierownictwo wzięło się za temat i wysłało mnie na kurs inspektora ochrony radiologicznej. Organizowane to było przez Ministerstwo Energetyki i Energii Atomowej. Oczywiście nie przyznawałem się tam, skąd dokładnie jestem i po co mi ten kurs. A był mi po to, żeby starać się jakoś

ucywiliżować warunki pracy w naszym wydziale. Sprowadziłem z Holandii bardzo fajne poręczne dozymetry, które za pomocą gumki zawieszało się na głowie, przy sercu i gdzieś poniżej pasa – najlepiej tam, gdzie niosło się pojemnik z izotopem. Miałem swoje tabelki i po każdej akcji zapisywałem w nich, który kolega jaką dawkę przyjął. Jeśli został przekroczony limit, to taką osobę teoretycznie odsuwano na jakiś czas od prac z izotopami. Teoretycznie, bo w praktyce, jeśli ktoś napisał, że robi to na własną odpowiedzialność, to normalnie wracał do pracy. Któregoś razu pracowaliśmy na jednym obiekcie przez trzy noce z rzędu. Ustalaliśmy szyfr i kolega tak nałapał tego promieniowania, że powiedziałem mu, żeby kolejnej nocy już sobie odpuścił. A on na to zaczął mieć do mnie pretensje, że chcę go premii pozbawić. Powiedziałem mu, że już i tak pewnie będzie premia, ale to nie pomogło. Obiecałem mu więc dodatkowo, że jeśli on nie dostanie, a ja tak, to się z nim podzielę własną. I co? Oczywiście poszedł na akcję. Ja nie jestem zwolennikiem tego, żeby każdy nowotwór przypisywać od razu skutkom promieniowania, no ale fakty są niezaprzeczalne. Ten kolega, o którym opowiadam, zmarł na raka momentalnie, jeszcze przed 1990 rokiem.

TURYSTA: Spośród członków grupy obiektowej z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na nowotwory zachorowało co najmniej siedemdziesiąt procent. Mówię co najmniej, bo o niektórych ani ja, ani koledzy nie mamy żadnych informacji. Ich liczę więc elegancko jako zdrowych, chociaż na pewno nie wszyscy są. Poza tym skutki takiego promieniowania ujawniają się w formie nowotworów nawet po wielu latach. Jeśli dzieje się to dziś, może to być nadal skutek stosowania przez nas metod radiologicznych w Wydziale IX, jak najbardziej. Z tego wynika, że ci, którzy są dziś zdrowi, mogą jeszcze zachorować i zostać zaliczeni

później do grona chorych. Finalnie może się okazać, że sto procent członków grupy obiektowej zmarło na nowotwory. Powiem tak: ja nie kojarzę żadnego kolegi, który by do tej pory zmarł na inną chorobę niż nowotwór. Może któryś z tych, z którymi nie miałem kontaktu. Weźmy tych, którzy najintensywniej stosowali metodę prętową i manipulowali kapsułką z izotopem. Pan Bohdan – nowotwór, zmarł bardzo prędko. Czesio – nowotwór, zmarł jeszcze szybciej. A pana Zenka widział podobno parę lat temu na ulicy „Fotograf”

FOTOGRAF: Owszem. Tyle że spotkałem go przed szpitalem na Wołoskiej. Nowotwór. A ja? Też nowotwór.

TURYSTA: Spotykamy się na kawce w szpitalu onkologicznym, bo ja też. I jest jeszcze co najmniej jeden kolega, który walczy z rakiem.

FOTOGRAF: Statystyki przyjętych przez nas dawek są już straszne, a w rzeczywistości jeszcze zaniżone, bo do kwestii dozymetrów podchodziło się dosyć lekceważąco. Po pierwsze, jak człowiek tylko ten izotop przenosił szybko z jednego miejsca w drugie, to w ogóle nawet się aparatury nie zakładało, mimo że dawka była ewidentnie przyjmowana. Po drugie, niektóre z tych dozymetrów działały, jak chciały. Mieliśmy różne modele, nie tylko te na gumce. Raz kupiliśmy takie przypominające kształtem długopis. Można było je sobie wpiąć w mankiet koszuli, wychodząc na akcję. Człowiek poszedł, napromieniował się jak nie wiem, wracał, patrzył na swój długopisik, a tam odczyt – zero. Równy zero. Tyle były warte.

TURYSTA: W latach osiemdziesiątych skutki biologiczne promieniowania liczyło się w ramach, dziś używa się siwertów.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych w Wydziale IX teoretycznie wolno nam było przyjąć pięć remów rocznie na całe ciało, czyli pięć setnych siwerta, standard dla ludzi pracujących z promieniowaniem. Z pierwszych lat mojej pracy pamiętam sytuacje, że tyle w jedną noc pokazywał dozymetr. Później, wchodząc do placówki, zacząłem dla wygody odkładać dozymetr na kurtkę, którą z siebie zdejmowałem. Po prostu mi przeszkadzał i nie chciałem też, żeby mi gdzieś wypadł. Koledzy również podchodzili do tego dosyć luźno i ze statystyk nieraz wynikało, że jest okej, choć w rzeczywistości nie było. Niech pan pomyśli, jak ten pomiar wyglądałby naprawdę.

BRODACZ: Pamiętam, jak w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych odbywało się wyjmowanie izotopu z pojemnika. Stawialiśmy sobie taki murek z cegieł ołowianych, w środek wsadzaliśmy tę całą berenikę, regulowaliśmy oddech i hop – wyjmowaliśmy izotop i wkładaliśmy gdzie trzeba. Niby chwila moment, ale przecież człowiek miał w ręku kapsułkę ze źródłem.

TURYSTA: W rzeczywistości w dziesięć minut naszej pracy potrafiliśmy nałapać limit roczny na dłoń. Na całe ciało była tylko, powiedzmy, jedna czwarta limitu, ale sama ręka dostała już więcej, niż powinna w 365 dni. I to jest kolejny katastrofalny aspekt tej pracy – my przyjmowaliśmy te dawki w bardzo potężnych uderzeniach. Pracując z izotopami w jakiejś elektrowni, człowiek zbiera te swoje pięć remów na całe ciało przez okrągły rok. A my? Podczas zacięcia, o którym panu opowiadałem, dostaliśmy z „Brodaczem” ze dwa razy, a może nawet trzy razy więcej. W jedną noc!

Wolę nawet nie myśleć, jaką dawkę dostały nasze dłonie. Dla słynnych „likwidatorów” sprzątających miejsce katastrofy w Czarnobylu limit promieniowania wynosił 25 remów.

Po osiągnięciu tego limitu musieli wyjechać. My tamtej nocy dostaliśmy pewnie paręnaście na całe ciało i pewnie z miliard na rękę. I co? Nic, dalej do roboty poszliśmy. Nie pojechaliśmy na placówkę do ciepłych krajów, bo przecież nie miałby nas kto zastąpić. Czy odczuwałem to fizycznie? Nie jestem w stanie tego dokładnie opisać, ale zdarzało mi się czuć takie dziwne mrowienie w nogach w te dni, w które używaliśmy promieniowania. A zwłaszcza wtedy, gdy nosiłem izotop w pojemniku, właśnie przy nogach. My nie mówimy o dawkach, które nas poparzą, nie o to chodzi. Ale naszym problemem było pochłanianie promieniowania, o którego negatywnych skutkach przekonujemy się po latach, z każdą kolejną diagnozą. Mam również przykład kolegi, u którego skutki pracy z izotopami ujawniły się w inny sposób, już po krótkim czasie i w dodatku bardzo drastycznie. Na negatywne skutki promieniowania bardzo narażone są nieosłonięte przecież niczym oczy. Naturalnie nie chodzi tu o światło, bo promieniowanie jest niewidoczne, tylko o pochłonięcie dawki przez gałkę oczną. Ten mój kolega zaczął w pewnym momencie tracić wzrok. Musiał odejść z wydziału.

000008

Warszawa, dnia 19.05.1980 r.

T A J N E

Egz.Nr 2

NOTATKA SŁUŻBOWA

dot. aktualnego stanu napromienienia niektórych pracowników
Wydziału IX Departamentu II MSW.

W bieżącym roku, w wyniku wykonywania zadań służbowych kilku pracowników Wydziału IX Dep.II otrzymało dawki promieniowania jonizującego, przekraczające dopuszczalne wartości określone Zarządzeniem Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Pełnomocnika Rządu d/s Wykorzystania Energii Jądrowej. I tak:

1. Tow. mjr mgr inż. Janusz Sereda - otrzymał dawki:
 - całe ciało - 6,6 rem. /przekroczenie dawki półrocznej/
 - ręce - 104,8 rem./ przekroczenie dawki rocznej/.
2. Tow. ppłk Zenon Sobański - w maju br. otrzymał dawkę
 - całe ciało - 3,85 rem. /przekroczenie dawki kwartalnej/.
3. Tow. ppor Czesław Krzyżewski - w maju br. otrzymał dawkę
 - ręce - 26,2 rem. /przekroczenie dawki kwartalnej/.

W świetle wyżej wymienionego przepisu pracownicy ci winni być odsunięci od prac z izotopami na okres do:

1. tow. mjr mgr inż. Janusz Sereda - do maja 1981 roku,
2. tow. ppłk Zenon Sobański - do września 1980 roku,
3. tow. ppor Czesław Krzyżewski - do września 1980 roku.

INSPEKTOR WYDZIAŁU IX DEP. II MSW
INSPEKTOR OCHRONY PRZED PROMIENIOWANIE
NIEM NR. CLOR 2167/III/79

M. Jędrzejkowski
POR MICHAŁ JĘDRZEJKOWSKI

Największe dawki promieniowania funkcjonariusze przyjmowali na ręce. W niektórych momentach kapsułki z izotopami trzymali w kombinerkach,

a w skrajnych przypadkach – nawet w samej dłoni (np. przy przekładaniu źródła z pojemnika do pojemnika).

000009

Warszawa, dnia 23.V.1980 r.

T A J N E

Egz.Nr 2

NOTATKA SŁUŻBOWA

dot. aktualnego stanu napromienienia niektórych pracowników
Wydziału IX Departamentu II MSW.

W nawiązaniu do notatki z dnia 19.05.1980 r. -
uprzejmie informuję, że w dniu 20.05.1980 r. w trakcie wyko-
nywania zadań służbowych tow. por. mgr inż. ZBIGNIEW BUCZAK
otrzymał dawkę promieniowania / prawa ręka/ - 75,7 rem.
/przekroczenie dawki rocznej/.

W świetle obowiązującego Zarządzenia Ministra
Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Pełnomocnika Rządu d/s
Wykorzystania Energii Jądrowej określającego dopuszczalne
dawki napromienienia tow. ZBIGNIEW BUCZAK winien być odsunię-
ty od prac z izotopami na okres do czerwca 1981 roku.

INSPEKTOR WYDZIAŁU IX DEP. II MSW
INSPEKTOR OCHRONY PRZED PROMIENIOWA-
NIEM NR CLOR 2167/III/79

Jedrzejkowski
POR MGR INŻ. M. JEDRZEJKOWSKI

Notatka służbowa

Mieliśmy swoją panią doktor, która robiła nam badania okresowe. Wiedziała, że pracujemy z promieniowaniem gamma, i starała się nas zmuszać do robienia przerw, ale o tym nie było nawet mowy. Jeśli trafiała się okazja, żeby wejść do jakiejś placówki i skopiować dyskietki z archiwum obcego wywiadu, to jak mogliśmy ją przegapić? Z chorobowego wracało się tak samo szybko, jak się na nie trafiło.

BRODACZ: Jak przyszliśmy z „Turystą” do wydziału, to poprzedni naczelnik, który mocno działał z tym promieniowaniem, umierał akurat w szpitalu. Wie pan, że ja byłem tam u niego, mimo że nigdy wcześniej go na oczy nie widziałem? Był po prostu taki zwyczaj, że wydział nie zostawiał chorych pracowników. Tak samo pomagało się parę lat później Czesiowi, chociaż jemu to już nie tylko w ramach zwyczaju, ale też z czystej sympatii. Dobry kolega był z Czesia i dobry fachowiec.

000048

Warszawa, dnia 31.XII.1981 r.

T A J N E
Egz.Nr 1

NOTATKA SŁUŻBOWA

12.01.1982

W dniach od 10 do 12.XII.1981 r. następujący pracownicy Wydziału IX otrzymali następujące dawki promieniowania jonizującego podczas akcji specjalnej w obiekcie "AJAS", przeprowadzonej na polecenie Kierownictwa:

1. MJR SEREDA JANUSZ - 0,1 rema
2. PPOR ZIELINSKI TADEUSZ - 3,7 "
3. PPOR BANACH WŁADYSŁAW - 6,0 "
4. PPOR BANASZEK RYSZARD - 15,0 "

Dane powyższe obliczono po uzgodnieniu z pracownikami czasu pracy i średniej odległości od izotopu osłoniętego lub nieosłoniętego. Dozymetry indywidualne przydzielone pracownikom miały bardzo zróżnicowane wskazania. Postanowiono przesłać dozymetry do atestacji w styczniu 1982 roku

Na podstawie dawek zakumulowanych w 1981 roku oraz orzeczenia dr Szawary, następujący pracownicy Wydziału IX są odsunięci od pracy z izotopami na określony przeciąg czasu:

1. Por Buczak Zbigniew - do odwołania /stan zdrowia/
2. Ppor Banach Władysław - do 1.VII.1982 r.
3. Ppor Banaszek Ryszard - do 1.I. 1983 r.
4. Por Fudała Stanisław - do 1.IV.1982 r.
5. Por Jędrzejkowski Michał - do odwołania /stan zdrowia/
6. Ppik Sautycz Bohdan - do 1.VII 1982 r.
7. Mjr Traczyk Maciej - do 1.IV.1982 r.
8. Ppor Zieliński Tadeusz - do 1.IV.1982 r.
9. Ppor Krzyżewski Czesław - do 1.IV.1982 r.

ST.INSPEKTOR WYDZ.IX DEP.II MSW

POR TADEUSZ OWIESŁO

Dawka promieniowania, którą według zasad mogli przyjąć na całe ciało „likwidatorzy” sprzątający miejsce katastrofy w Czarnobylu, wynosiła 25 remów.

Jak wynika z powyższego dokumentu, jeden z funkcjonariuszy przyjął 15 remów podczas zaledwie trzech nocy pracy w konsulacie USA w Krakowie i powinien zostać odsunięty od prac z izotopami aż do początku 1983 roku. Analiza dalszych stron akt pokazuje, że brak rąk do pracy w wydziale absolutnie nie pozwalał na taką przerwę i ten sam funkcjonariusz już w 1982 roku przyjmował kolejne dawki promieniowania.

TURYSTA: Gdybyśmy pracowali z promieniowaniem w jakiejś innej instytucji, to do otrzymania odszkodowania wystarczyłby jeden incydent, jeden papierek, na którym napisane by było, że przyjąłem dawkę ponad limit w takich i takich okolicznościach. Teraz są w IPN odtajnione teczki, które pokazują, ile razy my przekroczyliśmy dawki roczne w czasie zaledwie jednej akcji, w ciągu jednej nocy. Ale co z tego? Służby specjalne to nie instytut badawczy. W jaki sposób biegli mieliby się do tego ustosunkować w sądzie, skoro oni nawet nigdy takich urzędzeń na oczy nie widzieli, a gdyby zobaczyli, toby uciekli? Jakiś czas temu potrzebne mi było zaledwie zaświadczenie, że pracowałem z izotopami – chodziło o sprawy emerytalno-rentowe. Poszedłem więc do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i poprosiłem o taki dokument, a oni tam przecierali oczy ze zdumienia, bo o naszych działaniach nadal nikt w ABW nie wiedział.



INŻYNIER: Był taki czas, że miałem do mojej siostry ogromny żal. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych wyszła za mąż za Szweda i tym samym zrujnowała mi karierę. Nie miałem wyjścia, zgłosiłem od razu ten fakt kierownictwu. Wiedziałem, że mnie zwolnią z uwagi na „ważny interes służby”, ale wolałem tak, niż gdyby mieli się sami dowiedzieć i zwolnić mnie dyscyplinarnie. Zapadła decyzja, że przejdę na parę lat na etat niejawni, czasem im w czymś pomogę, a oni będą mi dopłacać ewentualną różnicę pomiędzy

moim wynagrodzeniem w nowym miejscu pracy a tym, co dostawałbym w Departamencie II. Dziś szwagier już dawno nie żyje, siostra biedna sama została w tej Szwecji, a ja widzę, jak bardzo mi się poszczęściło. Kolegom tak zwana ustawa dezubekizacyjna obcięła emerytury, a o odszkodowaniach też nie mają co marzyć. Ja od lat mam inną pracę i jestem dozgonnie wdzięczny siostrze, że mi spieprzyła karierę.



GENERAŁ KAPKOWSKI: Myśli pan, że Amerykanie pozwoliliby swoim ludziom biegać z izotopami? Swoich by tak narażali? W życiu. Regularnie brałem udział w akcjach z Wydziałem IX, widziałem, jak koledzy biorą walizkę ze źródłem i niosą przy nodze. Zazwyczaj od kolegów ustalających szyfr dzieliło mnie wiele metrów, a i tak co jakiś czas urządzenie do pomiaru promieniowania zaczynało wyć. A u nich, przy bunkrze? To był sygnał ciągły. Ci ludzie naprawdę stracili zdrowie, wielu z nich także i życie, a ich rodziny są dziś bez pieniędzy. Mówimy tu o grupie, która po roku 1990 stanowiła jedną z najważniejszych wizytówek w naszych, szalenie przecież istotnych, stosunkach z Amerykanami. Koledzy zza Atlantyku darzyli ich ogromnym szacunkiem i doskonale wiedzieli, na co Polaków stać. Jakie zajęcie znaleziono dla oficerów byłego Wydziału IX? Dzisiaj to jeszcze temat tabu, ale niech mi pan wierzy – za parędziesiąt lat, jeśli odtajnią teczki, będzie pan miał o czym pisać.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka to efekt setek godzin rozmów z funkcjonariuszami dawnego Wydziału IX. W tym miejscu pragnę podziękować im za ogromną pomoc i poświęcony czas, który niejednokrotnie wygospodarowali kosztem swoich dzisiejszych obowiązków zawodowych i rodzinnych.

Równie wdzięczny jestem „Brunetce”, generałowi Andrzejowi Kapkowskiemu oraz „Werbownikowi” – książka o tajnych wejściach do placówek nie byłaby kompletna bez ich relacji. Specjalne podziękowania należą się także małżonce „Brodacza” – za gościnę.

Dziękuję jednocześnie mojej rodzinie, koleżankom i kolegom z wydawnictwa Agora i wszystkim innym, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką.

PRZYPISY

[1] Robert Walenciak (scenariusz i realizacja), *Za kulisami PRL-u*, TVP, 2011, youtu.be/4-LVgod4V-0 (dostęp 31.01.2020).

[2] Patryk Pleskot, *Dyplomata, czyli szpieg? Działalność służb kontrwywiadowczych PRL wobec zachodnich placówek dyplomatycznych w Warszawie (1956–1989)*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2013.

[3] Tomasz Awłasewicz, *Łowcy szpiegów*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2018.

[4] W latach osiemdziesiątych zastępca naczelnika, a następnie naczelnik Wydziału I Departamentu II – komórki kontrwywiadu zajmującej się zwalczaniem działalności amerykańskich służb specjalnych. Z ramienia swojego wydziału latami towarzyszył oficerom Wydziału IX w wejściach do konsulatów USA w Krakowie i Poznaniu. W latach 90. był m.in. szefem Urzędu Ochrony Państwa.

[5] Niestety nie jest jasne, w którym dokładnie roku doszło do tych wydarzeń. Wśród funkcjonariuszy przeważają jednak opinie, że było to jeszcze w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. Znajdujące się w teczkach wydziału wykazy przeprowadzonych akcji wskazują na to, że w 1983 roku nastąpiła przerwa w wejściach do obiektów „Arete” (Poznań) i „Ajas” (Kraków), co można wiązać właśnie z odkryciem urządzenia rejestrującego.

[6] Z akt wynika, że było to w 1986 roku. W tym samym roku wrócono także do konsulatu USA w Krakowie.